Stefan Żeromski

UTWORY POWIEŚCIOWE

UTWORY STEFANA ŻEROMSKIEGO:

Walka z Szatanem I. Nawracanie Judasza. Powieść. Wydanie drugie. 1921.
Walka z Szatanem II. Zamieć. Powieść. Wydanie drugie 1921.
Walka z Szatanem III. Charitas. Powieść. 1919.
Aryman mści się. — Godzina. Wydanie drugie. 1911.
Biała rękawiczka. Sztuka w 3 aktach, z prologiem i epilogiem. 1921.
Dla młodzieży. Książka I. 1921.
Dla młodzieży. Książka II. 1921.
Duma o hetmanie. Wydanie czwarte. 1920.
Dzieje grzechu. Powieść. 2 tomy. Wydanie piąte. 1920.
Echa leśne. Wydanie nowe. 1920.
Inter Arma. Warszawa. 1920.
Ludzie bezdomni. Powieść. 2 tomy. Wydanie piąte. 1911.
Opowiadania. (Doktór Piotr.—Cokolwiek się zdarzy.—Ananke. —Zmierzch.—Złe przeczucie.—Po Sedanie.—Zapomnienie. — Pokusa. — Siłaczka. — Oko za oko. — Niedziela. — Z dziennika). Wydanie czwarte. 1910.
O przyszłość Rapperswilu. Kraków. 1912.
Organizacya inteligencyi zawodowej. Warszawa. 1919.
Początek świata pracy. Kraków. 1918.
Ponad śnieg bielszym się stanę. Warszawa. 1920.
Popioły. Powieść z końca XVIII i początku XIX wieku. 3 tomy. Wydanie czwarte, Warszawa. 1919.
Powieść o Udałym Walgierzu. Wydanie nowe. 1918.
Projekt Akademii Literatury Polskiej. Warszawa. 1918.
Promień. Powieść. Wydanie czwarte. 1910.
Rozdziobią nas kruki, wrony. Wydanie trzecie z rysunkami St. Janowskiego. 1905.
Róża. Dramat niesceniczny. Wydanie drugie. 1910.
Sen o szpadzie. Kraków. 1914.
Sen o szpadzie i sen o chlebie. Zakopane. 1916.
Siłaczka. — Na pokładzie. (B. U. L. Nr. 5). 1907.
Słowo o Bandosie. Wydanie nowe. 1920.
Sułkowski. Tragedya. Wydanie drugie. 1910.
Syzyfowe prace. Powieść. Wydanie szóste. 1922.
Uroda Życia. Powieść. 2 tomy. Wydanie drugie. 1920.
Utwory powieściowe. (Na pokładzie.—O żołnierzu tułaczu.— Tabu. — Cienie. — Kara. — Legenda o bracie leśnym). Wydanie czwarte. 1910.
Wiatr od morza. Warszawa. 1922.
Wierna rzeka. Klechda. Wydanie trzecie. 1921.
Wisła. Wydanie drugie. Warszawa 1920.
Wszystko i nic. Warszawa. 1919.
Zmierzch. — Cokolwiek się zdarzy. (B. U. L. Nr. 41). 1907

STEFAN ŻEROMSKI

UTWORY POWIEŚCIOWE

WYDANIE PIĄTE

WARSZAWA MCMXXIII KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
T-WO WYDAWNICZE W WARSZAWIE.

Przedruki nieuprawnione przez autora wzbronione.
Wszelkie prawa autorskie co do tłómaczeń i przeróbek zastrzeżone.
Prawa autorskie co do przedruków, tłómaczeń i t. p. w Rosyi rezerwowane na zasadzie ustawy z d. 3 kwiet. 1919 r.
Copyright by Stefan Żeromski, nineteen hundred twenty three.

5178

Drukarnia Naukowa. Warszawa, Rynek Starego Miasta 11.

NA POKŁADZIE...

Na pokładzie statku, dążącego z Brunnen do Fluelen tłoczyło się wielu turystów. Byli tam przedstawiciele narodowości francuskiej, włoskiej, angielskiej i innych. Świt roztoczył się nad górami i ogarnął tę całą krainę, jak niewymowne wzruszenie. Kopuła Urirothstock stała wśród nocnych obłoków, niby tajemniczy przybytek w dymie kadzideł. Na prawo i na lewo lśniły się pod słońcem szczyty lodowe. W głębi, u samych wód szukała jeszcze kryjówki noc, zewsząd wygnana. Świerki, leszczyny i brzozy nad brzegiem tuliły ją między siebie, ile mogły. Zniżały gałęzie aż do samej wody i, oniemiałe z podziwu, patrzyły we własne odbicia, rodzące się w głębokiej topieli. Długa zatoka, jakby martwa, nieruchoma, fijołkowa tafla leżała pod znikomym tumanem. Błędne i wiotkie mgiełki wstawały z przezroczystych nurtów i chodziły nad wodami. Widziało się, że daleko, daleko, w zamroczonej, niebieskiej dolinie tułają się i krążą nad leżącem w ciszy jeziorem cienie i widma wyśnione przez Schillera, który tu marzył.

W pewnej minucie na jednostajnej barwie odmętu wynikła przedziwna, jasnozielona plama

o brzegach mocno zarysowanych i mknęła chyżo niby swobodna łódka Tellowa. Statek, nurzając się w toń, wstrząsał jej uśpioną powierzchnię i ciągnął za sobą jakby obwisłe skrzydła z fal rozkołysanych. Te lśniące, błyskotliwe, małe fale szły wstecz, coraz wolniej, ku czarnym brzegom, pieszcząc się wzajem jedne z drugiemi.

Cały przód pokładu pełen był dzieci szwajcarskich. Mieściła się tam szkoła z jakiejś wioski kantonu Appenzel, odbywająca zwyczajną wędrówkę letnią w poprzek swego kraju. Byli to chłopcy i dziewczęta różnego wieku, synowie i córki rolników i drobnych mieszczan, pastuchów i kupców, robotników i służby, dorobkiewiczów i nędzarzy. Wszyscy byli już dosyć znużeni, ogorzali, pyłem okryci. Przewodniczył im nauczyciel, *hajb* z ruchami parobka, o twarzy piegowatej, ordynarnej, zarosłej bezbarwnym włosem. Było jednak w tem obliczu coś, co wyróżnia pedagoga tamtejszego z tłumu. Malowało się na niem przyzwyczajenie do mówienia prawdy otwartej i nieskażonej, zawsze i wszędzie. Ten mus, ten piękny owoc wysokiej kultury zmywa w ciągu lat, jak niestrudzona woda rogatą glebę, przywary indywidualnego charakteru, wrodzone brzydoty temperamentu i znaczy twarze dziwnym uśmiechem, jaki oglądać można chyba tylko na starych płótnach Bernardina Luini'ego. Są to naiwne twarze, które kłamać nie umieją.

Szkoła taka, gdzie się da, maszeruje, miejscami jedzie koleją, albo płynie na statku. W okolicach północnych zwiedza fabryki, świetne warsztaty, muzea, kościoły, piękne miasta nad jeziorami, siedliska

życia, wiedzy i pracy; odludne wioski, stare ruiny i wreszcie martwe pustynie na wysokich górach, gdzie ponury lodowiec śpi w milczeniu wiekuistem. Starsi gromadzą w swych zielonych pudełkach zioła i owady,— młodsi na polach Näfels, Morgarten, Sempach słuchają wykładu zdarzeń i uczą się legend, które są jakby westchnieniami ludzkości.

Gdy przekroczą wysoki szczyt gotardzki, gdy zstąpią do pięknej doliny Tessinu, ludzie mówiący językiem obcym, Włosi czarni a żywi przyjmą ich z otwartemi ramionami — są to bowiem ich bracia.

Gdy po długiej wędrówce znajdą się w smutnej dolinie Rodanu, w miejscach gdzie ludzie mówią po francusku, i tam przyjmą ich z miłością, są to bowiem ich bracia.

Gdy statek wymijał Grütli, rozległ się piękny śpiew tych dzieci. Zwróceni twarzami do wyniosłego urwiska nieśmiertelnej skały, śpiewali:

„*Von ferne sei herzlich gegrüsset, du stilles Gelände am See*“...

Obcokrajowi pasażerowie skupili się dokoła małych śpiewaków i z przyjemnością słuchali zgodnego chóru. Tu i owdzie wymykało się z tłumu słowo pochwały. Jakiś Niemiec zcicha bił oklaski, jakaś szczupła dama ze wzruszeniem szepnęła do towarzysza: *oui, c'est beau*... Pergaminowa twarz Anglika mieniła się rzewnym uśmiechem. Na uboczu stało kilku młodych ludzi. Oblicza ich były bardzo smutne, a źrenice zasłonięte łzami.

O ŻOŁNIERZU TUŁACZU

Dr. Rafałowi Radziwiłłowiczowi

przesyła na pamiątkę

Autor.

I.

Skoro świt, a nim grube mroki pobladły w dolinie, stukano do drzwi mieszkania, zajętego w gospodzie *zum Bär* na kwaterę dowódcy. Gudin zepchnął w tej chwili nogą pierzynę, wyskoczył z łóżka i rozebrany poszedł drzwi otworzyć. Stanęło w nich i zwolna weszło do izby kilku oficerów w kostyumach, narzuconych niedbale, oraz sierżant jednej z kompanii trzeciego batalionu. Generał wlazł na wysokie posłanie łóżka, usiadł w kuczki i zwrócił się do sierżanta, który, wyprężony jak struna, zginał kark, żeby nie uszkodzić pompona przy kapeluszu, zawadzającego o stragarz powały niskiego pokoju.

— No i jakże, byłeś? — zapytał, wycierając oczy.

— Byłem, obywatelu generale, z sześcioma ludźmi. Gdzie się rzeka zakręca...

— Co rzeka! Widziałeś ich? — zawołał porywczo i z niepokojem.

— Zdaleka...

— Któż to był? Szyldwachy?

— Widzieliśmy szyldwachów, ale także i regularnych.

— Gdzież oni byli?

— Kilkunastu żołnierzy paliło ogień przy jeziorach na dole, inni wspinali się ścieżką, a na samej górze przechadzało się kilku szyldwachów.

— Czy was spostrzegli?

— Tak, obywatelu generale...— szepnął sierżant nieśmiało.

— Widziałeś schronisko Grimsel-Hospiz?

— Nie, obywatelu...

— Więc gdzież ty byłeś, u licha, jeżeliś nawet tam nie doszedł?

— Schronisko musi być za wałem. Ten wał jest jakby groblą jezior, które tam leżą i któreśmy zdaleka widzieli.

Generał zamilkł i usiłował odnaleźć te same punkta na mapie, rozłożonej obok jego łóżka. Oficerowie, skupieni przy jednym z okien, rozsunęli perkalowe firanki, ale niewiele światła weszło do izby, gdyż brzask jeszcze nie tknął cieniów, schowanych w podwórzach i zaułkach między domostwami.

Ktoś skrzesał ognia i zatlił małą świeczkę łojową.

— Dziękuję...— rzekł Gudin półgębkiem, nie podnosząc głowy. Po chwili bystro wejrzał na sierżanta i głośno, z szyderstwem zawołał:

— Czy to prawda, co powiadają naoczni świadkowie i znawcy, że te pozycye są nie do zdobycia? Czy prawdą jest, co powiadają, że nasze francuskie męstwo nic tu nie poradzi, że nasz francuski ge-

zdasz w kpa się tu zamieni, że białe Austryaki zarzną nas z tych gór swemi pochyłemi bermycami,— powiedz, Bâteau...

— To jest miejsce nie do zdobycia — rzekł sierżant posępnie.

W grupie oficerów przemknął się szept bardzo cichy. Generał zwolna podniósł głowę i zmierzył okiem pełnem nienawiści kapitana, stojącego we framudze drugiego okna.

— Czy pozwolisz mi, obywatelu generale, zadać sierżantowi kilka pytań? — rzekł ten oficer ze spokojnym uśmiechem, w którym zamknięte było jadowite szyderstwo.

— Uprzejmie proszę...— rzekł Gudin.

— A więc to prawdą jest, co powiadają, — zwrócił się kapitan do sierżanta, — że, stojąc na Grimael, nieprzyjaciel zasypałby nas nie bermycami, ale głazami kamieni? Że byłby w możności nędznie zatłuc nas, wdzierających się pod górę jak niegdyś chłopi ze Szwycu zgruchotali przodków tych białych Austryaków pod Näfels, z taką wszakże różnicą, że my szlibyśmy na górę pewni nietylko śmierci, ale także hańby naszego geniuszu... Bâteau! — rzekł kapitan głośniej. — Ty wiesz, że ja się nie boję...

— Słyszałem, obywatelu Le Gras, że pragniesz zadać sierżantowi jakieś tam pytanie...—rzekł Gudin.

— Tak. Pragnę mu zadać kilka pytań. Jak długo wzdłuż od miejsca, gdzie się dolina zwęża— do jeziora?

— Sześćset — rzekł sierżant — chyba ze trzy godziny

— Jaka jest na tej przestrzeni szerokość doliny?

— Ze ścieżki, po której szliśmy, dorzucałem w najszerszych miejscach kamieniem do drugiej ściany wąwozu, a prawie wszędzie cały spód jego zajmuje rzeka.

— Wszak prawda, że w pewnych miejscach ścieżka idzie na wysokości kilkuset metrów?

— Nie inaczej, obywatelu kapitanie.

— Że na tej ścieżce może obok siebie postępować najwyżej dwóch ludzi?

— Tak jest, obywatelu.

— Że zanim w pięć batalionów zdołamy dotrzeć do jezior, już Austryacy, ukryci za skałami mogą wystrzelać połowę naszej kolumny, idącej dwójkami?

— Tak myślę...

— A czy przez szkła widziałeś ścieżkę, od jezior prowadzącą na Grimsel?

— Dostrzegłem ją, obywatelu.

— I dlatego mówisz nam, że miejsce jest niezdobyte?

— Tak jest.

Oficer skłonił się generałowi i rzekł do niego:

— O te jedynie szczegóły rozpytać się pragnąłem.

— Obywatele! — powiedział niedbale Gudin, zwracając się do wszystkich — wyruszamy dziś i to niezwłocznie dla zdobycia szturmem przejść: Grimsel, Furka, Gotthard...

— I Monte Rosa...— szepnął kapitan Le Gras tak cicho i niewyraźnie, że te dwa słowa mogły bardzo dobrze uchodzić za kaszel.

— Plan operacji całej wydany został w kwaterze głównej. Podpisał go Massena. Uruchomiliśmy 27 termidora 30 tysięcy wojska. Bracia nasi walczą w tej chwili na śmierć i życie. Idą w górę Reussu, uderzają na przejście *zum Stein*, aby spaść do doliny Meyen, biją się w dolinie Rodanu, a my śmieliżbyśmy leżeć bezczynnie, tutaj w Gutannen? Zwyciężymy, czy zginiemy od kamieni, od kul, od bagnetów, ale pójdziemy zdobywać tę górę, chociażby z jej szczytu strzelano do nas piorunami! Z przyjemnością przedstawiłbym wam plan całej naszej wyprawy, ale brak mi czasu. Zanim się ubiorę, chciałbym wyłożyć ten plan w obecności, dajmy na to, kapitana Le Gras. Może zechce tu również zostać jeszcze podpułkownik Labruyère...

Oficerowie i sierżant gromadnie wyszli ze stancji. Gudin zerwał się z łóżka i, wdziewając pośpiesznie swój uniform, rozkładał mapy, wskazywał linie operacyjne pochodu, wyznaczone czerwoną barwą — i szybko wykładał:

— Wiadomo...— mówił — że arcyksiąże Karol zajmuje swemi wojskami olbrzymi łańcuch pozycji: od Simplonu i mieściny Brieg w dolinie Rodanu — aż do Zurichu. Ma on do rozporządzenia 78 batalionów piechoty, 85 szwadronów jazdy, czyli 64.613 żołnierza i 13.299 koni. Posiada wszystkie przejścia i wszystkie drogi środka Alp, więc: Grimsel i Furka, dolinę Urseren, Teufelsbrücke, całą dolinę Reussu aż do jeziora Czterech Kantonów wraz z dolinami napoprzek do niej idącemi, — więc z Meyen i z Issi; dalej: — rozdół Szwycu, płaskowzgórze Einsiedeln z przełęczą Etzel, dolinę Sihlu i Zurich. Uderzamy

na nieprzyjaciela ze wszyctkich stron, mamy wyprzeć go ze wszystkich stanowisk, porozcinać go na grupy, rozerwać ich łączność — i wygnać, — zanim tamci nadciągną. Thurreau uderzy na brygadę Straucha w dolinie Vallais, my wstąpimy na Grimsel, wyrzucimy nieprzyjaciela z pozycyi u źródeł Rodanu i weźmiemy go we dwa ognie, ażeby zmuszony był uchodzić na włoską stronę, którędy mu się żywnie podoba. To uczyniwszy, zajmiemy przejście Furka, dolinę Urseren, Urnerloch, Teufelsbrücke i dolinę Reussu... Wiadomo — mówił, ożywiając się i gwałtownymi ruchy wskazując na mapę, — że rozstaliśmy się w Interkirchen z generałem Loison i że ten dzielny człowiek poprowadził swe dwa bataliony i trzy kompanie w dolinę Gadmen, skąd ma wstąpić nad Steinen, wysadzić nieprzyjaciela z pomiędzy lodów i zejść przez Meyen- Thal do Waasen. Daumas idzie z Engelbergu, ażeby przez Surenen wejść do wąwozu Reussu. Z czoła, od Fluelen uderzy na Austryaków sam Lecourb. Chciejcież zważyć, że los operacyi od nas zależy! Jeżeli odbierzemy Grimsel, to zadajemy cios nieprzyjacielowi w samo serce, bo zdobywamy czworobok, który tu oznaczyłem czerwoną linią. Czworobok ten idzie: z Interkirchen do Waasen, z Waasen do Teufelsbrücke, stamtąd do Furka i Grimsel a z Grimsel do Interkirchen. Dopóki nieprzyjaciel ma Grimsel i Urseren, — niceśmy nie wygrali, może bowiem siedzieć w tych miejscach, jak w fortecy i mieć połączenie z doliną Tessinu przez Gotthard, a z Chur przez dolinę Renu. Tymczasem obywatel Le Gras uważa wyprawę na zdobycie tej głównej pozycyi

za coś tak błahego, że śmiał wobec połowy oficerów kolumny, ba! wobec sierżanta — drwić ze słów moich. Gdyby nie to, że dziś idziemy, powinienbym cię, obywatelu, natychmiast skazać na śmierć...

— O!... — mruknął Le Gras, przymykając swe piękne oczy.

— Tak! — zawołał Gudin, — niesubordynacya dosięgła takiego stopnia, że oficerowie drwią z generałów, że prości żołnierze mruczą, gdy się wydaje rozkazy...

— Generale! — szepnął Le Gras, — niesubordynacya idzie jeszcze dalej: żołnierze nietylko wyrzekają, ale nawet nie jedzą po całych dniach.

— Ja im w tych górach obiadu nie stworzę!...

— Oni też nie liczą na sztukę stwarzania i w sposób idyliczny rabują szwajcarskie wsie i mieściny. Przyszli z jednej i niepodzielnej rzeczypospolitej, mieli przynieść na ostrzu bagnetów braterstwo i inne przysmaki, tymczasem wnieśli tu przemoc i gwałt, a zostawiają, jako ślad swego pochodu, — ruiny i popioły. Cóż to uczyniliśmy z Meiringen, z Interkirchen?

— Kogo śmiesz pytać, obywatelu? — wrzasnął Gudin.

— Generała, który ma prawo skazać mię na śmierć i rozstrzelać. Jestem nieznanym oficerem, jestem tak dalece pozbawionym koligacyi, że nie mam nawet stryja, któryby mię protegował... Istotnie! jestem z motłochu. Widziano mię wśród sankiulotów za dni wrześniowych. To też, kiedy generał brygady Cezar Karol Stefan Gudin de la Sablonnière zapytuje mię...

— Nie odpowiadam na podobne zaczepki!— rzekł dumnie generał, bokiem odwracając się do hardego kapitana i wydymając usta. — Nie stryj mię proteguje, lecz ja sam siebie! Byłem na San Domingo, w armii Ardenów pod Ferrandem, byłem w armii północnej i w reńskiej, byłem w Niemczech pod Moreau, krwią i ranami zdobyłem szlify w dolinie Kintzig...

— Kapitan Le Gras pragnie złożyć plan operacyi, której celem jest zdobycie Grimsel — rzekł wolno i ozięble podpułkownik Labruyère, mężczyzna ogromnego wzrostu, z wielką, wygoloną twarzą, obwisłą dolną wargą i posępnie mądrym wyrazem oczu. Milczał on dotąd, jak gdyby sprzeczkę toczono w języku, którego wcale nie rozumiał, i z wyrazem absolutnej obojętności badał swe paznogcie.

— Kapitan Le Gras? — rzekł generał, potężnym aktem woli tłumiąc w sobie rozszalałą pasyę i usiłując zagasić blask nienawiści w spojrzeniu. — Słucham... co za plan?

— Wczoraj nad wieczorem — zaczął mówić Le Gras — wracając z rekonesansu, po zbadaniu całej wyższej części doliny Hasli, za zbliżeniem się do wodospadu Handeck, spostrzegłem chłopa, który na zboczu góry kosił trawę. Dałem znak grenadyerom i zbliżyłem się na ich czele do podnóża tak ostrożnie, że szwajcar nas nie dostrzegł. Zakomenderowałem pocichu, i czterech żołnierzy na cel go wzięło. Wówczas krzyknąłem, rozkazując, żeby schodził do nas bez zwłoki. Chłop oniemiał z przerażenia. Wprędce zsunął się po stromej pochyłości i stanął

przed nami wylękły. Zacząłem go badać, skąd jest i co tam robił. Jest to gospodarz stąd, z Gutannen, nazywa się Fahner. Dowiedziawszy się, że idziemy z Interkirchen w górę Hasli, uciekł pospołu z innemi mieszkańcami tej wioski z bydłem i dobytkiem — w nagie góry. Na zapytanie, gdzie się obecnie ci mieszkańcy znajdują, wskazał mi ręką jakieś wertepy pod szczytami. W istocie — odgłos dzwonków, które pasterze tutejsi przywiązują do szyi krów i kóz, słyszałem niezmiernie wysoko. Począłem ściśle rozpytywać tego chłopa o ścieżki i drogi górskie, gdyż niepodobieństwem mi się wydawało zdobycie przełęczy od frontu, — jak to już raz zresztą miałem honor wczoraj zaznaczyć w twojej, obywatelu generale, przytomności.

Po długiej indagacji udało mi się wydusić z niego oświadczenie, że stąd na Grimsel można przejść nietylko dołem, nietylko brzegiem Aaru, jak tego żąda czerwona linia, ale także i górą po szczytach. Wziąwszy tę okoliczność pod uwagę — mówił Le Gras — przyszedłem do wniosku, że zamiast wdzierania się na przełęcz z dołu, po gładkich ścianach, w szacie, co prawda, geniuszu francuskiego, ale także wśród gradu kul i zepchniętych urwisk, — może byłoby wygodniej przebyć łańcuch górą, stamtąd niby z obłoku, zwalić się na nieprzyjaciela i wziąć szponami cały jego obóz, jak orlik bierze gniazdo trznadlów...

Gudin usiadł na krzesełku, przywalony niezmiernym ciężarem tej wiadomości. W gardle mu tak zaschło, że nie był w stanie słowa przemówić. Cierpiał nieznośnie, dostrzegając bez wzniesienia

powieki, że le Gras patrzy na niego i że się od niechcenia z pobłażliwością uśmiecha.

— Gdzież jest ów chłop? — zapytał nareszcie dowódca.

— Trzymam go pod strażą w izbie, przeznaczonej na moją kwaterę. Rozmawialiśmy z nim w nocy. Właśnie podpółkownik...

— Czy istotnie zna ścieżkę, po której mogłoby przejść pięć batalionów wojska?

– Mówi, że góra w pewnem miejscu jest dostępną. Jest to, rzecz naturalna, przeprawa ogromnie trudna. Trzeba iść po lodowcu...

— Ach, więc tak... — rzekł Gudin, aby tylko coś powiedzieć.

— Stamtąd możemy odrazu wstąpić na Furkę, czy zejść wprost do Urseren. Chłop zgodził się przeprowadzić nas aż do Grimsel. Kiedy go pytałem, jakiejby za to żądał nagrody, wyraził życzenie. Pragnąłby otrzymać na własność łąkę, leżącą z prawej strony Aaru u wejścia do ciasnego Hasli. Nie wiem, czy postąpiłem roztropnie: przyrzekłem mu...

— Przewodnik zostanie sowicie wynagrodzony, jeżeli zasłuży. To się zobaczy... Cokolwiekbądź i którędykolwiek, — idziemy — rzekł generał, przybierając minę tęgą. — W każdym razie pragnąłbym zobaczyć tego człowieka i sam z nim pomówić. Za chwilę będę panom służył. Chciejcie obwieścić pochód.

Obydwaj projektodawcy opuścili mieszkanie generała i wśród tłumu wojska przeszli do obszernej chaty, stojącej w pobliżu protestanckiego kościółka. Tam właśnie pojmany Fahner siedział, strzeżony jak oko w głowie przez kilku żołnierzy. Dwaj

oficerowie jęli zadawać mu nowe pytania, na co Fahner odpowiadał straszliwą francuszczyzną. Nim zdołali pojąć to wszystko, co im prawił, i zakreślić na mapie miejscowości, które nazywał, dały się słyszeć gromkie okrzyki, zwiastujące, że dowódca już wyszedł. Przerwano tedy rozprawę i Fahner w otoczeniu żołnierzy, na czele których szedł Le Gras, wyprowadzony został z izby. Przede drzwiami hotelu na wybrukowanem wzniesieniu stał Gudin. Pióra i szerokie galony na jego trójgraniastym kapeluszu, haft na wysokim odwiniętym kołnierzu i na szerokich klapach fraka — mimo półcienia — błyszczały tak uderzająco, że Fahner odrazu poznał wodza i zdjął kapelusz. Zdumiewała go tylko młodość tego naczelnika. Gudin miał lat dwadzieścia dziewięć.

Długie włosy, czarne jak krucze pióra, spadały pierścieniami na jego ramiona. Piękne czarne oczy uśmiechały się szczerze do wiarusów, pozdrawiających Francyę. Oficerowie tworzyli szeregi, umieszczając na drodze kompanie już gotowe do marszu. Bataliony drugi, czwarty i piąty stały jeszcze w łąkach. Część pierwszego myła się dopiero na brzegu Aaru. Żołnierze czesali swe długie, zakurzone i skudłane włosy, wiązali je w tyle głowy jedni drugim powrózkami w harcopfy, prali koszule i niewysuszone kładli na się z pośpiechem, łatali trzewiki i czyścili karabiny.

Dwa szeregi grenadyerów ubranych wyciągnęły się daleko w opłotki po jednej i po drugiej stronie miasteczka. Czerwone pompony i trójkolorowe kokardy na ogromnych czarnych kapeluszach

utworzyły długi szlak barwny; białe skórzane pasy od ładownic i pałaszów, krzyżujące się na piersiach żołnierzy, odbijały wyraźnie od czarnych chustek i granatowych mundurów. Cała ta kolumna była obdarta i wynędzniała. Prawie wszyscy mieli chodaki dziurawe, kamasze bez guzików a wystrzępione, jak mokassiny, spodnie rozmaitej barwy i pochodzenia. Z pod fraków, wyciętych na piersiach półokrągło tuż prawie pod klapami, widniały zamiast kamizelek brudne koszule. Natomiast każdy miał guziki na żabotach i w tyle fraka, spinające zawinięte brzegi pół, wyczyszczone cegłą na czysto.

Gudin w towarzystwie kilku oficerów przeszedł wzdłuż szeregu, a później skierował się ku domostwu, w którego drzwiach stał Le Gras z Fahnerem.

— Oto jest przewodnik, generale — rzekł kapitan, rozsuwając żołnierzy.

Dowódzca zobaczył przed sobą mężczyznę wielkiego wzrostu z rękoma i stopami kolosalnych rozmiarów. Rudawy zarost okrywał policzki tego chłopa aż prawie do samych powiek, dawno niestrzyżone włosy sterczały na jego wielkiej głowie, jak pęki trzciny. Duże, łagodne, siwe oczy spoglądały na dowódzcę ciekawie, oczy potomka Normanów, którzy, według legendy, przyszli ze Skandynawii, osiedli w Haslithal i zbudowali jej małe mieściny. Fahner miał na sobie podarty kusy spencerek, brudną koszulę i krótkie zgrzebne spodnie. Na nogach miał trepy wystrugane z drzewa, bez przyszwy, podbite szeregiem ćwieków z ogromnymi łbami a przywiązane do stopy sznurkami.

Czy jest droga stąd na Grimsel, oprócz idącej w głębi doliny? — zapytał Gudin.

— Droga?... Nie, drogi niema...

— A wszakże mówiłeś, że przejść można?

— Przejść można — odpowiedział Fahner. — Tak, przejść można.

— Gdzież jest to przejście?

— Tam...—rzekł chłop, wysuwając się naprzód i wskazując najbliższy szczyt po lewej ręce od Gutannem. Ażeby zobaczyć tę drogę, wszyscy musieli zadrzeć głowy.

— Czy sądzisz, że tamtędy może przejść cała nasza kolumna?

— Czy może? Cała kolumna? Dlaczegóżby nie mogła przejść cała kolumna? Dobrze mówię: cała kolumna... Tam przejdzie każdy, kto zna drogę. Kto nie zna i kto jest słaby—ten idzie dołem, a później obok jezior. Komu pilno do Realp, do Hospenthal, albo do Andermatt, taki idzie przez tę wysoką drogę. Kto zna miejsce, bo kto jest słaby w rękach, albo w nogach...

— A ty znasz ją, obywatelu?

— Czy ja znam tę drogę? No tak, ja ją znam, tę drogę. Ja tam chodzę, jak każdy inny w Hasli. Teraz śniegi już zeszły, lawiny w tem miejscu się nie trafiają. Dlaczegóż? przejść można, kto zna drogę i kto jest silny... Od wodospadu pójdzie się na lewo do Gelmersee...

— Czy z Grimsel nie dostrzegą nas, gdybysmy szli tamtędy?

— Z Grimsel? Czy dostrzegą? Jakże to można

zobaczyć takiego, co idzie górami? Nie, nie dostrzegą z Grimsel...

Generał zamyślił się i, nie spojrzawszy już na Fahnera, odszedł do swej kwatery. Niebawem kazał sobie podać konia.

Wówczas już oddziały wojska tłoczyły się w opłotkach, zdążając na południe od Gutannen w górę Aaru. Dwa bataliony szły w nieładzie z nad rzeki ku drodze wprost przez łąkę, wbijając w ziemię wyhodowane trawy i maleńkie działki żyta, które dnia tego 14 sierpnia, stało jeszcze niedojrzałe. Na łąkach i na podcieniu górskiem leżał mrok głęboki, ale już granatowy. Wyżej był rozkoszny, ciemny błękit, przez który przebijały się odprysłe promienie i padały na ukos od szczytów niezmiernych krzesanic Nägelisgrätli aż do północnego końca szerokiej doliny. Te drżące, półjasne smugi podobne były do strun jakieś niezmiernej liry. Same czuby turni stały już w ogniu słonecznym. Lasy u podnóża gór, ledwo w mroku widzialne, siklawy, jak białe nitki snujące się między skałami, dziwne barwy i szerokie powietrze zimnego poranku napełniały serca żołnierzy, oficerów i wodza szczytną fantazyą. Kompanie szły, jak jeden człowiek, mocno, równo, sprężyście, zostawiając poza sobą spustoszoną wioseczkę o szarych dachach domostw i obór. Z ciemnej jego gęstwiny powiał na idących chłód ostro przeciągający. Słychać też było huk donośny. Wkrótce koń Gudina zatrzymał się na wzniesieniu, jak wysoki stopień leżącem w dolinie. Widać było stamtąd piany wodospadu, fruwające między kosmatemi i czarnemi jak noc ścianami świerków. Młody generał tknął

konia ostrogą i kłusem dojechał do brzegu rzeki. Stał naprost głównego koryta żółtawo-burych wód Aaru, które tam zlatują nagle do jamy na siedemdziesiąt metrów głębokiej. Z boku do tejsamej przepaści skacze z taką furyą, jakby był strzałem wysadzony z ziemi, Aerlenbach, potok srebrzysty, ten, co „wody błękitnemi spada", wylęgły w lodach i jeszcze nie zbrudzony mułem ziemi. Z rykiem chwytają się za bary te dwie rzeki w głębinie, zmagają tam, trzaskając łbami o granit. Z czeluści, która wiekuiście wzdycha, wypadają chmurki wodnego pyłu, ogromne banie mgły ledwie widocznej, kołyszą się i błądzą nad dołem to tam, to sam, rozsiewając naokół deszcz drobny i spływając po głazach długiemi smugami, jak łzy cienkiemi. Niżej w kipiących pianach siepią się potworne kłęby, zupełnie jak nagie ciała, zdychające w kurczach boleści. Gudin mocno zdarł konia i patrzał w dziwną przepaść. Na widok boju tych pian wspaniałych myśli jego porzuciły rzeczywistość. Wydało mu się przez chwilę, że widzi tam, pośród pyłu wody znienawidzoną aż do śmierci, chudą, bladą twarz, z długiemi kudłami nieporządnej baby i oczami wilka, kościstą twarz Bonapartego ze sztychu Hudges'a, czy portretu Guerin'a. Znowu poczuł w sobie ciosy zazdrości i zachwytu, nienawiści i uwielbienia. Sława czynów chudego Korsykanina nie dawała mu chwili spokoju. Każdy biuletyn wojny włoskiej zatruwał mu pokarm i napój, niby kropla jadu. Kiedy Napoleon odpłynął do Egiptu, Gudin w skrytości ducha i ze drżeniem serca oczekiwał wieści, że zginął tam, że zarżnięty został ten tygrys, który po-

czynał już kłami i pazurami szarpać świat strupieszały. Ale oto w początkach sierpnia tego, 1799 roku, doszła Gudina wiadomość, że Korsykanin ma wracać. I zaraz ta pogłoska przeleciała nad armiami, jak wrzask wojennej trąby...

Siwy, piękny koń Gudina, połechtany ostrogą, w podskokach wybiegł z lasu na obszerną łąkę, nizko rozłożoną u stóp łańcuchów górskich i zupełnie podobną do placu, na którym stoi Gutannen. Tutaj kończyła się szeroka dolina. W górę szedł stamtąd ciasny wąwóz między stromemi skałami, a na końcu jego widać było poprzeczne górskie siodło: Grimsel.

Bataliony wojska stały już uszykowane na tej łące i nieruchomo spoglądały na wylot szczeliny Hasli i na otaczające turnie. Z prawej strony widać było drożynę, prowadzącą na przełęcz. Była to perć, wybrukowana płaskimi głazami i dobrze ubita. Zbudowano ją w wieku XV, czasu krwawych walk między berneńczykami a chłopstwem z doliny Rodanu, jakie wynikały zazwyczaj z powodu „600 owiec i 20 koni". Drożyna szła odrazu w górę, wysoko nad Aarem, który wypadał z pomiędzy skał na łąkę, jak zziajane i śmiertelnie poranione zwierzę.

Fahner, podążający szybko za generałem wskazywał ciągle ręką na lewo, gdzie ze szczytu góry zlatywał na samo dno doliny wodospad Gelmerbach. Kapitan Le Gras zbliżył się do Gudina i szpadą wskazał mu kierunek pochodu, mówiąc:

— Zaszedłszy poza łańcuch tych szczytów znikniemy dla Austryaków na całą dobę. Ujrzą nas aż wtedy, gdy wyjdziemy z za ostatniego, który tam oto widać...

Twarz jego wyrażała niepokój. Bał się by generał na złość nie uparł się iść doliną Hasli.

— Dwie kompanie pierwszego batalionu — rzekł Gudin wyniośle — udadzą się natychmiast ścieżką w górę Hasli. Ukażą się demonstracyjnie nieprzyjacielowi, stoczą z nim utarczkę, jeżeli to będzie możebne...

W oczach kapitana błysnęła radość i głęboka wdzięczność. Młody dowodzca wykonywał jego plan i rozwijał go trafnie.

— W pobliżu jezior jest na Aarze zerwany mostek kamienny...—szepnął jeszcze Le Gras nieśmiało.

— Właśnie... Dwie kompanie pierwszego batalionu zajmą się ostentacyjnie naprawianiem mostku... — rzekł znowu Gudin z taką powagą, jak gdyby bardzo dawno myślał o zerwanym moście, którego reparacya, może służyć za wyborny sposób bałamucenia Austryaków i maskowania czynu istotnego. Po chwili obwieścił zgromadzonym oficerom, że sam uda się w towarzystwie dwóch kompanii doliną Aaru. Wypocząwszy, kolumna ma bez wielkiego pośpiechu wstępować na górę obok Gelmerbachu ścieżkami, które wskaże chłop — przewodnik. Nad jeziorem Gelmersee całe wojsko ma się zatrzymać i czekać.

— Będziecie tam wypoczywali — mówił — dopóki nie przybędę. Mam nadzieję, że zdołam powrócić zanim wszyscy dojdziecie do owego jeziora.

Dwie kompanie uszykowały się i dwójkami poczęły wstępować na ścieżkę, Gudin ze swymi adjutantami wjechał między tłum żołnierzy i posuwał się zwolna. Wkrótce półbatalion znikł w lesie świerkowym, w ostatnim lesie, za którym dalej

gdzieniegdzie czepiały się tylko karłowate olszyny i kosodrzewina. Między szczytami Nägelisgrätli strzelały już promienie słońca na przeciwległe wyżyny. Wielkie, świetliste place blasku skoczyły na czarne pole granitów, na dzikie krzesanice, gdzie już tylko gdzieniegdzie żółty mech połyskuje. Zwolna to światło przybliżało się do rzeki, objęło las świerkowy, wynalazło w nim i zatliło wszystkie krople rosy, wypędziło barwy granatowe i rozpostarło inne, pełne odmian i cieniów. Za lasem ukazała się w słońcu szybko maszerująca kolumna, podobna z oddalenia do wielkiej piły, która się wrzyna w bok góry. Pióra na kapeluszu Gudina połyskiwały, i każdy ruch jego głowy widać było doskonale. Le Gras, stojąc przed frontem swej kompanii tłumaczył żołnierzom, w jaki sposób wykonany będzie atak na Niemców. Starzy grenadyerowie, którzy z niejednego już pieca chleb jedli, pojęli go natychmiast i dopytywali się o drobne szczegóły. Młodzi zasięgali informacyi od wyjadaczów i z osłupieniem szukali oczyma swej drogi na gładkich ścianach górskiego łańcucha. Byli to ludzie z rozmaitych stron Francyi: z pod Pirenejów i z pod Ardenów, Bretończycy i Normandowie, górale i chłopi z równin.

— A wy tam pojmujecie o co rzecz idzie?— zapytał Le Gras dwóch żołnierzy, nadzwyczaj ciekawie przysłuchujących się temu, co mówił.

— *Oui, je comprends...! oui*—rzekł jeden z nich, wskazując ręką na góry. *L'ennemi là, — nous là! Après nous l'ennemi...* z tyłu za łeb i kolanem go ścierwę! *Vous comprenez?* Cały szereg prędkich,

gwałtownych i plastycznych ruchów ilustrował doskonale odpowiedź starego żołnierza i zrozumiany został wybornie przez wszystkich.

— To to, tak właśnie! — mówił kapitan ze śmiechem.

— Ty rozumiesz, co gadał?... — zwrócił się ten stary żołnierz do młodszego kolegi, z którym przed chwilą rozmawiał.

— Coś miarkuję, ale jak to to ma być, tego nie mogę...

— Tak, widzisz, będzie. Twoje szwaby siedzą na tamtej górze, co stoi napoprzek — prawda?

— No, juścić prawda.

— Jakby my do nich szli dołem, toby nas przecie kamieniami zafrygały. Tak gadał Legra — i sprawiedliwie. Tak, widzisz bracie, ten stary świcer z Gutanowa, co go Legra wczoraj zajął, ma pokazać drogę niby tędy, miarkujesz?

— A i gdzież tu tędy przejdzie, ogłupieliście?— zaperzył się młody.— To ta i wy rozumiecie, co gadają! Jakże by to wlazł, na takie mury?

— To już nie moja głowa. Mówią, że wlezie. Jakeś stąd patrzał, to się widziało, że *żeneral* i te dwie kompanie, co z nim poszły, że mówię, idą po gładkiej ścianie, jak mucha po szybie, a ona tam przecie jest dróżka — i niezła. Wiesz tera?

— Oj, głupie, głupie ludzie, żeby w takich przecież górach siedzieć! słyszane rzeczy...

— Czekaj, bracie, jak cię jeszcze szwab wytnie w zęby kulką na takim koniuszeczku góry, to se dopiero namachasz kozłów, zanim się roztrze-

piesz po kamieniach. Ale co tam!... *Rira bien qui rira le dernier*... Wiesz co znaczy taka gadka?

— Ij — co mi ta przyjdzie z waszej gadki? Ckliwo mi oto patrzeć na takie...

— Weźże i chlipnij tego czerwonego wińska. Za gorzałkę ono nie obstoi, to jest prawda, ale zawsze człowieka coniebądź otrzeźwi...

Obadwaj pociągnęli z manierki i zakąsili skibką uschniętego chleba. Starszy żołnierz należał do kategoryi wytrawnych lisów. Widział świata niemało i w niejednej wojnie łba nadstawiał. Z Berlina, gdzie się znalazł po ukończeniu pierwszej z tych wojen w jego życiu, poszedł z kilkoma kamratami do Francyi, zasłyszawszy, że się tam tęgo biją i złudzony obietnicą, że tam więcej kamratów znajdzie. Towarzysze rozproszyli się po drodze, on zaś sam dowlókł się do granic francuskich i, poszukując swoich, zapisywał się do rozmaitych pułków z kolei. Tymczasem lata upływały na szukaniu daremnem. Języka się poduczył, nabrał przywiązania do kapitana Le Gras, do kapralów i sierżantów swego batalionu, którzy mu na biwakach różne różności opowiadali. — Został. Ostatnimi czasy, po rozpoczęciu wojny z Austryą, zetknął się ze swojakiem. Był nim jeniec, młody piechur, wzięty w kupie innych Austryaków w potyczce pod Zurichem. Stary wiarus dołożył wszelkich starań, ażeby jeńca namówić do wstąpienia w szeregi francuskie, a władze do przyjęcia go na żołnierza. Gdy mu się to udało, rozpostarł nad przybłędą iście braterską opiekę. Uczył go języka, choć sam ledwo piąte przez dziesiąte mówił i rozumiał, czyścił mu kara-

bin, łatał uniform, zaplatał włosy, wyręczał we wszystkiem i oddawał mu najlepszą część jadła i napitku. Za to wszystko gadał do niego... I młody polubił wiarusa taką mocą przywiązania, jaka tylko na wojnie wyrasta. W ciągu sześciu miesięcy zrośli się ze sobą, jak dwie połowy tej samej kości żyjącego ciała.

Ledwo żołnierze spożyli po kromce chleba, już kapitanowie wywoływali przed kompaniami rozkaz wstępowania na górę. Rozmowy nagle ucichły i kolumna wolno ruszyła z miejsca, jak monstrualny wąż, migając łuską bagnetów i ładownic. Przewodnik, który postępował na czele, wprowadził pierwszy batalion idący za nim na ścieżkę obok wodospadu Gelmerbach. Żołnierze mieli ciągle przed oczyma białą pręgę wody, zlatującą na dolinę z wysokości stu metrów z górą. Szyk wojskowy rozbił się wkrótce, gdy każdy grenadyer musiał własnym przemysłem odszukiwać sposób wdzierania się na górę. Ścieżka ginęła wśród złomów strąconych kamieni i drzew, a tylko kiedy niekiedy spostrzedz ją było można w postaci głębokich, ślizkich i prostopadle zbiegających wyżłobień w glinie. Na tem zboczu łańcucha wciąż jeszcze leżały cienie. Kroplista rosa jak śnieg bieliła się na świerkach i trawach. Mokre kosówki wyciągały z gęstwiny swe długie gałęzie i zagradzały drogę żołnierzom. Ludzie szli rzeżko, przejęci ciekawością, co też spostrzegą za krawędzią, z której zlatywał wodospad;— z bezwiedną uciechą wciągali w płuca powietrze czyste i rzadkie i, jak ogromna kompania wesołych turystów, skracali sobie drogę, przecinając ścieżkę

zygzakowatą. Cały las u podnóża rozciągnięty wrzał od gwaru, który, wzmagając się ciągle, zagłuszył wkrótce jęk białej siklawy. Starsi i młodsi oficerowie nie powstrzymywali tego nieładu, sami uniesieni rozkoszą wdzierania się na stromą pochyłość o tak cudownym poranku. Stanąwszy na wierzchołku pierwszej skały, postępujący na czele procesyi ze zdumieniem ujrzeli przed sobą jezioro, staw, nie większy od Czarnego pod Kościelcem w Tatrach. Za tem jeziorem stała roztwarta dolina Diechterthal, pusta, raptownie dźwigająca się do góry, pozbawiona już drzew, a pełna smutnych wałów, osypisk i brył kamiennych, wśród których kipiał dziki potok. Z prawej i lewej strony śmigały stamtąd w górę brunatne, szare i czarne turnie o powierzchniach stromych i gładkich, wypolerowanych przez wody. Tu i owdzie widać było na nich rysy, żłoby i faliste linie, tajemnicze hieroglify lodowców, które stamtąd przed wiekami odeszły. Nizko na zrębach tych skał wisiały kępy kosodrzewiny, podobne z oddalenia do mchu. Wyżej kołysały się w przestworze pogięte jej gałązki, nie grubsze dla oka od źdźbeł trawy.

W pewnem miejscu, wychylając się daleko z pomiędzy dwóch krzesanic, wisiała nad otchłanią krawędź lodowca. Ten gzems, niezmiernie równo wykrajany i gładki, stał w płomieniach słońca, i oślepiająco czysta farba lodu ciskała się w oczy nadchodzącego wojska, raziła je i zdawała się być podobną do niezmiernego miecza, który jakaś ręka podniesiony trzyma.

Kiedy całe wojsko odbywało ten pierwszy

etap swej drogi, Gudin szybkim marszem dosięgnął końca Hasli i znalazł się przy zburzonym moście na Aarze. Nie tracąc ani chwili czasu, skoczył na koniu w rzekę i przebył ją szczęśliwie. Kiedy jednak siwy arab wyskoczył na brzeg, koło uszu generała świsnęły kule, a z za wału, zakrywającego dwa jeziora grimselskie wysunął się oddział żołnierzy w białych mundurach. Dwie kompanie Gudina przebyły rzekę i nagłym marszem rzuciły się na Austryaków. Bermyce jeszcze raz dały ognia i cofnęły się w stronę gospody, przy jeziorach stojącej. Gudin nie poszedł za niemi. Odjechał jeszcze dalej na bok w górę rzeki, tam się zatrzymał ze swymi oficerami i począł rozpatrywać miejscowość. Wówczas dopiero zrozumiał, co chciał uczynić, zamyślając zdobywać tę przełęcz. Dolina Hasli tam się kończyła. Zamykała ją poprzeczna góra, na tysiąc stóp wzniesiona ponad jeziorami, a łącząca dwa kolosalne łańcuchy górskie. Grobla ta miała kształt siodła, a boki jej, spadające raptownie, tworzyły amfiteatr, u stóp którego leżały dwa ciemnozielone jeziora. Była to granitowa pustynia, jama z kamieni, miejsce, którego widok przejmował dreszczem, jak myśl o śmierci. Skały tam były nagie, ślizkie i tylko u dołu powleczone żółtawo-rudymi mchami. Wyżej bieliły się tu owdzie szare plamy. Były to miejsca puste po taflach, które się urwały. Naokół wyszczerzał swe zęby szereg Nägelisgrätli i piramidy Finsteraarhornu. Od stóp jego wydzierał się z lodów bury Aar. Gudina począł zaraz nękać dziwny hałas tej rzeki. Wody jej monotonnie jęczały, długą, wciąż powracającą gamą okrutnego

szumu, zanosiły jakąś skargę, zawodziły jakąś pieśń, złożoną z potwornych melodyi. Zdawało się, że z głębi tych zimnych pieczar głosi epos natura — o przedwiecznych pracach kropel, o wiekuistem zwycięstwie wód i umieraniu kamienia, o wielkich pochodach lodu, o nacisku, który cierpią skały i o cieple, rodzącem walki...

Kupa żołnierzy austryackich, odepchnięta do schroniska, dała widocznie znać o przybyciu Francuzów, bo szczyt przejścia Grimsel ożył niejako. Na starej dróżce ukazywały się tłumnie białe figurki z wielkimi czarnymi łbami, nie większe od koników polnych, i zajmowały sprawnie każde załamanie się perci, idącej po stromem zboczu niereguralnymi skrętami i zębami. Gudin wysłał swoje dwie kompanie pod samo schronisko i polecił im przez dzień cały ukazywać się, cofać, odbudowywać most, wspinać na skały i wogóle sprawować, jak awangarda napastniczej kolumny. Sam przeleciał na koniu galopem cały ów wązki zakręt, dotarł do podnóża góry, wszystkiemu się przyjrzał i co koń wyskoczy wrócił do brodu. Przebył rzekę — i w towarzystwie tylko dwóch subalterów oraz luzaka, dozorującego konie, śpiesznie wrócił na miejsce, skąd całe wojsko poczęło iść na góry. Czarne ślady na rosie, zdeptane trawy i ułamane krzewy wskazywały mu kierunek pochodu. Generał i dwaj oficerowie zsiedli z koni, zostawili je żołnierzowi, a sami odrazu puścili się w drogę. Gudin biegł pod górę jak jeleń w swych węgierskich butach, za których ugalonowane, krótkie cholewy nalało mu się pełno wody podczas przebywania rzeki.

Z umęczenia i niepokoju wewnętrzego niebawem tchu mu zabrakło, więc odwiązał z bioder szarfę, z szyi chustkę, rozpiął frak, kamizelkę, koszulę i tak z odkrytą piersią sadził na przełaj. Ośmnaście kompanii grenadyerskich wypoczywało, siedząc półkolem na brzegu jeziorka Gelmer, kiedy na zrębie skały zjawił się młody generał, zmordowany tak bardzo, że z każdego jego włosa pot kapał.

— Idziemy dalej w tę dolinę? zagadnął odrazu przewodnika, ukazując na Diechterthal.

— O, nie! — rzekł Fahner.—Ta dolina nie zaprowadziłaby nas w stronę Grimsel. My pójdziemy wprost na szczyty.

— Którędy? spytali oficerowie, zdumieni tem oświadczeniem, gdyż naokół widać było tylko ściany pionowe.

— Pójdziemy poza tą skałą. Innej drogi niema — rzekł Szwajcar obojętnie.

Zaraz też ujął swą siekierę na długiem toporzysku z obuchem okrągłym, niby jabłko, i szerokimi krokami poszedł brzegiem jeziora. Kompanie uszykowały się i okrążyły jezioro. Ślad drogi wlókł się do podnóża wydatnej skały, która czarnemi taflami schodziła wprost do wód jeziorka. Wyminąwszy tę skałę, wojsko zobaczyło nareszcie swoją drogę. Dreszcz strachu i szept stłumiony przeleciał wskroś tłumu. W tem miejscu masa granitu, tworząca łańcuch cały, rozpękła się i jakby rozsunęła w dwie strony. Między chropowatemi powierzchniami tych ścian, wznosił się do góry wązki przesmyk, niby komin, od samego jeziorka aż do białych stogów lodowych. Z górnego krańca owego przejścia

wywalał się na dół lodowiec, zczerniały po wierzchu, a jasnozielony w swych pęknięciach i pieczarach. Ta szczelina od jeziora Gelmer do szczytu Thierälplistock, wspinająca się na przestrzeni 2000 metrów, wydała się żołnierzom Gudina podobną do wielkiej trumny, wysłanej prześcieradłem, której wieko, na ich przyjęcie odwalone, zatrzaśnie się, skoro tylko tam wstąpią. Słońce, wzbijając się coraz wyżej, sięgało już promieniami i do tej czeluści, ale oświetlony był dopiero jej wylot szczytowy. W tych punktach ogrzanych rodziły się seledynowe obłoczki, stały na miejscu, biorąc na się przeróżne postacie, a potem wolno pełzły w górę kominem ku jasnemu szafirowi nieba. Niżej lód szarzał w półzmroku, a z trupiej jego masy tchnął na ludzi strach wielkooki, strach, co łechce pod deką piersiową i ściska pięty żelaznemi kleszczami.

Przewodnik brnął zwolna po kostki w piasku rozmytym, zmiękłym i pociętym przez mnóstwo strumyków.

— Trzecia kompania! — zawołał Le Gras i ze szpadą w ręce poprowadził swoich ludzi.

— Naprzód!—komenderowali dowódzcy innych oddziałów. Kolumna wcisnęła się między skały, przebyła mokry wysiąk lodowca i wstąpiła na pochyłość, zasłaną śniegiem lepkim i miękkim. Było tam tak szeroko, że kilkunastu piechurów rzędem iść mogło. Już przodującym szeregom nogi dobrze w śniegu więzły, kiedy zaś bez mała dwa tysiące ludzi przemiesiło go obcasami, to kompania, idąca w tyle, musiała już brnąć przez tę zaspę, zarabiając się powyżej kolan. Mimo to pod nieustanną komen-

dą i zachętą oficerską szeregi szły tęgim krokiem. Nikt nie patrzał ani w górę, ani na dół. Każdy żołnierz miał wzrok skierowany na towarzysza, idącego przed nim, i widział tylko harcopf, okręcony powrózkiem, zgięte plecy, na których nizko, pod łopatkami, leżał płaski tornister, i poły fraka, tak długie, że się niemal wlokły po śniegu. Chrzęst pod nogami bryłek lodowatych, szelest marszu całego wojska, szczęk broni—zamknięte między dwiema ścianami i ciągle się o nie tłukące — podsycały energię ruchów. Wszyscy zapomnieli o tem, że idą po raptownie uciętem zboczu, i każdy całego siebie kładł w chód towarzyski, w konieczność dotrzymania kroku. Zwarta masa tych ludzi zgiętych podawała się naprzód stale i równo, jak jedno ruchome ciało.

Wdarłszy się o jakie trzysta metrów wyżej, spostrzeżono, że śnieg twardnieje, staje się suchym, sypkim i że czuć pod nim warstwę nieruchomą. I samo przejście zwężało się corez bardziej. W pewnem miejscu była tam jakby platforma pochyła, na której mogła zgromadzić się i zmieścić cała kolumna. Pozwolono nieopatrznie żołnierzom przystanąć i spojrzeć poza siebie. Ujrzawszy tę spadzistość gwałtowną bez żadnego czarnego punktu, na którym oko mogłoby się wesprzeć, tę białą, gładką, ślizką równinę, a u podnóża jej czarną szybę wody—żołnierze poczęli siadać na śniegu, czepiać się rozpaczliwie rękami za poły frakowe towarzyszów, odwracać się plecami i zamykać oczy. Tu i ówdzie słychać było krzyk bezmyślny, a w pewnym szeregu żołnierz blady jak trup płakał głośno, trzęsąc

się na całem ciele i sięgając rękoma do tej właśnie przepaści. Azeby ratować się z przykrej sytuacyi oficerowie jęli przynaglać strwożonych do wstępowania wyżej, ale te ich zamiary powstrzymał przewodnik.

— Tu musimy chwilę odpocząć — wołał ze swego wyższego miejsca — musimy zebrać siły, bo teraz wstępujemy na lody.

Skoro wyraz *lody* obił się o uszy żołnierzy, poczęli zbijać się w kupę, tulić do skały i pchać jedni drugich, jak zgłupiałe owce. Grenadyer płaczący łkał coraz głośniej, powtarzając nieustannie jakąś jedną sylabę i wydzierając się z rąk kolegów. W kupie starych weteranów, którzy już niezliczone razy śmierć napastowali, którzy dobrze widzieli, jaka ona jest i jak zabija, — słychać było teraz pomruk zuchwały.

— Ten chłop jest zdrajcą!—mówili niby to jeden do drugiego, ale tak, żeby ich starsi oficerowie słyszeli.—To jest wysłaniec pludrów! Tędy nikt nie przejdzie! Wolimy zginąć w bitwie z karabinem w garści, wolimy iść do bitwy! Nie chodźmy tędy! Nie pójdziemy!

Labruyère, Le Gras i inni oficerowie patrzyli z podełba na tych starych. Czuli oni, że kolumna tak zniechęcona nie przejdzie po białej smudze, zarzuconej nad ich głowami wprost, widziało się, na chmury. Gudin ze zwieszoną głową, nieruchomy siedział na występie skały i obserwował swoje roztrzepane buty. Nagle, gdy gwar w tłumie zamieniał się na hałaśliwe pogróżki skierowane do przewodnika, generał wstał powoli ze swego miejsca.

Twarz jego było prawie granatowa, okryta krwistemi plamami, po bokach jej wisiały pasma przeponych włosów. Oczy jego patrzały z dzikim spokojem z pod brwi zsuniętych.

— Żołnierze! Żołnierze! — zawołał głosem nizkim, a tak dziwnie donośnym, że ludzie umilkli, jak jeden. Zdawało im się, że ten szczupły oficer nagle się w oczach ich rozrósł. Zlękli się jego twarzy i głosu. Gudin nie mógł wymówić ani słowa więcej. Wzniósł tylko szpadę ku górze potężnym gestem wodza.

Dziwna podnieta przeszyła wojsko. Żołnierze w ponurem milczeniu zwrócili się twarzami do lodowca i, gdy przewodnik wstępować nań zaczął, ruszyli za śladem. Lód tam leżał niezmiernie grubą warstwą, wygięty ku skałom, jak rynna. W pewnem miejscu spadzistość była już niemożliwą do przebycia. Wówczas przewodnik zaczął swą siekierą rąbać w lodzie otwory. Wybijał po trzy w rzędzie dla trzech żołnierzy. Bryły odcinał tak zgrabnie, że mógł je podawać do rąk żołnierzom, a ci rzucali je w szparę między skałą i pokładem lodu, aby zlatując, nie zraniły kogo w ostatnich szeregach. Fahner stawał obiema nogami w *stopai*, a wtedy prawą nogą wstępował w dopiero co opuszczoną przez niego żołnierz, tuż za nim idący.

Godziny, długie jak stulecia, minęły zanim cała kolumna na lód wpełzła. Gdy to się stało,— w tym potrójnym rzędzie zapanowało śmiertelne milczenie. Każdy grenadyer miał ręce wsparte na karabinie, którego kolbę umieszczał obok nogi towarzysza, idącego przed nim. Każdy miał nos przy

pięcie swego poprzednika. Wszyscy obserwowali, jak to śmiałym żołnierzom, a nawet buńczucznym oficerom drżą łydki, ile każdy ma łat na kamaszach i przyszczypków na trzewiku. Każdemu ciężył niewielki tornister i przejmował bolesną obawą, niby wielki tłumok, który może człowieka w tył przegiąć i zwalić z góry. Nikt nie wiedział, gdzie jest generał Gudin. Wodzem i panem wyprawy stał się chłop niezgrabny. Jego wielka siekiera dźwięczała w lodzie, jak gdyby cięła sztuki żelaza. Schyleni żołnierze słyszeli w głębinach lodu przedziwne odgłosy jej uderzeń, stukające to tu, to tam, to wgórze, to nizko. Niekiedy wycięta bryła lodu odlatywała z pod siekiery i piorunem sunęła po zboczu lodowca, wydając przeraźliwy szelest — *csuuu...* Wtedy zdawało się wszystkim, że lód wysoko trzaska, i że cała jego masa leci. Prawie wszyscy rachowali stopnie, ale nikt nie mógł zdać sobie sprawy, jak długo już idą. Słońce wychyliło się z za czarnego szczytu i zalało przejście potopem gorąca. Zaraz też z góry sączyć się poczęły maleńkie kaskady, zalewając stopaje, i, jak złe pijawki, szczypały nogi przechodniów zimnem śmiertelnem. Uczucie kostnienia w stopach jeszcze bardziej potęgowało ból pod kolanami.

— Co czynić, jeśli kto ma mdłości?—nagle zapytano z szeregów. Okrzyk ten, powtórzony przez kilku kapralów, sierżantów i oficerów doszedł do uszu przewodnika.

— Kogo nudzi, niechaj się zaraz kładzie piersiami na lodzie i niech wziewa zimno.

Zapytania umilkły, ale wnet dały się słyszeć jęki, przekleństwa i gwar niespokojny.

— Nie oglądać się, to nie będzie mdłości! — zawołał Fahner głosem ochrypłym, rąbiąc bez przerwy z niesłabnącą energią. Zbliżył się już do skały, leżącej na środku tego przejścia. Był to głaz spiczasty. Czarna masa kamienia ściągała promienie słoneczne i odparzyła dokoła siebie głęboką kotlinę. Rozkruszone i na miał rozmyte części te bryły dosyć grubą warstwą błota ściekały od jej stóp na dół po czystym lodzie, jak ropa żywej rany. Fahner dosięgnąwszy tego miejsca, musiał zgarnąć błoto, usuwające się pod nogą, i naprzód ubijać grunt swymi trepami, zanim tam stanął odważnie. Ale w tem oparzelisku, pochylonem tak bardzo, strach było stawać na zmurszałych kamieniach, poszedł tedy na prawo, oparł się korpusem na granicie, a nogi wpuścił w szparę między macierzystą skałę i pokładem lodu. Każdy żołnierz musiał wykonać to samo. Zanurzali się jeden po drugim w szczelinę i, nie dosięgając wcale jej dna nogami, łokciem prawej ręki na ścianie, a ramieniem lewej na lodzie oparci posuwali się żabimi ruchami daleko za ową przeszkodę, na środku drogi sterczącą. Gdy pierwsi w szeregu wydźwignęli się z jamy na powierzchnię lodowca — weszli znowu w stopaje.

Rozpacz szarpała ich serca. Wzniósłszy oczy do góry znowu spostrzegli pasmo drogi, tuż nad karkiem wiszące, a nie odwracając głowy, głębią mózgu widzieli obraz bezdennej przepaści, rozwartej pod piętami. Wówczas była to już sroga bitwa z tą górą. Zdawało się, że wysokość niema końca, że

z przebytych garbów, które się przedstawiały jako szczyty, jako kres drogi—wyrastają w oczach nowe kikuty i kłęby tej hydry straszliwej. Gdy nerwy dygotały w znużonych ciałach, gdy zdawało się, że człowieka spali ogniem własna jego skóra, należało cierpieć bez ruchu. Z dołu słychać było coraz głośniejsze westchnienia i jęki Co chwila wołano, że ktoś omdlewa i cucono go kłuciem bagnetu i wrzaskiem. Wśród popłochu i obłąkania, które od człowieka do człowieka przechodziły i trzęsły każdego w żelaznych swoich pazurach, nagle rozległ się dziki, jak te góry, śpiew Fahnera:

Alli Manne standet y!
Die vo'r Emme, die vo'r Aare
Stark und frei i Not und G'fare
Alli Manne standet y!

Ta pieśń jodlera mocna, swobodna i odważna miała w sobie coś z dźwięków siklawy spadającej w zlodowaciałe kłęby śniegu, miała coś z dalekiego echa i z przeraźliwych krzyków orła, które się rozlegają między skałami. Skargi żołnierskie ucichły Chłop przestał rąbać, odwrócił się, wsparł znużone ręce na toporzysku, rozprostował swe wielkie ramiona i znowu zaśpiewał:

Mir wei freyi Schwycer sy!
Rüst üs d's Land zum Schutz a d'Grenze
Lue wie d'Auge all'ne glänze
Mir wei freyi Schwyzer sy!

Po chwili śpiewał znowu:

Üse Mutz isch gärn der by
Stellęt ne a d'Spitzi füre
Sapperment er stieret düre...
Üse Mutz isch gärn der by.

Skończywszy piosenkę, wyrzucił z piersi przeraźliwy krzyk, podobny do piania koguta i znowu wściekle rąbać zaczął. Jeszcze kilkadziesiąt stopni— i przed oczyma pierwszego szeregu kolumny ukazało się pole śnieżne, bardzo pochyłe, ale już nie strome. Komin się urwał. Oficerowie zakazali krzyków, to też wojsko w milczeniu oddawało się radości. Żołnierze wychodzili na lodowce, ociekając wodą, unurzani w błocie, spoceni i ogorzali od wiatru. Gudina ledwo można było poznać. Jego frak był poszarpany, kapelusz zgnieciony, jak stary pantofel, ręce pokrwawione, piękne włosy, jak wygrabek siana. Gdy wszyscy dostali się na pochyłość, próbowano sformować bataliony, aby iść pod szczyt Thierälplistock, ale trudno było utrzymać porządek. Naokół roztaczał się widok tak dziwny, że najenergiczniejszym oficerom opadły ręce i wyrazy zamarły na ustach. Wszyscy próżno szukali oczyma— ziemi. Jak daleko wzrok sięgał leżały kształty z państwa snu, czy maligny. Dusze tych ludzi z równin, z zielonych płaszczyzn struchlały na widok oceanu przedziwnych gromad lodu i granitu. Odkryły się przed nimi tajemnicze pustynie Alp berneńskich — „*alt fry Weissland...*"

Po drugiej stronie doliny Hasli, która u stóp ich leżała, piętrzyły się góry: Schreckhorn, Wetterhorn, Eiger, Mönch, a dalej strzelały w górę dwa białe stogi Jungfrau, łącząc się z niezmiernemi polami Wielkiego Aletsch'u. Były tam jakieś cielska, grzejące się na słońcu, strzaskane gmachy, potłuczone wieże, ogromne postacie, jak Mönch; albo tak dziwne, tak zagadkowe i przykuwające do siebie

wyobraźnię człowieka, jak Finsteraarhorn. Stały tam jakieś zjawienia z tamtego świata, zarysy do niczego na ziemi nie podobne, jakieś strachy i poczwary, jakieś wizye, w obłąkaniu poczęte. Trzy czyste barwy — niebieska, czarna i biała jedynie tam widzialne, rzucały się do oczu i napełniały dusze niepokojem. Zwracając oczu w dolinę Aaru, żołnierze widzieli jeszcze wioskę Gutannen, podobną do stadka kuropatw zbitych w kupkę na szarej miedzy. Aar, rzeka kipiąca łańcuchem wodospadów, wydawała im się jak smużka twardego śniegu. Ruch wody zginął dla oczu, ryk jej daleko został w przepaści. Las, ostatni las za Gutannen, czerniał, jak kępa tarniny. Żołnierze z utęsknieniem spoglądali w stronę tego lasu, w ciemności wrażeń i przeczuć jedno pojmując, że to, co ich otacza, ten widok bezduszny, skostniały i obcy — to jakaś zła zapowiedź, to sprzymierzeńcy nieprzyjaciela.

Zwolna poszli w górę i przebyli zaklęsły, łagodnie nachylony Aelpligletscher. Kiedy wyminęli okrągły grzebień tego lodowca na wysokości 3390 metrów, ukazały się im wschodnie łańcuchy alpejskie, a u stóp, dolina Urseren. Schodząc niżej, znaleźli się na głównym placu lodowca Rodanu, w okolicy jego zwanej *im Sumpf*. To miejsce zamknięte było z jednej strony przez szczyt Schneestock, Rhonestock, Galenstock, — z drugiej przez Gelmerhörner. Powierzchnia lodowca ociekała wodą i, zdawało się, drżała w oparach. Małe strumyki z szumem po niej leciały do pęknięć, do wązkich, zielonych szczelin i z melodyjnem dzwonieniem spadały w przejścia ukryte. W miejscach zaklęsłych szkliły się ró-

żnobarwnie płytkie jeziorka. Po brzegach wystawały nad lodowcem kamienne szczyty, próchniejące i zasypane naokół wałami zwietrzałych kamyków. Od skały do skały biegły przez całą szerokość wygięte martwe fale, niby krzywe zagony. Cała ta masa usiłowała wylać się przez każdy wyłom między szczytami, a wszystka, widziało się, płynęła niby szeroka i wzburzona rzeka z mnóstwem dopływów. Z największą jednak gwałtownością tłoczyła się w nizinę między Furką i spiczastymi szeregami skał Nägelisgrätli. Tam, zwężając się i jakby dusząc w ciasnem gardle, lody piętrzyły się spękane na tafle, wyszczerzały swe kły i waliły na dół martwym wodospadem.

Żołnierze byli głodni, jak stado wilków. W rzadkiem powietrzu, po pracy wdzierania się na wyżynę — byliby gryźli własne chodaki. Dowódca i oficerowie, sami zgłodniali, naglili do marszu, żeby przed zapadnięciem nocy stanąć nad karkiem nieprzyjaciela. Gdy kolumna zbliżyła się do szczytów Nägelisgrätli, już dzień się kończył. Słońce dosyć jeszcze wysoko stało nad horyzontem, a na dolinę Rodanu, na zamknięty kąt jej pod Furką, który się wojsku ukazał, mrok spadł nagły, przez zmierzch niepoprzedzony, ciężki, jak wieko. Całe góry, wielkie białe góry, stały przed tarczą słoneczną oblane purpurą. Przestrzenie pól śnieżnych widać było, jak na dłoni, a Finsteraarhorn, niby ogromna wrótnia, zamykająca drogę do tamtego kraju, rzucał cień tak długi, jak całe pasmo górskie. Fioletowe chmury wolno wypływały z dolin berneńskich i cicho szły po niebie różowiejącem.

Fahner skręcił z lodowca na prawo i szedł w górę pod kamienne szczyty. Wojsko podążyło za nim i stanęło na morenie, podobnej do fortecznego wału. Nie rosła tu ani jedna trawka, ale było sucho. Gudin poszedł za przewodnikiem jeszcze wyżej, wdarł się na skałę i dosięgnął przedziału między dwoma cyplami. Podtrzymywany przez mocne łapy szwajcara wysunął głowę i spojrzał na drugą stronę. Zaraz cofnął się i, chichocząc jak dziecko, zaczął wołać na oficerów:

— Chodźcie tutaj! Żywo! Patrzcie!

Wszyscy zbliżyli się i spoglądali kolejno. Tuż za temi skałami było przejście Grimsel. Leżało o jakie pięćdziesiąt metrów niżej, a o pół kilometra było oddalone. Łańcuch Nägelisgrätli urywał się o kilkadziesiąt kroków dalej i łagodna pochyłość od stóp ostatniej skały zbiegała ku środkowi tego przejścia, gdzie w zagłębieniu stało posępne i złowieszcze jezioro — Todtensee.

Ostatnie już, niemal poziome promienie słońca ślizgały się na grzbietach jego fal, rozchwianych przez łagodne podmuchy wieczorne.

W przepaści czerniały dwa spojone ze sobą jeziora grimselskie, które Gudin widział rano z oddali. Płonęły tam ogniki i złotymi słupami odbijały się w czarnej wodzie. Całe urwiste zbocze góry od strony Hasli zajęte było przez oddziały wojsk austryackich. Po drugiej stronie Aaru płonęły również ogniska na wysokości drogi do Gutannem, rozpalone przez dwie kompanie francuskie, które sumiennie tropiły nieprzyjaciela i udawały wielki oddział. Na szczycie Grimsel przy jeziorze Todtensee

była tylko mała gromadka żołnierzy i sporo starszyzny.

Gudin, objąwszy wzrokiem całą tą pozycyę, począł mówić szeptem:

— Co czynić? Czy napadamy?

Wszyscy mimowoli zwrócili spojrzenia na Labruyèra i Le Gras'a, właściwych kierowników wyprawy.

— Co do mnie — rzekł Labruyère ze zwykłą oziębłością — to sądzę, że nie należy dziś napadać dla dwu powodów. Po pierwsze dlatego, że Austryacy znajdują się teraz na stronie Hasli, więc, napadając, zepchniemy ich do jezior Grimsel. To nas zmusi do ścigania po nocy w tym kierunku, dokąd wcale iść nie mamy, bo my przecie musimy brać Urseren i zapewne pomagać Thurreau w Villais, wypierając Austryaków stąd, z górnego końca doliny Rodanu. Powtóre — nasz żołnierz upada, musi odpocząć i zjeść. Nic nie jedli...

— Tem lepiej! Pójdą ochotnie jeść do obozu pludrów. A my cóż im damy?

— Ośmielę się podzielać zdanie podpułkownika — szeptał siwiejący kapitan Mottet — jeszcze z tego względu, że wywołanie bitwy o tej porze zgubi nasze kompanie, zostawione w dolinie. Nie wiedząc, o co chodzi, napadnięci przez całą masę Austryaków, będą stawiali opór zacięty i zginą, albo, cofając się przed pędzącym tłumem, spadną po nocy w przepaść. A przecie my ich możemy uratować! Rano...

— Ach, rano! Rano będzie przecież ta sama historya! — rzucił się Gudin.

— Nie sądzę — rzekł Mottet. Możemy ich zwabić wszystkich na przełęcz, ukazując się w małej liczbie, jakbyśmy przybywali od Furki, a gdy na spotkanie nasze wystąpią, wtedy rzucimy się na nich z całą siłą i popędzimy ich do Rodanu...

— Nie potrzebujesz, Mottet, zwabiać ich, bo sami na szczyt idą... — rzekł z uciechą Le Gras, który ciągle stał przy wyłomie i obserwował miejscowość. Wszyscy skoczyli ku niemu i, popychając jedni drugich, wyjrzeli na Grimsel.

Istotnie oddziały austryackie wstępowały na wyżynę i w porządku wzorowym zajmowały swe miejsca w obozie. Rozniecano tam zaraz przygasłe ogniska, waląc w nie suchy mech kępami. Na dole, u podnóża góry, nad jeziorami i nad Aarem zapalano ich jeszcze więcej. Został tam znacznie wzmocniony oddział dla obserwacyi i jakaś jedna kompania, rozstawiona w załamaniach ścieżki na pochyłości góry. Reszta załogi w sile prawie 2000 ludzi powoli zgromadziła się dokoła Todtensee. Białe mundury, jak śnieg, okryły zarówno płaskie wybrzeże jeziora od strony Hasli, jak i zwaliska kamienne, leżące na wyższym brzegu od Vallais nad skałami Mayenwand.

W stronę Furki jeziorko wyciągało swą płytką szyję, w zakończeniu której mieściły się szałasy oficerskie, paliły ognie i gotowała wykwintniejsza wieczerza. W tyle, od strony zachodniej wznosiły się śpiczaste wyżyny, ciskając na wodę trójkąty swych cieniów. Te cienie sunęły prędko, nakrywały kirem złote blaski i wkrótce rozpostarły się nad całą przełęczą. Gudin milczał, przyznając

tym sposobem słuszność swym doradcom. Żołnierze wydobywali z tornistrów kawałki chleba, wytrząsali z kieszeni okruchy, pomieszane z tytuniem, i posilali się, stojąc, w oczekiwaniu dalszych rozkazów. Nie wiedzieli wcale, że nieprzyjaciel jest tak blizko, aczkolwiek, patrząc na ruchy i słysząc narady oficerów, domyślali się, że kres pochodu jest niedaleki. Nogi zmarznięte, poobwijane w przemokłe onuczki, drętwiały im w zimnie, co z nastaniem mroku, jak dech przeszywający, ziało na nich z lodowca. Strumyczki i kałuże, rozlane na jego powierzchni, stanęły już były i zmarzły.

Szare mgły, jak widma, wynurzały się zewsząd i osiadały nad górami. W gęstym, a przecie widzialnym zmierzchu czepiały się wzroku tylko potrzaskane płyty, gnaty, żebra i szczerby lodów w wąskiej ich kaskadzie pod Furką. Stamtąd dolatywał czasami szum Rodanu.

— A więc nocujemy tutaj? — zapytał Gudin, budząc się z zadumy.

— Jeżeli rozkazujesz, obywatelu... — rzekł ktoś z pomiędzy oficerów.

— Każcież żołnierstwu siadać i grzać się, jak kto potrafi, bo ognia palić nie możemy.

— O, ani mowy o tem! — rzekł Labruyère.

Wprowadzono kompanie na morenę i pozwolono im rozłożyć się obozem. Oświadczenie, że ognia palić nie można, powitano głuchem szemraniem. Ludzie siedli zaraz, przewinęli jako tako nogi suchemi szmatami i zbili się w zwartą kupę. Przytulali się jedni do drugich, zsuwali coraz szczelniej i ciaśniej. Oficerowie po raz pierwszy znajdo-

wali głęboką satysfakcję w nocowaniu pospołu z gminem żołnierskim. Nie raziły ich ani cuchnące oddechy, ani sąsiedztwo ciał chłopskich. Gudin tylko pozostał na swojem miejscu, tuż przy szczelinie obserwacyjnej. Dreszcze zimna wstrząsały jego ciałem, więc szybko chodził na maleńkiej przestrzeni, co chwila urażając swe poobcierane, zranione i bose nogi o śpiczaste kamyki i piachy skalne. Gdy wymijał szczelinę, rzucał mu się w oczy blask ognia, i wtedy rwała się w nim namiętna żądza tych płomieni, tęsknota do nich tak wielka, że wyciskała bolesne łzy z pod powiek. Rozpierzchłe myśli, plany ataku, paroksyzmy uradowania na każde wspomnienie, że bitwę wygra, zajadłe uczucia nienawiści do Le Grasa i Labruyèra — wszystko to latało mu przez głowę i popychało do nerwowego spaceru.

W pewnej chwili zapytał kogoś w ciemności, gdzie jest przewodnik, a gdy mu pokazano miejsce w tłumie żołnierzy, skąd słyszeć się dawało helweckie chrapanie, znowu począł przebiegać swoją platformę. Późno w nocy na pół skostniały, morzony przez ciężką senność oparł się piersiami na skale i patrzał w obóz nieprzyjacielski. Na górze ogniska ledwo tlały. Nad każdem z nich stał nieduży, ruchomy krąg blasku. Za to na dole u jezior wciąż drew przyrzucano. Gienerał, widząc, jak w głębinie, która zdawała być podobną do ciasnego lochu, śród ciemności nieprzeniknionej, za wielkiemi mgłami — ognie żywe pełgają, bezwiednym ruchem wyciągał ku nim swe zgrabiałe ręce... Od czasu do czasu zrywał się, kurczowo ściskał pięście i walił niemi w noc z taką wściekłością, jakby z niej

chciał uderzeniami świt wykrzesać. Niekiedy wydawało mu się w gorączkowem marzeniu, że widać już brzask nad górami. Gdy złudzenie pierzchało i gdy znowu czuł na sobie nieskończoność ucisku tych mroków, — chwytał za rękojeść szpady, ażeby ją wyrwać, zbudzić wojsko, skoczyć do ataku i wreszcie poczuć na ciele upragniony żar ognia. Czasami wydawało mu się, że słyszy stąpanie tłumu wrogów i słuchał wtedy z bijącem sercem...

Kolumna francuska drzemała. Żołnierze budzili się z zimna, ale zapadali w sen ze znużenia. Drzemali tam skupieni, jak stado ptaków, które przypadło na tej wyżynie, żeby odpocząć, nim świt nastąpi. Le Gras nie mógł usnąć. Siedział zgarbiony, dźwigając na plecach kadłub rozrosłego Prowansalczyka, śpiącego mocno, i mając nogi uwięzione pod jakiemś innem ciałem. Noc była ciemna. W niezbadanej przestrzeni, doły, objęte za dnia jednem niedbałem spojrzeniem, wydawały się jeszcze głębszymi, lodowiec, mający dziesięć kilometrów długości, majaczył w mózgu, jak morze twarde i martwe. Podmuchy nocne przynosiły szmery i łkania Rodanu. Bliżej w niejakich odstępach czasu słychać było, jak krople nieustannie spadają w głąb lodowca. Ten dźwięk, z niewysłowioną melancholią rachujący czas wśród głębokiego milczenia pustyni, w pewnych minutach zacichał, stłumiony przez szmery niespokojne a wyjątkowe. Słychać było, mimo chrapania żołnierzy i odgłosu kroków Gudina, niby podziemny, uduszony trzask, głuchy szczęk, jakby niezmiernie daleko ktoś bił kiedyniekiedy młotkiem w koniec sztabki żelaza. Le Gras rozmyślał o tych

surowych szelestach, o tem schowanem życiu lodowca. Widział w marzeniu, jak tam, niezmiernie głęboko, kryształy lodu, niby dyamenty rżną twarde kamienie, jak niezmiernie pracowicie przez całe wieki szlifują granit, drążą otwory, żłobią rowy i jak cały ten lodowiec przez wieki idzie. Opór chropawych granitów i praca lodów — zdejmowały go dziwną litością. Wiekuiste prace istot i ciał nieznanych, żelazne prawa krwi i żelaza — układały się przed jego oczyma w dziwnie smutne orszaki i widowiska...

Z tych marzeń obudził go przejmujący głos Gudina:

— Mottet! Garcia-Piles! Lantennac! Le Gras!

Kapitan wydobył się zpomiędzy żołnierzy i podszedł do generała.

Czy nie wiesz, kapitanie, która to godzina?— zapytał Gudin, szczękając zębami i mamląc wyrazy podziecięcemu.

— Nie, nie wiem, ale wydaje mi się, że musi już być znacznie po północku.

— Czy spałeś obywatelu?

— Nie.

— Wszak w tamtej stronie jest wschód.

— Wschód? Tak, sądzę, że jest w tej stronie— odpowiedział Le Gras, wskazując na Urseren.

Z lodowca wiało zimno tak przeszywające, że kapitan serdecznie pożałował kadłubów żołnierskich. Stojąc na otwartem wzniesieniu, czuł zarazem, że jest wśród mgieł, przeciągających z szybkością.

— Le Gras! — rzekł Gudin — czy spostrzegasz te góry tam daleko, czy je widzisz?

— Tak, widzę.

— Otóż... ja ich przedtem wcale nie dostrzegałem. To jest chyba... świt... — szepnął z uniesieniem, jakby wymawiał słowa modlitwy.

Istotnie, w mrocznej dali zarysowały się cyple Alp Glerneńskich. Nie było jeszcze ani pozoru światła w otaczającej ciemności, ale czarne postacie łańcuchów górskich wydzierały się już z kiru nocy. Pod wpływem zimna żołnierze budzili się i kasłali. Le Gras i dowódca skoczyli natychmiast i nakazywali ciszę, grożąc najcięższemi karami. Kaszlącym zatykano usta. Odrobinka czerwonego wina we flaszce krążyła wśród żołnierstwa, jak czara nektaru. Wydzierano ją sobie przy użyciu pięści i pazurów. W szeregach, ulokowanych niżej, obok lodowca żołnierze jęczeli z zimna. Szczęki im tak skostniały, że nie byli wstanie ust otwierać, mróz kłuł ich swemi szpilkami w płuca i sprawiał uczucie łamania w stawach.

Tymczasem szary brzask coraz bardziej wyróżniał góry od nieba i pozwalał widzieć mgły. Zbudzonym ludziom w głowach się mąciło na widok burych, rozległych, ruchomych jezior, zalewających wszystkie niziny, wypełniających po brzegi każdą przepaść, niby płyn olbrzymie czary. Mgły burzyły się w dolinach, wzbijały się na pewną wysokość i bądź opadały zaraz, bądź porwane przez ostre ciągi wiatru — pędziły nad górami. Gudin wrócił do swego obserwatoryum i spoglądał na obóz nieprzyjacielski. Ujrzał tam żołnierza, który rzucał suchy mech do ogniska i grzał sobie ręce w słupie iskier, spostrzegł szyldwacha, jak czarne widmo

przesuwającego się w kręgu światła, szczyt i jedną pochyłość namiotu, smugę wody jeziora, oświetloną przez iskry... W tym obozie, poza skałami, zakrywającemi go od wschodu, była jeszcze noc zupełna. Gdyby Gudin mógł ogarnąć wzrokiem całą pozycyę i gdyby mógł widzieć drogę, którą należało przebyć, okrążając pierwszy szczyt łańcucha Nägelisgrätli, byłby uderzył natychmiast.

— Za chwilę się rozjaśni — mówili do niego oficerowie, szczękając zębami z zimna i szpadami z niecierpliwości.

Nim się obejrzeli, biaława światłość rozlała się po niebie. Ujrzano daleki horyzont, najeżony turniami. Cały obóz Gudina zerwał się na nogi, z niewymownem utęsknieniem wyglądając słońca. Ustawiono żołnierzy, o ile to było możliwe, w szyku bojowym na osypisku — i jeszcze wyczekiwano.

Wojsko pragnęło bitwy z głodu, zimna i wściekłości. Kilku oficerów pobiegło z Fahnerem zbadać przejście.

Każda minuta ich nieobecności wydawała się Gudinowi i żołnierzom niezmiernie długą. Dreszcz wewnętrzny już nie zimnem, ale jakąś nieznaną boleścią przeszywał serca. Mgły, rozhuśtane w rozdołach — lekkie, suche, powiewne szły teraz na cztery strony świata. Zakrywały sobą wszystko, nawet góry okoliczne. Tylko w pobliżu czerniał coraz wyraźniej zmoczony przez nocne tumany ten ze śpiczastych wierzchołków Nägelisgrätli, przy którym stał dowódca. Gdy tak w mocnem skupieniu wszyscy czekali, nagle z za szczytów, wznoszących się na końcu doliny Urseren, wypadł promień słońca.

Jak straszliwa śmiga jednym swoim obrotem uderzył w niewidzialne pod mgłą wąwozy, przeszył je do dna i wszystkie tumany naraz w górę wygarnął. Całą masą swoją z głębin wypadły, rozdarły się na dwie wielkie części i, uciekając, gnały wkróś powietrza. Już jednak po chwili znowu się złączyły w jedno ogromne, latające morze. Zdawało się, że w nawale tych mgieł słońce przygasa. Kolumna stała w grubych, pierzastych tumanach, które niby fale morskiego przypływu, biegły do łańcucha Nägelisgrätli i zwolna się cofały. Powtórnie gdzieś wysoko mgły się rozdarły i słup płonącego blasku uderzył między góry.

Wpośród obłoków, fruwających w owej chwili z dolin wprost do góry, dał się słyszeć przyciszony, lecz dobitny głos oficerów, wracających z pośpiechem:

— Marsz! Marsz!

Kompanie ruszyły naprzód, strącając w pochodzie drobne kamyki i zsuwając się ze stromej pochyłości. Przebyto szybko niewielkie płaty lodu, samotnie tu i ówdzie leżące; zstępując ciągle na dół okrążono cypel łańcucha.

Pochyłość, raptownie idąca do Rodanu, łączyła się z przełęczą Grimsel. Rosła tam już niziutka trawka i mchy, tak miłe dla nóg, strudzonych na martwych polach.

Skoro kolumna weszła na przełęcz, oficerowie pędzili oddziały, jakby im ogniem palono podeszwy. Gudin rozdzielił swe wojsko na dwie części i mniejszą w tej chwili wysłał na kraj przełęczy od strony Hasli. Dwa bataliony cwałem pobiegły śród ro-

jących się mgieł nad brzegiem otchłani. Tak pędząc, z bronią nastawioną do ataku, pierwszy szereg tego oddziału zobaczył przed sobą szyldwacha. Przebito go kilkunastoma pchnięciami, zanim zdążył myśli zebrać i wystrzelić. O kilkadziesiąt kroków spotkano drugiego. Ten był tyłem do biegnących zwrócony, a szedł wolno przed siebie. Zginął, nie dostrzegłszy, skąd nań śmierć przyszła. Gdy te dwa bataliony francuskie dosięgły drugiego krańca przełęczy i oparły się o skaliste wyniosłości, łańcuchem idące w stronę Finsteraarhornu, oficerowie zaczęli rozsuwać kompanie, zajmować przestrzeń już zdobytą i tym porządkiem osaczać Austryaków półkolem, niby włokiem, którego matnię stanowił oddział Gudina. Promienie słońca coraz natarczywiej i głębiej wnikały między mgły, pędzące nad przełęczą, więc skoro tylko Gudin zobaczył pierwszych żołnierzy cofającego się łańcucha, porwał za szpadę i na całej linii gruchnęły bębny.

Wrzask przeraźliwy przerwał ciszę i Francuzi, jak lawina, runęli w obóz austryacki. Zaledwie wpadli do kotliny Jeziora Todtensee, zobaczyli przed sobą tłum ludzi wylękłych, bezbronnych i na pół ubranych. Twarze Austryaków były bielsze od ich mundurów. Niektórzy podnosili się dopiero ze snu i oparci na rękach przyjmowali śmierć z ręki wroga, spadającego na nich, jakgdyby z obłoków. Bataliony, uszykowane nieco dalej, chwytały za karabiny i, nie będąc w stanie przebić się zza tłumu bezbronnych, wstrzymywały jego ucieczkę, na rzeź go wydając. Francuzi rżnęli bez miłosierdzia. Zwaliwszy na ziemię pierwsze szeregi, stawali śród tru-

pów i z okrutną wprawą kłuli ludzi, zasłaniających się wrzaskiem i gołemi rękami. Niektórzy odwracali karabiny i, chwyciwszy za bagnet i lufę, walili w masę głów kolbą i kurkiem, niby maczugą. Szerzyło to istne spustoszenie. Krew bryzgała aż na piersi i ręce mordujących, którzy bijąc bez przerwy, wrzeszczeli;

— Żarliście tu! Grzaliście się! Spaliście tu w cieple!

Tłum bezbronny, cofając się, naparł silnie na piechotę, stojącą za nim, i wpychał ją w jezioro. Całe kompanie austryackie stały już po pas w wodzie, a żadną miarą nie mogły szkodzić nieprzyjacielowi. Słońce rozpędziło mgły, i dowódcy ujrzeli swą zgubę. Droga do Hasli była zagrodzona, droga ku Furce również, a wojsko, jak stado krów, waliło się w jezioro. Skrzydło, stojące na brzegu od strony Alp berneńskich, rzuciło się w bród i, prawie po szyję zanurzywszy się w wodzie, wyszło na brzeg przeciwległy w sile kilku set ludzi. To samo chciał uczynić oficer, kierujący tłumem od strony Nägelisgrätli. Zduszony w kupie żołnierzy na pół obłąkanych, stojąc po pas w wodzie, bił cofających się, ciął ich z wściekłością szpadą, chwytał ich za bary, pchał na bok i bez ustanku krzyczał ochrypłym głosem:

— Na lewo! Na lewo!

— Żołnierze Le Grasa, schodząc z pochyłości, strzelali do tej kupy ludzkiej, posuwającej się ku środkowi jeziora. Zabici, padając, ciągnęli za sobą żywych, ranni chwytali ich za nogi. Ruchomy tłok ludzki przewracał się na upadających i żołnierze

zdrowi tonęli na płytkiej wodzie. Inni puszczali się wpław napoprzek jeziora, żeby zginąć od celnego strzału, lub zatonąć na środku. Zrozpaczony oficer wydarł karabin jednemu ze swych żołnierzy i w furyi jął przebijać struchlałych, wrzeszcząc nieludzkim głosem:

— Na lewo!

Zdawało się, że ludzie nie słyszą jego głosu, nie czują uderzeń. Przez chwilę stał na miejscu, a potem rzucił się sam w głębinę, stamtąd wyszedł na płytkie otwarte miejsce i szybko iść zaczął śród pierzchającej wody wprost na oddział Le Grasa. Gdy już był niedaleko od brzegu, podniósł karabin, zmierzył w kupę ludzi i wystrzelił. Kula przeszyła młodego żołnierza, który z jeńca austryackiego stał się grenadyerem francuskim. Wypadł on z szeregu, zwalił się, jak kloc drzewa, i trzepnął twarzą o ziemię. Stary jego towarzysz jęknął głucho i poczuł w sobie żal tak przeszywający i ból tak ogromny, jakby to jego samego kula w piersi trafiła. Tymczasem inne oddziały austryackie posuwały się brzegiem jeziora i, otrząsając się z przerażenia, zaczęły walczyć z Francuzami. Ucichły tam wystrzały i tylko suchy szczęk bagnetów słychać było w orgii jęków. Żołnierz Matus, pochłonięty przez walkę, opuścił towarzysza i biegł ciągle w szeregu, ściskając wrogów. Na drugim brzegu jeziora, gdzie już poprzednio schroniło się część brygady austryackiej, grasowała panika. Żołnierze cisnęli na ziemię karabiny, nie poznawali dowódców i jak lunatycy wdzierali się na stromą skałę, ażeby wciąż zjeżdżać z wysokości. Całe kupy żołdactwa oszalałymi gło-

sami wrzeszczały „*pardon!*“ — pomimo że nieprzyjaciel wcale na nich nie nacierał. W pewnem zagłębieniu kotliny, pod urwistym występem góry tuliła się gromada, złożona z jakich trzystu tęgich chłopów, i dygotała, jak jeden chory człowiek. Wystawieni na zewnątrz tak pchali się w tłum, że przypartym do ściany oczy wychodziły z orbit i niemal pękały klatki piersiowe. Kto mógł wydobyć rękę ze ścisku ciał — walił pięścią i odpychał sąsiada. Stary major, któremu zdarzyło się już widzieć podobne sceny, zwracał się do żołnierzy łagodnie i uprzejmie, głaskał ich pod brodę i rzewnym głosem przemawiał we wszystkich językach austryackich: w czeskim, z kiepskawęgierskim, galicyjskim, lodomeryjskim...

— Patrzcie-no, moje dzieci, patrzcież sami! — mówił — możemy tędy, po drugiej stronie wody, ustąpić wygodnie z placu. Chodźcież, bo tu nas wybiją, zakłują jednego po drugim, jak skopów. Chłopcy! patrzcież...

Perswazye te nie odnosiły żadnego skutku. Jeżeli ktoś z gromady krzyknął — „*pardon*“ — wnet cały tłum poczynał wołać jednym głosem. Gdy Francuzi zgnietli nad wodą stawiających opór, gdy złamali ich szeregi i puścili je w rozsypkę, a sami w pościgu ukazali się na płaszczyźnie, wtedy dopiero zrozumiano starego majora. Cała kupa zaczęła uciekać po brzegu wysokim. Ten brzeg, zawalony omszonymi głazami, jest szczytem skał Mayenwand, które stromemi ścianami zstępują w dolinę Rodanu. Sączy się po nich biała nić strumienia, wypływającego z jeziora Todtensee. Grenadyerowie sadzili

po bryłach, jak spłoszone daniele. Przykład pierwszego oddziału pociągnął inne, i z górą tysiąc ludzi wyrwało się tamtędy z pomiędzy matni, zanim Gudin, który nieoględnie opuścił wyjście drogi do Vallais, nadbiegł z drugiego końca jeziora. Zajęty tam był tępieniem i braniem w niewolę rozproszonych kompanii. Nim ubiegła godzina czasu — na szczycie Grimsel bój ustał, gdyż wszyscy Francuzi rzucili się w pogoń za Austryakami, uciekającymi na łeb na szyję zygzakowatą starą drogą. Wrzawa krwawego boju dochodziła w owej chwili z obudwu spadzistych pochyłości. Kiedy wybuchło było na szczycie przejścia natarcie, dwie kompanie francuskie, stojące u mostu na Aarze, rzuciły się na oddziałek austryacki, pilnujący jezior grimselskich. Ten, przerażony niepojętemi dla niego strzałami na górze, napadnięty przytem znienacka, tył podał i zaczął wstępować na Grimsel. Kilku żołnierzy wysłanych na górę, wróciło z przerażającemi wieściami. Wtedy oficerowie, zaskoczeni nagłością wypadków, postanowili dostać się jeszcze wyżej i stamtąd rozpatrzeć położenie. W chwili, kiedy ze szczytu obiedwie kolumny walczące zbiegły nad Rodan, oddziałek austryacki bił się na drugiej stronie góry z Francuzami, idącymi na przełęcz. Cesarscy nabijali szybko i wprawnie karabiny i strącali z urwisk trójkątne kapelusze. W miejscach stromych czatowali z bulwami kamiennemi, podważali bagnetami płyty olbrzymie i spychali je na dół.

Tymczasem Matus Pulut szybko pełzał przez pobojowisko, upatrując swego kamrata. W czasie bitwy udał rannego i leżał między trupami. Teraz

wstał z ziemi i tuląc się do przykopy, która formuje wklęsłość jeziora, podobną do misy, zmierzał do wiadomego mu punktu. Z łatwością wśród nieprzyjaciół zabitych odszukał rannego. Młody żołnierz miał lewy policzek zbroczony, całe lewe ramię we krwi, oczy otwarte i martwe. Matus przyłożył ucho do jego piersi i słuchał. Po chwili chwycił go pod pachy, zawlókł na brzeg jeziora i jął mu zlewać głowę wodą. Krew obficie występować zaczęła zpod pasa na lewem ramieniu. Wtedy wiarus rozpiął ostrożnie mundur towarzysza, zdjął mu z szyi chustkę, rozerwał koszulę i znalazł ranę. Kula rozwaliła ramię i wkręciła między kości strzępy munduru i koszuli. Doświadczony wojak prędko, sposobem barbarzyńskim, wyjął z rany ów flejtuch, ranę wodą przepłókał i zaczął oglądać się za szmatami. Wpadły mu w oczy namioty oficerskie. Skoczył tam co żywo i znalazł w pierwszym z brzegu tłomoczek z cienką bielizną. Zabrał cały, przy sposobności rozbił obcasem wykwintną szkatułkę, której nie mógł na prędce otworzyć, znajdujące się tam flakony, szczotki srebrne, grzebienie i kubki wpakował w zanadrze i wnet wrócił do rannego. Podarł przyniesione koszule na długie pasy, jeszcze raz wychlustał wodą krwawiący się otwór i mocno całe ramię obandażował. Wlał bezprzytomnemu w usta zawartość płaskiej flaszki wina, znalezionej również w oficerskiem puzderku, wytarł mu twarz i zaczął potrząsać nim, szepcząc z rubaszną czułością:

— Felek, ty się patrzaj!.. Musimy iść, bo tu pludry zara przylecą. Felek! dy my tu siedzieć nie będziemy. Otwieraj oczy — mówię!

Ranny istotnie zaczął głęboko wdychać powietrze, ale oczy jego wciąż jeszcze nic nie widziały. Matus oparł jego głowę na kamieniu i twarz mu nastawił pod słońce, a sam jeszcze raz obszedł namioty. Zabrał z nich wszystko, co było do jedzenia i picia, wrócił do towarzysza, usiadł przy nim i zaczął szybko jeść, a właściwie *żreć*, co było pod ręką: chleb, jak kość suchy, obgryzione kawałki pieczonej kury, duże skiby sera szwajcarskiego... Siedząc tak na ziemi i pożywiając się, prędkiemi wejrzeniami obejmował pobojowisko. Cały pas nagiego gruntu między górami i u brzegu jeziora jęczał i płakał. Tu i ówdzie wśród kamieni coś się poruszało. Dźwigały się plecy, wznosiły roztrzaskane głowy, ręce, i usta nadaremnie wzywały pomocy. Krew strugami płynęła do jeziora i wielkie jej plamy owalne rdzawiły się u brzegów na granatowej wodzie. Ciepłe, rzeźwe, wesołe wietrzyki, nasycone wonią ziół alpejskich, leciały zza Furki, zza Gothardu, z dolin włoskich, zpod ciepłych niebios i jak zwykle, popychały drobne fale do zwilżania źdźbeł karłowatych trawek na brzegach. Tu i owdzie wypływały na powierzchnię wody rozdęte trupy i zaraz znikały w ciemnej głębinie pośrodku jeziora. U płytkiego brzegu fale, kołysząc się, odsłaniały twarze, czoła, głowy, ręce, trzymające się kamieni, nogi, stulone w boleści, ramiona skurczone wśród grozy przedśmiertnej. Jeszcze bliżej ludzie zabici i utopieni leżeli kupami tak wielkiemi, że fale, przybijając do brzegu, chlupały między nimi, jak w karbach i lochach wysokiego brzegu.

Gdy Matus ukończył swój posiłek, od szczytów

Nägelisgrätli wychyliło się kilku ludzi. Zbliżali się ostrożnie do krawędzi przełęczy i zaglądali w dół ku jeziorom grimselskim. Byli to felczerzy francuzcy z chirurgiem pułkowym na czele. Jeden z nich wstąpił na wydatny kamień, przyklęknął na nim i spojrzał na wał najbliższy. Matus przypatrywał się właśnie tym ludziom, rachując, że mu pomogą w opatrzeniu towarzysza, kiedy nagle felczer, stojący na kamieniu, plackiem upadł na ziemię, zsunął się w zagłębienie i pędem zaczął umykać w stronę Furki. Wszyscy jego koledzy uczynili to samo. Tuż za kamiennym wałem słychać było gwar zbliżających się oddziałów austryackich, które pod naciskiem bojaźni opuszczały znakomitą pozycyę i wciąż szły dalej. Matus nie miał chwili czasu do stracenia. Wzywał felczerów znakami, ukazywał im rannego, ale tamci mignęli się tylko w przelocie i popędzili ku źródłom Rodanu. Wówczas Pulut umieścił Feliksa na bryle kamiennej, podsadził się pod niego i wziął chłopa na bary, lekko, jak worek żyta. Ręce zranionego bezwładnie wisiały, twarz oblepiona długiemi, zmoczonemi włosami, martwo upadając, wbijała staremu wiarusowi na oczy kapelusz i gniotła wysoką kitę. Na szmatach, ściskających ranę, wynikły i szerzyły się blado krwiste plamy. Zsiniałe usta Feliksa od czasu do czasu szeptały jakieś słowo, a z piersi wydzierało się westchnienie. Matus opasał się jego nogami, mocno chwycił w kupę prawą dłonią ręce na piersiach, pod lewą pachę wetknął sobie karabin i szybko powędrował. Ścieżka wyłożona gładkiemi pły-

tami, dosyć szeroka i wygodna, zbiegała odrazu na dół łamaną linią.

Krew biła Puluta, jak obuchem w skronie, własna głowa ciężyła mu, jak kowadło, krzyż zgięty tak bolał, jakby w nim trzaskały kręgi każdej chwili i za każdym krokiem. Słońce tam paliło w samo ciemię i gorący, duszny wiatr w gardle ściskał. Na dole widać było obadwa wojska. Cesarscy szły nagłym marszem w dobrym porządku, i żałobna ich czarnobiała linia łamała się w całej dolinie, z kształtu do litery S podobnej. Tylne szeregi wciąż się odstrzeliwały Francuzom, którzy napadali bagnetem, pragnąc do reszty zmiażdżyć całą kolumnę. Wyżej, u stóp lodowca, skąd wypływa rzeka, Matus ujrzał ze zdumieniem duży tłum białych mundurów, otoczony przez kilka kompanii francuskich.

— He! hej! — zawołołał z uciechą — są pludry w kozie.

Pot mu zlewał czoło i przed oczyma tańcowały kręgi czerwone, złote i czarne. Zebrał siły, wytchnął przez chwilę, ujął sobie dogodniej rannego i szerokimi krokami puścił się dalej. Gdy był na połowie wysokości skał Mayenwand i gdy już odróżniał gwar wojska i szum Rodanu, niespodziewanie usłyszał nad lewem uchem szept bolesny:

— Matus... Matus...

— Nie bój się nic! Idziewa se oba. Ino się tam trzymaj choć zębami za warkoczyk.

— Pić... — wyszeptał Felek.

— Zaraz będziemy pili, bracie, aby z tej oto góreczki zeskoczyć. Patrzaj se tymczasem na góry... Widzisz, jakie to z tela zdroje wytryskają...

Oddziały walczące skryły się powoli w zakręcie wąwozu. U stóp Grimsel i Furki z prawej strony ruczaju stał obóz francuski, pilnujący wziętych do niewoli. Odebrano im karabiny i tornistry. Co było do skonfiskowania—zabrano, co do zjedzenia—połknięto. Żołnierze pozbawieni oręża siedzieli na ziemi niedaleko lodowca i z najzupełniejszą obojętnością dawali wiązać sobie ręce własnemi pasami, co kaprale i podoficerowie francuzcy szybko i zręcznie uskuteczniali.

Gdy Matus się zbliżał, nagle w tym obozie wybuchła wrzawa. Ludzie zwróceni twarzami do lodowca, wywijali karabinami i krzyczeli zapamiętale. Matus ostrożnie posadził Felka na ziemi i, zdjęty ciekawością, wzniósł oczy ku górze. Zobaczył na lodach Rodanu dwie kompanie austryackie, które na Grimsel weszły były z Hasli. Znalazłszy na przełęczy stosy trupów, dostrzegłszy z góry szybką ucieczkę całej kolumny, więźniów na dole i zamknięte drogi, — oddział ten skorzystał z czasu, rzucił się w bok na lody. Kule Francuzów trzaskały w bryły, ale w niewielkim dystansie od podnóża, więc Austryacy szli śmiało i forsownym marszem przebyli wpoprzek lodowiec, skacząc nad szczelinami z tafli na taflę. Z gleczeru weszli na górę Furka. Idąc pod samym jej szczytem, dosięgli bezpiecznie wązkiego przejścia, po którego jednem zboczu spływa cienką smużką dopływ Rodanu, a po drugiem z płatka brudnego śniegu Reuss się sączy. Republikanie ścigali wrzaskiem te małe postacie, których długie nogi szybko migały się na zrębie skał, wystających z ziemi. Więźniowie spoglądali ze

smutkiem na szereg umykających współtowarzyszów i powierzali jedni drugim jakieś myśli.

Matus, dowlókłszy się do pierwszych szeregów, zaraz odszukał felczera i zmusił go giestami i wykrzykiwaniem najrozmaitszych słów francuskich do zajęcia się rannym. Żołnierze otoczyli Felka i ulitowali się nad nim. Ten rzucił mu na kolana czystą serwetkę płótna, inny jakiś krótki sznureczek, inny nadgryzioną skórkę sera, a jeszcze inny—mały pieniądz. Felczer rozwiązał bandaż Puluta, oczyścił ranę umiejętnie i zajął się nałożeniem rzetelnego opatrunku. Stary wiarus nie znałazł w kotlinie swej kompanii. Pokazywano mu, że odeszła na dół. Oficerowie pokrzykiwali na niego i dawali mu znać na migi, że ma w te tropy iść za swym oddziałem. Pulut westchnął, polecił chorego towarzysza opiece felczerskiej, rozprostował kości, karabin zarzucił na ramię i poszedł brzegiem rzeki.

Przebywszy dwa zakręty wąwozu, stanął u podnóża wyniosłości w samym końcu doliny Vallais. Rodan wymiótł tam z ciasnych przejść na płaską wonną łąkę wielkie staje okrągłych kamieni i porozrzucał je na znacznej odległości od samego łożyska. Naokół czerniały lasy świerkowe, pełne jeszcze wilgoci rannej. Niżej widać było miasteczko Oberwald, skupione obok wysmukłego kościoła, za niem niedaleko drugie — Obergestelen. Matus wyminął obydwa, puste i milczące, jak mogiły. Zbliżając się do Ulrichen, spostrzegł z najgłębszem podziwieniem szeregi francuskie, wracające w stronę Furki. Gdy się złączył z oddziałem Le Grasa, powziął wiadomość, że Austryacy, uciekając przed

kolumną Gudina, zobaczyli na swej drodze wojsko francuskie, brygadę Thurreau, idącą od Viesch w górę Rodanu. Mając przed sobą okropną perspektywę znalezienia się między dwoma wojskami Francuzów, pośród skał niezbyt szerokiej doliny, — generał Strauch rzucił się ze swą całą siłą w dolinę poprzeczną, Eginenthal, która od Ulrichen prowadzi na włoską stronę, przez Nufenen Pass wkracza do Val Bedretto i u stóp Gotthardu łączy się przy Airolo z doliną Tessynu. Poszli tamtędy bez przewodników, dróg i ścieżek, wprost przez wertepy. Gudin, nie mając zamiaru dzielenia się palmą zwycięstwa z Thurreau, cofnął się forsownym marszem z Vallais i znacznie przed południem stanął u stóp Furki. Po krótkotrwałym spoczynku przy lodowcu, po wysłaniu grabarzy oraz felczerów na Grimsel, uszykował swe wojsko, powiązanych więźniów wystawił na czele i ruszył na przełęcz. Wązką ścieżką po stromem zboczu kolumna wdarła się na szczyt około południa. Cały rozdół między widłami górskiemi był zupełnie pusty. Nieprzyjaciel pomknął w ucieczce aż do Hospenthal. Przed nadchodzącymi otwarła się dolina Urseren, idąca w dół, na zachód. Nizko w otchłani bielił się Reuss. Po prawej ręce stała grupa Gottharda, wielkie góry, okryte zgniło-zielonymi mchami, które tym skałom nadają pozór starości i jakiejś szczególnej nędzy. Te miękkie, jednostajne szaty gór, tu i owdzie tylko lśniące jaśniejszą zielonością, podarte są przez suche łożyska, niby przez szwy, które się dawno rozlazły. Sypią się tamtędy aż do stóp górskich, aż do niestrudzonej pracownicy — rzeki warstwy szarego rumowia.

Szczyty wietrzeją, łamią się, kruszą, rozpadają i w proch rozsypują, lecą do wody, która je pochłania i wiecznie wynosi aż do dalekich okolic.

Wojsko szło z furyą bojową po perci odwiecznej, po szlaku, który niegdyś przebywały słonie Hannibala. Ten tłum obdartusów ważyłby się uderzyć na całą armię, zgruchotałby bagnetem twierdzę, gdyby była na drodze, a poddać się nie chciała, zwiódłby bitwę z samą śmiercią... Idący w szeregu nie mogli otrząsnąć się ze złudzenia, że tuż za ich plecami postępują towarzysze, którzy zginęli na Grimsel, że okrzyki ich słychać w czystem powietrzu, łoskot ich kroków słychać na głazach ścieżki... Ranny Felek był przedmiotem czułości całego wojska. Niesiono go pieczołowicie, jak biedne, chore, obce dziecko, gdy z sił opadał, a podtrzymywano litościwie, gdy sam szedł z góry. Drogę przecinały strumienie, białe, dzikie, piękne wody. Z za skał wychylały się tu i owdzie krawędzie lodowca Rodanu. Wprost z góry, idąc na łeb na szyję, zstąpiono do Realp, małego przysiołka u stóp Furki. Kamienne domki, przykryte dachami z płaskich głazów, stały tam wokrąg kościoła z czerwoną wieżą po obudwu stronach wybrukowanej uliczki. Nędza, kwicząca z głodu, wyglądała ze wszystkich kątów tego schronienia pasterzy. Domy i obory, tyłami swymi i kupami nawozu zwrócone do drogi, były pozamykane i puste. Napróżno walono kolbami w każde drzwi i wybijano szyby. Nie było tam żywego ducha. Żołnierze wyrywali szuflady, rozbijali drzwi szaf — i nie znajdowali nic zgoła. Nawet

oficerowie rzucali oczyma po kątach, szukając jakiegokolwiek pożywienia — nadaremnie.

Wszystko to zresztą bardzo krótko trwało. Wyruszono z Realp w przewidywaniu potyczki. Droga szła po prawym brzegu Reussu, który tam płynie wolno, cicho i tak ospale, jak rzeczka na równinach. Już na połowie drogi z Realp do Hospentalu zauważono, że piechota austryacka wali w górę na Gotthard. Ta ucieczka bez bitwy wywołała szaloną uciechę. Cała kolumna trzęsła się od śmiechu, wywijała pięściami, potrząsała karabinami i wrzeszczała na całe gardło.

Tymczasem z za garbu podnóża nagle jak błyskawica wypadł oddział huzarów i w pełnym galopie, co koń skoczy, rzucił się na kolumnę Gudina. Nim zdołano porwać się do strzału, już wzniesione szable spadły na karki. Huzarzy żgali konie ostrogami, ździerali je uzdami i ciskali się w środek szeregów piechoty, tnąc z ramienia na prawo i lewo. Wrzask boleści, krzyk oficerów i głośny dźwięk broni stokrotnem echem latały między górami. Trwało to krótką chwilę. Gdy popłoch minął i gdy się opamiętano, że tej konnicy jest szwadron wszystkiego,— uderzono weń bagnetem, zrzucono z siodeł kilkudziesięciu, a reszta pierzchła, jak wicher. Po chwili widziano już ich na skrętach szerokiej, bitej drogi, którą właśnie przez Gotthard budowano w tym roku. Gudin wszedł do Hospenthal, zajął je, pozostawił w tem miasteczku jednę kompanię, a sam rzucił się w pogoń za Austryakami. Gienerał Simbschen, dowodzący trzema batalionami i szwadronem jazdy, które uciekały, szedł ostro w rozległej,

pustej i melancholijnej dolinie Gotthardu. Dowódca francuski ścigał go zajadle. Grenadyerowie padali z utrudzenia, głodu i skwaru. Austryacy nie zatrzymali się zupełnie na przełęczy gotardzkiej i odrazu poszli stamtąd na dół, do Airolo.

Kolumna francuska stanęła przy Gotthard-Hospiz, między smutnemi, czarnemi jeziorami, których tam pełno. Trafiono w Hospiz na resztki zapasów austryackich i spożyto je z apetytem. Trzy bataliony pod komendą Labruyèra ruszyły jeszcze dalej, w dolinę Tremola, gdzie Tessin zlatuje pięknymi wodospadami. Zstąpiwszy ze stromych skał po załamaniach drogi na taras górski, skąd widać było w dole czerwone dachy Airolo, obserwowano przez szkła miejscowość. Labruyère ujrzał w Airolo dużo wojska. Grupy żołnierzy ciągnęły jeszcze z Val Bedretto. Byli to chorzy, ranni i utrudzeni z oddziału, rozbitego na Grimsel. Kolumny Simbschena i Strauchena spotkały się w Airolo i zaraz wyruszyły na dół, ku Biasca. Maszerowały zaś krokiem tak zamaszystym, że nie oparły się, aż na trzeci dzień w Bellinzonie.

Gudin, sprawdziwszy wypadek oddalenia się wojsk austryackich, urósł na duchu. Wykonał, co był zamierzył. Wziął Grimsel, wygnał nieprzyjaciela z Vallais, zajął Furkę i Gotthard. Miał zamiar powiedzieć o tem Le Grasowi, lecz czuł się znużonym... Wolał tedy leżeć na trawie, patrzeć na chmury, które leciały tuż niedaleko po trawie i z których wśród najcudniejszej pogody spadały krople dżdżu, ciężkie jak śruciny i dziwnie bezradne. Generałowi nogi popuchły, brudne palce wyłaziły

z butów, język tak wysechł, że możnaby nim, jak drzazgą podpalić w piecu. I ludzie za przykładem dowódcy leżeli na wznak, oddając się bezgranicznemu lenistwu. Gdy się trzy kompanie z obserwacyi cofnęły i wypoczęły, zabrano się do odwrotu ku Hospenthal. Żołnierze szli i teraz ochotnie, ale już, jak to mówią, podpierając się nosami. Każdemu zdawało się, że jego pięty ważą po kilka centnarów.

Gdy mijali garby, łagodnie zresztą pochylone, które przebyli niedawno bez wiedzy, w pasyi ścigania nieprzyjaciół, czuli istotną bojaźń, aby nie kazano wypadkiem drapać się znowu na wyżynę już przebytą. Każdy z piechurów chętniej zgodziłby się dostać ostre baty, a nawet jakieś lekkie pchnięcie — byleby już nie iść pod górę. Nad wieczorem ściągnęli się wszyscy do Hospenthalu. Gdy się tam znaleźli, towarzysze, pozostawieni, jako załoga tego miasteczka, jęli rozpowiadać o ucieczce dwu batalionów austryackich, które wyszły ze szczeliny górskiej za Andermatem. Ujrzawszy w Hospenthalu ciemne mundury i kapelusze francuskie, odrazu rzuciły się na lewo od Andermatu w górę i znikły w dolinie Renu, uchodząc ku Chur. Gudin nie posiadał się z radości. Stanąwszy pośród szeregów, zaprosił swoich żołnierzy na wieczerzę do obozu przy moście dyabelskim. Wojsko z okrzykiem posunęło się ku Andermatowi po pięknej cichej łące doliny. Zmierzch już zapadł, gdy cała kolumna bezładnym tłumem zbliżała się ku szczelinie, w którą spokojny Reuss nagle się fryga. Gdy tak w znużeniu leżli na miejsce spoczynku, spomiędzy skał wywinęła się jedna, druga, trzecia kompania i w szyku

bojowym, z nastawionym bagnetem rzuciła się na szeregi Gudina. W głuchej ciszy wieczornej, przerywanej tylko szelestem kroków i dalekim szmerem wody, nagle jak grom uderzył o góry krzyk:

— *Vive la France!*

Z następujących szeregów odpowiedziano tymsamym okrzykiem. Wtedy z tamtej strony wystąpił ogromny i posępny generał Lecourb, szybko zbliżył się do młodego bohatera i objął go wobec dwu wojsk serdecznym i długim uściskiem. Po chwili zawołał, mignąwszy szpadą:

— Niech żyje generał Gudin!

— Niech żyje generał Gudin! — wrzasnęły obadwa tłumy.

Noc zeszła na te wąwozy. Cała przestrzeń od Andermatu do Göschenen zamieniła się na obóz. Ognie błyskały, piekło się mięso krów i wołów, sprowadzonych aż z Waasen. Więźniów, pojmanych przez Gudina na Grimsel, umieszczono w ciasnem przejściu za Urnerloch, tuż obok Dyabelskiego Mostu. Siedzieli tam jak szczury w łapce. W pobliżu rozłożyła się obozem kompania Le Gras'a. Pulut umieścił przy swem ognisku rannego Felka, posłał mu łoże z mchów i trawy, i gotował dla niego w jakiejś szczególnej skorupie niemniej szczególny a jakoby natychmiast uzdrawiający rosół zaczarowany. Chory drzemał. Kiedyniekiedy otwierał oczy i z głębokim podziwem patrzał na blaski ognia, latające po niezmierzonych skałach, po urwiskach, które zachodziły swymi zębami tak szczelnie jedne za drugie, że przesmyk obok rzeki wydawał się podobnym do pieczary bez wyjścia. Kiedyniekiedy

zaczynał wsłuchiwać się w szum obłąkanej wody rozbitej na puch i lecącej po oślizgłych schodach— i wtedy strach go ogarniał. W pewnej chwili usłyszał, że Matus z kimś rozmawia. Radby był słuchać tego głosu, ale mu wnet wszystko zobojętniało... Gdy znowu dźwignął swe ciężkie powieki, zobaczył przy ogniu Matusa i trzech więźniów. Stary mówił do nich szeptem. Twarz mu gorzała. Felek nie mógł pojąć, co w tem jest, żo on rozumie o czem tamci mówią, i nie mógł pojąć, czemu go tumani tak dziwna senność... Chciał się poruszyć, przysunąć do ogniska, mówić do nich i wypłakać łzy, które mu jak skała przygniatały serce. Tak mu było gorzko, tak smutno... Długo znowu nic nie widział, błąkał się między przedziwnemi widzeniami i cudami, długo dźwigał swoją lewą rękę i pragnął kiwnąć nią na Puluta, ażeby mu coś powiedzieć. Ocknąwszy się zobaczył go przy ognisku, pykającego z fajczyny, obok jeńców austryackich, patrzących w niego, jak w tęczę. Matus miał kapelusz zsunięty na same brwi, patrzał się w ogień i głośno gadał.

— Na prawo — mówił — były tam nieduże jałowczyki, na lewo pole dopiero zawleczone. My stali w tej roli, a tu kule rznęły, co zachowaj ta Panie! Od tego dymu, to mówię wam gęby ludziom poczerniały. Tu huk taki, tu co moment który z naszych piach nosem orze, jakiesi pułki w dymie lecą... Zda nam się spojrzeć na bok, a tu ci on sam drze piechotą. Naczelnik. Kapelusza na nim niemasz, gęba usmolona. Wzion stanął przy nas w szeregu, pokazał pałaszem, coś zagadał... Ech! Jak my,

ścierwa, poszli z nogi, to mówię wam chłopcy, święta ziemia dygotała...

Felek pragnął słuchać tego opowiadania, ale znowu wielka niemoc i przykry sen zakryły mu oczy i ciemność wchłonęła go w siebie.

II.

Stary pan Krzysztof Opadzki szedł zwolna drogą od Młyńskich Smugów ku Zimnej. Miał na sobie lisiurę do kolan i buty kozłowe z wysokiemi cholewami, to też ciepło mu było, a nawet odrobinę za duszno. Całą zimę spędził w doskonale ogrzanych pokojach, przesiedział w fotelu obok pieca, więc, gdy raz pierwszy z drzemania zimowego wysunął się na dwór, ogrom powietrza upoił go i rozmarzył nie gorzej od kulawki celnego tokaju. Wiosna już ogarnęła ziemię. Przed tygodniem puściło do gruntu, a w danej chwili już tu i owdzie z wierzchu podsychało. Na dróżkach uczęszczanych była jakgdyby błona z tęgiego rzemienia, uginająca się pod stopą. Po drogach stały jeszcze rozkisłe bajora, w brózdach szkliły się długie smugi wody, a w skibach noga przepadała po kolana. Poranek stał nad okolicą, jak uśmiech szczęścia na twarzy człowieka chorego. Dalekie zarysy widnokręgu powlekał niebieskawą barwą nikły i rzadki opar, bliżej naokół czerniał grunt obnażony i martwy. Jeszcze nie było ani jednego piórka trawy. Wygony i miedze leżały pośród niwek, jak sztaby bezduszne. Głęboko smutna równina szła daleko, na kraj świata,

za odległe mgły powłóczyste. Na niewielkiem wzniesieniu widać było kilka suchych topól, czarny dach i długą, białawą, z czerwonymi słupami ścianę owczarni w Brodzkim folwarku. Nieco dalej wysuwały się z za piaszczystego wzgórka chałupy we wsi Budy Brodzkie. Już we mgle ciemnymi kresami znaczyły się wśród pól równych i milczących topole i budynki w Kostrzewnie. Na końcu drogi, połyskującej od wody w kolejach, grzało się na słońcu miasteczko Zimna, a obok niego dominium Zimna ze swemi licznemi zabudowaniami i wielkim starym dworem, schowanym w kępach drzew parku i owocowego sadu.

Pan Opadzki szedł sobie noga za nogą, przystawał, nakrywał oczy dłonią i patrzał na przestwór pod słońce. Znał tam każdą skibę, każde kretowisko, każdy zakręt płytkiego strumienia. Gdy przyszedł do brzozowego gaju, który z prawej strony drogi ciągnął się nad pastwiskami, stanął znowu i, kiwając głową, mruczał do siebie:

— Patrzcież się państwo, jak to bydlę wyrosło! Przecie tu było goło, jak na nosie, zupełnie goło jeszcze tak niedawno. Zaraz... Kiedyż to tutaj było goło? Jechaliśmy, pamiętam, z *Sophie* na wojaż poślubny... Pojazd był otwarty, dzień był ciepły, tak ciepły, tak jasny...

Zbliżył się do wysmukłych brzózek o białej, gładkiej, tu i ówdzie spękanej korze, które, delikatne warstewki, porysowane czarnymi prążkami, zwijały się niby płatki welinowego papieru — i, spoglądając na cienkie, czarne gałązki tych drzew, bujnie pędzące w górę, — wzdychał za czemś da-

wnem i, widać niepowrotnem. W tym zagajniku grunt był twardszy, więc stary pan wszedł między zarośla i krok za krokiem postępował. Leżały tam zbitą masą czarne, zeszłoroczne liście, tak już przegniłe, że z nich pozostały ledwo kształty. Wilgoć spływała po nich, jak po tłuszczu i zsączała się w maleńkie strumyki, zdążające ku rowom. Ciepłe słońce wyprowadzało na białej korze brzóz i na czarnem, lśniącem podścielisku różne kolory, żywe światła i cienie. Zdawało się, że tam w głębi lasku pośród wielkiej ciszy coś prawie niewidzialne na oślep błądzi, wynika i przepada, czasami chyżo ucieka, albo czai się, stąpa na palcach, i z za pniów wygląda. Pan Opadzki lazł między drzewkami, coś do siebie wciąż szeptał, jakby z drugą osobą prowadził ożywioną rozmowę:

— I to już wszystko minęło—patrzajcież państwo! I to już taka późna starość nadciągnęła...

Znowu stanął, zadarł głowę do góry i przypatrywał się mietlastym czubom brzózek.

— A to sobie rośnie, jakgdyby nigdy nic... Jesteś, czy cię niema, stary, wypróchniały dziadu, nam wszystko jedno... Oto jak sprawa stoi!

Piękne nawet w tak późnej starości oczy pana Opadzkiego, o dużych, wyblakłych, niegdyś błękitnych źrenicach — poczerwieniały na małą chwilę...

Strzepnął ręką, pięknym, bezwiednym ruchem musnął siwego wąsika i wyszedł z lasu na ścieżkę. Gdy tam stanął i powiódł wzrokiem po okolicy, uderzyły go dwa błyszczące punkty. Zdala, od strony Kostrzewna szły dwie osoby w mundurach wojskowych.

— Aha! — szepnął pan Opadzki — trafili przecie i do mnie! Jeszcze mi tylko tego brakowało...

Cofnął się do lasu, wynalazł duży kamień w pobliżu drogi, usiadł na nim i postanowił czekać na żołnierzy, którzy szli w stronę Zimnej. Już z odległości pan Opadzki dostrzegł kity proste, ponsowe, na pół łokcia wysoko sterczące ponad kaszkietami w kształcie wiaderek i białe pasy, krzyżujące się na granatowych mundurach. Dwaj żołnierze posuwali się zwolna, nurzając w błocie swe wysokie, czarne kamasze. Co chwila przystawali i prowadzili głośną rozmowę. Gdy podeszli do lasku, staruszek, czekający na nich z biciem serca, zobaczył, że jeden z żołnierzy ma rękę uciętą, bo lewy rękaw jego munduru plątał się bezwładnie za każdem poruszeniem, i że twarz drugiego jest blada, jak płótno, krok chwiejny i ramiona schylone ku ziemi. Obadwaj patrzyli ciągle w stronę Bud Brodzkich, a starszy, wywijając swą jedyną ręką, wciąż wołał:

— Budy... mój Jezus kochany... Widzi Felek... Budy...

Gdy tak zapatrzeni przechodzili koło zarośli, pan Opadzki przetarł oczy i aż uniósł się nieco ze swego kamienia, szepcąc ze siebie:

— W imię ojca... Toż to Pulut!

Tymczasem dwaj grenadyerowie napoleońscy zeszli z szerszej drogi na polną ścieżkę i szybszymi kroki podążyli przez czarne role, błyszcząc na słońcu swym pięknym ubiorem i guzami.

Długo stary dziedzic Zimnej siedział nieruchomo na swym kamieniu i patrzał w ziemię. Wargi jego drgały nerwowo i wypadał z nich szept głuchy:

— Pulut... Matus Pulut...

Głęboka, nieujęta cisza zaległa znowu cały przestwór. Snuły się w niej dawne wspomnienia pana Opadzkiego, kojarzyły zapomniane wypadki, rzeczy wielkie i bardzo drobne, miłe i obmierzłe. Nagle stary pan wstał ze swego siedzenia i ostro poszedł ku domowi.

Gdy wkroczył w aleję suchych topól, gdzie w rowach bełkotały nurty wody zabłoconej iłem, a gdzie tak dobrze było mu oddychać jeszcze przed dwiema godzinami, — miał w twarzy surowość, dolną wargę wzgardliwie obwisłą i w wielkich, bladych oczach połysk lodowaty. Pod wpływem poruszenia wewnętrznego jego figura wyprostowała się, krok nabrał pewności, a ruchy — życia i siły. Dość szybko przebył całą długość alei, otworzył furtkę w tylnej części parkanu, otaczającego sad, i wkrótce znalazł się przed gankiem dworu. Był to dom stary, obszerny i bardzo cudaczny. Do głównej jego budowy, na przodzie której znajdował się ganek o sześciu murowanych słupach, dobudowano, widać różnymi czasy, szereg przybudówek, dachów, daszków, a nawet wieżyczek. Te dachy piętrzyły się jedne nad drugimi, szły w różne strony i przedstawiały w tyle dworu dziwną kupę gontów. Jedne z nich były już czarne i spleśniałe, inne niedawno, widocznie na jesieni ubiegłego roku, przybite. Na podobieństwo dachów tłoczyły się tam ściany przybudowanych pokoików. Sprawiało to wrażenie takie, jakby stary dwór pękł od tyłu i jakby przez szczelinę wybuchnęła pewna część jego wewnętrznych pokojów, izb i bokówek. Od frontu były

okna spore i równe, tam na tyłach — przeróżne, poumieszczane wysoko i nizko, niektóre bardzo nizko, gdyż wraz ze ścianami do połowy w ziemię się wsunęły. Naokół stał prześliczny — nie las, nie park — dziki ogród. Wielkie drzewska: lipy, klony, wiązy, mnóstwo sosen, jodeł, świerków, brzóz — rosły tam, jak chciały. Niegdyś nakładano widocznie pęta na swobodny rozwój tego gaju, gdyż w jego głębi znać było jakby trzy szerokie półkola, czy grupy. Z czasem jednak młoda podszewka leśna rzuciła się wszędzie, wybujała i zagłuszyła dawną symetryę. W grupie starych jodeł widać było nawet szare, pozieleniałe ze starości, tu i ówdzie mchem zarośnięte ciało nagiej dryady kamiennej. Na jej ciemieniu szczodrze wynawożonem przez kawki i wróble, rosły dosyć rozłożyste badyle, których słupki wyglądały na wiosnę, jak włosy, dęba z przerażenia stające. W pobliżu jakiś drugi obnażony kadłub nurzał swe greckie oblicze w mazowieckiem bagnie, zadarłszy bezwstydnie poutrącane nogi. Tu i ówdzie między drzewami stały piętrowe i parterowe białe oficynki, zbudowane na wzór domostw szwajcarskich, albo świątyń z greckimi portykami. Dalej, za parkiem stały gumna, dworki ekonomskie, mieszkania czeladzi folwarcznej, a na brzegu nudnej rzeczki spała pośród głębokich piachów mieścina rolnicza.

Gdy pan Opadzki począł stukać nogami, strząsając z butów glinę, wybiegł naprzeciw niego pokojowiec, rozwarł drzwi wchodowe i zaprowadził go do szerokiej sieni. Stamtąd pan Opadzki udał się na prawo i, minąwszy kilka dużych pokojów,

znalazł się w swej ulubionej kancelaryi, izbie niewielkiej, ciepłej i zacisznej. Lokaje podsunęli mu fotel, obity skórą, szybko zdjęli z niego ciężką lisiurę, zzuli buty i przybrali go w miękkie suknie, płytkie pantofle i ciepłe pończochy.

— Gdzież to Franuś? — zapytał stary dziedzic.

— Pojechał konno.

— Dokąd pojechał konno?

— Nie wiemy...— odpowiedzieli pokojowcy.

— Jak tylko przyjedzie, żeby mi tu był zaraz, — rzekł pan Opadzki, wyciągając nogi na poduszce w stronę ognia, który płonął na kominie.

Gdy sam został, a drzwi się zamknęły i kroki ucichły, — zwiesił głowę i powtórnie upadł na duchu. Marzenie unosiło go w ów przestwór zamarły, podobny do krajobrazu, nad którego ponurem oddaleniem noc wisi, niby całun grobowy. Wszystko przeminęło, wypaliło się i zgasło, jak ogień. Ciemny mrok zadusił nawet rozżarzone węgle i połknął ich nędzną łunę. W tym starcu skąpym, nieprzystępnym, milczącym i smutnym niktby nie poznał dawnego rozrzutnika, sławnego kpiarza, który w życiu swojem zwiódł, jak mówiła pani krakowska, dwa tuziny cudzych żon i jednę. Z możnego panka, ze stronnika możnych, który zawsze i wszędzie tam był, gdzie oni hulali, stał się zwolna, w ciągu dziesięcioletniego samotnictwa w Zimnej jeszcze bardziej odpychający swą dumą, ale teraz już prawie wszystkich. Stopniowo zapomniano o nim. Dwaj synowie, między których podzielił fortunę, bawili się co zima w Warszawie — aż do skutku. Młodszy

puścił przez palce cały majątek, a gdy mu urzędnik pruski, według procedury sądowej, przybił na drzwiach pozwy, ogłaszające sprzedaż przez licytacyę publiczną jego majątków, z resztą spuścizny uszedł za granicę, wstąpił do szeregów armii, walczących pod Napoleonem i zginął w bitwie pod Stradellą. Wdowa przezeń osierocona zamieszkała w Zimnej, gdyż ani z własnego, ani z mężowskiego majątku nic jej nie pozostało. Trawiła życie w smutku i nudzie, ukryta w kilku izbach na lewem skrzydle dworu. Starszy syn p. Opadzkiego żył również wesoło i hulaszczo. Posiadał jeszcze wioski, które mu ojciec przeznaczył, ale tylko nominalnie. Krwawe wojny na zachodzie Europy, a także inne okoliczności — wpłynęły były na podniesienie ceny dóbr gruntowych. Ta chwilowa i zmienna wartość roli posiadanej była przez hipoteki pruskie umyślnie notowana, jako stała, i za taką poczytywana przez ogół. Zboże, które produkowały stada zgłodniałych chłopów pańszczyźnianych, szło spławnemi rzekami na morze, znajdowało pomyślny zbyt na targach europejskich, dźwigało coraz wyżej cenę dóbr i chwilową zamożność szlachty. Agenci domów bankowych z Berlina chętnie, na nizki procent udzielali pożyczek, które ziemiaństwo na swe dobra zaciągało. Hipoteki wmawiały w dziedziców, że są bogatszymi, niż sądzili, więc szlachta brała od agentów pieniądze obiema rękami. Zaciągano te długi hipoteczne, ażeby spłacić prywatne, ażeby podnieść stopę życia do tej wysokości, jakiej hipoteka poniekąd się domagała, ażeby wreszcie żyć, jak się patrzy, pohulać do upadłego, kiedy jest za co. Nominalna

wartość ziemi i jej płodów, która była przedmiotem umów, niedługo prysła, jak bańka mydlana, gdy rzeczy wracać poczęły na zachodzie do miary zwykłej. Jedną z najpierwszych ofiar złudzenia był Teofil, starszy syn p. Opadzkiego. Posiadał jeszcze, co prawda, znaczne dobra, ale właścicielami ich byli *de facto* panowie Trudhy et C-ie z Berlina.

Stary pan Opadzki, siedząc na swym fotelu, miał w pamięci te wszystkie okoliczności i czuł je dziwnie żywo. Dawne gorycze poruszyły się w nim i wzburzyły od chwili, kiedy zobaczył Puluta. Chłop pańszczyźniany, który w ciągu dwunastu okrągłych lat gdzieś się podziewał, który oddawna uchodził za nieboszczyka, teraz, jakgdyby nigdy nic, wrócił i szedł do wsi z bezczelnym spokojem...

Po bitwie jeńskiej i wkroczeniu wojsk napoleońskich do Berlina — komisye sądowe, powiatowe, kreisgerichty, inkwizytoryaty śledcze, a, co najważniejsza, pan justicyaryusz, opłacany przez dominium — wszystko to cofnęło się z widowni. W dystrykcie, do którego należała Zimna, w kącie zapadłym i od traktu wojennego dalekim, przez całą zimę nie pokazał się ani jeden Francuz, a Niemca na lekarstwoby nie dostał. Wszystko tedy stało na opiece boskiej i tylko siłą bezwładności trzymało się kupy. Pan Opadzki do niczego się nie wtrącał. Dochodziły go tylko echa wielkich bitew i poruszeń armii francuskich. Kiedy Francuzi nasyłali mu wykazy rekwizycyjne, wydawał, co na niego przypadło, — kiedy brano rekruta — zgadzał się również i wyprawił był już kilkunastu parobków do właściwej kamery. W ogóle jednak pragnął spokoju

i końca wszelakich awantur. Jak wszyscy, — miał podziw i żywił zabobonny pietyzm dla „wielkiego" Napoleona, ale miał także dla niego głuchy i nierozważający żal ojcowski... Z imieniem Cesarza Francuzów związana była w imaginacyi starca ściśle i mocno pamięć o synu zginionym. W gorzkim smutku swoim, w żałobie, która go nieraz obejmowała nagle pośród wesołej gawędki, albo w toku myśli codziennych, — usiłował niejednokrotnie zobaczyć mogiłę drogiego dziecka i z boleścią docierał zawsze myślami do wspólnej jamy, gdzie wwalono kupę zabitych chłopów i jego, potomka odwiecznego rodu rycerzy. Wtedy po zimnem, wystygłem obliczu spadały dwie, trzy łzy, zaiste krwawe...

Gdy tak siedział przed ogniem, melancholia wiała nań z każdego końca pokoju. Czuł, że zbliża się do niego żal bezlitośny i że niedługo nóż swój zbójecki podniesie. Wstał z krzesła i, pragnąc jakoś rozbić gorzkie myśli, wyszedł do sąsiedniego pokoju. Za dawnych, weselszych czasów śniadano tam i obiadowano. Był to salon długi i dosyć wązki. Środek jego zajmował ogromny stół, przy którym mogło ucztować kilkadziesiąt osób. Na ścianach wisiały portrety przodków. Były tam płótna zczerniałe, na których ledwo było widać figury tak twarde i sztywne, jakby były drewnianemi kłodami, pookręcanemi w karmazynowe i żółte stroje; były jakieś monstra z twarzami niby kobiet, zaopatrzone w przedziwne fioki, były brzuchate postacie o wielkich, czerwonych gębach i obwisłych policzkach, były wreszcie wizerunki ludzi nadzwyczajnie pięknych. Na ścianie dobrze oświetlonej wisiał portret

rycerza w zbroi, malowany tak wybornie, że ta wielka osoba zdawała się z ram wychodzić. Ciężki, żelazny pancerz był dla tego husarza strojem, wdzianym dla parady. Była to raczej odzież, którą wielkie ramiona i szerokie piersi do swego kształtu i na swą potrzebę urobiły. Tęga ręka, wysunięta naprzód, wspierała się na ułamanym drzewcu, surowa twarz spoglądała nie na widza, lecz dokądś nad jego głową... Na ścianie przeciwległej wisiał portret pana Opadzkiego i jego nieboszczki żony. Obadwa te płótna malował swego czasu Lampi. Stała tam piękna kobieta z łonem prawie odkrytem, zapatrzona w dal z udanem rozmarzeniem. Trzymała w ręku niezwiązany bukiet kwiatów. Obok siedział pan, wesoły i niedbały. Ciemny, jakby złotawy koloryt leżał i na jego twarzy ogolonej, na prześlicznych, miękich, wydelikaconych policzkach i na czole alabastrowo białem. Pan Opadzki począł chodzić w zamyśleniu dokoła stołu powolnymi krokami starca. Posadzka zcicha skrzypiała pod stopami, nikły cień osoby przeciągał się po ścianach. Okna tego pokoju wychodziły na ogród. Stały w nim drzewa bezlistne, ponure w swem obnażeniu i jakby spuchnięte od dżdżów wiosennych. Na drogach, w głębi parku, w dalekiej przestrzeni rozścielała się przed oczyma starca rozbita pustka, w którą młot śmiertelnych przeczuć uderzał i wszystkę rozkosz życia, jak próchno wysypał. Pan Opadzki odwrócił wzrok i z westchnieniem spojrzał na portret żony. Przez chwilę patrzał na ten wizerunek niezupełnie podobny, ale oddający wiernie miniony nastrój, jakby pogrzebane marzenia

i tę namiętność, która już przed laty zginęła. I nagle stary pan gorzko zapłakał. Poczuł w sobie, w swych kościach i w sercu, zgrzybiałość, która już wszystko strawiła, zwiastunkę śmierci. We łzach, toczących się po jego policzkach, wypływała skarga na ten czas niemiłosierny, co zabiera młodość, zdrowie, tęgość bark i kolan, ogień ze krwi, szczęście, wesołość i dostatki. Z niezmiernego tłumu osób znajomych ta oto jedna malowana postać żony mogła z nim dzielić wspomnienie uroczych zabaw, nie skrępowanego niczem wesela, dowcipnych intryg, cudownych kobiet i mężczyzn, stojących na szczycie kultury. Już tego nikt nie mógł pojąć, nikt nawet marzeniem ogarnąć bajecznego świata, który przeszedł niby cień i zstąpił do grobu. To też we łzach pana Opadzkiego wyrażała się niezmierna jego miłość dla cienia, zaklętego w malowidle. Gdy tak zatopiony był w sobie, drzwi się uchyliły i oczekiwany Franuś wsunął głowę do pokoju. Był to faworyt dziedzica. Spełniał zarazem funkcye lokaja i przełożonego nad całą administracyą majątku. Marszałek, każdy z podstarościch i wszyscy służący musieli wykonywać najściślej wszelkie jego rozkazy, pomimo, że on właściwie był urzędnikiem do skrobania dziedzica w pięty, gdy ten nie mógł zasnąć. Franuś był to człowieczyna młody, chudy, nizki i niepozorny. Chodził zawsze w kożuszku i butach z bardzo długiemi cholewami, które nadzwyczaj dobrze uwydatniały kabłąkowatość jego nóg, chudych, jak patyki. Sypiał w maleńkiej izdebbe tuż przy pokoju pana Opadzkiego i ciągle mu dotrzymywał towarzystwa. Franuś wszedł do pokoju,

drzwi za sobą przymknął starannie i z uciechą, wysiłkiem powstrzymywaną, rzekł szeptem:

— Panie, powiem dużą nowinę, ale dostanę tamten pas jedwabny...

— Nic nie dostaniesz, ośle jeden, a nowinę schowaj sobie w kieszeń i idź za drzwi. Co mi ty powiesz? To, że Pulut przylazł?..

Franuś aż usta otwarł ze zdumienia.

— A jegomość skąd wie?

— Wiem i cała rzecz. Byłeś na Budach?

— Byłem — a jakże! Tam tak wre, co zachowaj Boże!

— Co wre?

— No — co wre? Chamstwo wre w karczmie.

— Czegóż oni znowu? Chrzciny?

— Nie chrzciny, tylko *ratione* tego Puluta. Jechałem sobie na szkapsku od Kostrzewna, aż tu, patrzę, idą jakieś dwa czupiraki. Wziąłem ich na oko i doczekałem, aż zawinęli do Berka. Skoczyłem tam, kobyłę zostawiłem u węgła i wlazłem do alkierza. Tamten se usiadł i wysłuchałem, co gadali. Jakem przyszedł, to już się ściskali cała kompania koligacyi. Panie! co on tam gadał ten obieżyświat... Pasya mię rwała, żeby złapać harap do garści, zedrzeć mu ze łba to czapczysko i zagnać draba do wyrzucania gnoju, alem się bał.

— Bałeś się? — zapytał pan Opadzki z dziwnym błyskiem w oczach.

— A bałem się. Chociaż oni są już emeryty i kaleki, idą wprost ze szpitala w Tokarach, chociaż stary nie ma łapy, a ten młodszy, obcy, przez całą zimę chorował na krwawą biegunkę, alem się

bał. Jeszcze by ten Napolion wrócił tu ku nam i kazał mi łeb uciąć. Mnie licho po tem z takim zaczynać!

— Co mi tam pleciesz! — przerwał mu znagła dziedzic. — Właź oto na koń, jedź mi jeszcze raz na Budy, schowaj się w alkierzu, czy jak sobie tam chcesz, tylko mi przywoź rychło wiadomość, co i jak. Skąd i co zacz jest ten drugi — to chcę wiedzieć detalicznie. Dokładnie sobie zakonotuj *dicta* podłe, jeśliby się na nie ważyli, i wracaj żywo.

Franuś pociągnął na sobie pasika, uderzył się harapem po cholewach i wyszedł, a pan Opadzki kazał prosić do stołu. Obiadowano nie w wielkiej sali jadalnej, lecz na końcu dworu w wązkiej izbie, sąsiadującej z alkierzami rezydentów i pokojami wdowy. Gdy stary pan wszedł do tej jadalni, wszyscy tam już byli zgromadzeni i witali go nizkimi ukłonami. Pod oknem siedziała wdowa, dumna, chora na zęby, nic nie mówiąca do nikogo i wiekuiście rozdąsana; na szarym końcu trzymało się na brzeżkach krzesełek, pooznaczanych specyalnemi insygniami, kilku starych niedołęgów, z bojaźnią śledzących zpod oka ruchy i miny dziedzica. Pan Opadzki mruknął kilka słów na powitanie, do każdej z osób zwrócił się z jakiemś uprzejmem słowem, usiadł i zaczął szybko chlipać polewkę. Dania przynoszono z kuchni, leżącej na drugim końcu wielkiego dziedzińca, to też obiad trwał zawsze niezmiernie długo. Sługusy zaczęły właśnie obnosić czwartą potrawę, kiedy za ścianami dworu dał się słyszeć głośny tentent, bryzgi rozprysłego błota

padły aż na szyby okien i w tumanie pary Franuś osadził przed gankiem spienionego konia.

Pan Opadzki zaczął mrugać szybko powiekami i rzekł przez zęby do jednego z rezydentów:

— Wołaj go waść tutaj z łaski swojej!

Franuś zjawił się po chwili z głową obwiązaną jakiemiś szmatami, zpod których wyglądały plamy krwawe.

— A to co? — rzekł pan, wpatrując się w jego oczy.

— A cóż? — Chłopstwo mię zobaczyło... Wciągnęli mię do izby.

Franuś usiadł na stołku i zapłakał głośno.

— Ty mi tu, proszę cię, nie lamentuj, tylko rzecz opowiadaj!..

— Ładna opowieść — ani słowa! Jak jeden człowiek zaczęli wrzeszczeć, że na pańskie więcej nie pójdą... Racice mi pod nos tkali, i parli mię do ściany. Szczęście, żem się dorwał jakoś do drzwi, chlusnąłem za próg i na szkapę. Ale, gdym już miał nogę w strzemieniu, któryś mię zdzielił w łeb kamieniem. Mroczki mi stanęły w oczach... Szczęście, że kobylsko poszło w cwał, bo bym ta był całego łba niewydostał. Jaśnie pan zawsze mnie samego...— zaczął z płaczliwie górnego tonu.

— Franuś... milcz z łaski swojej — rzekł pan Opadzki spokojnie, wydymając wargi i patrząc za okno.

Po chwili wzniósł brwi, rozłożył ręce i rzekł:

— To trudno... to trudno! Kto sieje wiatr...

Wszyscy uroczyście milczeli, tylko Franuś głośno stękał.

— Zeby tak na mnie padło — nno! — zaczął mówić basowym szeptem najmłodszy z rezydentów, patrząc na kolegę, jakby tylko do niego jednego kierował swe uwagi. Nie dokończył, gdyż pan Opadzki zwrócił się nagle do Franusia i rzekł:

— Idź tak, jak stoisz z gałganem na łbie i sprowadź mi tu *gulonów*. Idź od dymu do dymu i mów, że ja ich proszę do siebie, a żywo, żywo...

To powiedziawszy, wstał od stołu, złożył ukłon współbiesiadnikom i ruszył prędko do swej kancelaryi.

Nie upłynęło jeszcze i pół godziny, gdy już tłum drobnych mieszczan, zgromadzony w izbie kredensowej, oczekiwał na dziedzica. Byli to przeważnie ludzie starsi, niektórzy bardzo starzy. Wszyscy ubrani byli w długie błękitne kapoty, nie wyjmując tych, którym do uzupełnienia odświętnego stroju brakowało butów. Ci wszyscy „obywatele“ miasta Zimnej odrabiali we dworze pańszczyznę pospołu z „chamskiemi duszami“. Na twarzach ich, na twarzach czarnych, suchych, wynędzniałych, malował się niepokój, w postawach widniała służalcza cierpliwość.

Gdy pan Opadzki wszedł do izby, wszyscy, jak łan zboża na wietrze, schylili się ku ziemi.

— Widzieliście, obywatele — zaczął dziedzic odrazu, wskazując na Franusia, który wszedł za nim — widzieliście, co to chłopkowie robią, jak sobie poczynają?

— Widzieliśmy, jaśnie panie — odpowiedzieli chórem.

— Zranili człowieka i byliby go zamordowali.

Za łaską Bożą tylko uszedł szczęśliwie. Mówił wam resztę, więc wiecie. Cóż ja mam począć z takiemi ludźmi, pytam się was, co ja począć? Wczoraj było tam jeszcze cicho i pobożemu, dziś zjawia się taki Pulut...

— Cham, jaśnie panie, zawsze jest psia dusza... — rzekł Maciejowic, jeden z najstarszych mieszczan.

— Nie, ale cóż ja mam począć, pytam was się?..

— A cóż my, jaśnie panie?.. My za sprawiedliwością... — rzekł ktoś z tłumu.

— I ja także. Sam wyroku dawać nie chcę, aby nie powiedziano, że w gniewie sądzę. Pan justicyaryusz uciekł... kogóż ja mam wziąć, jako arbitra. Was wzywam, obywatele, was, dawny Urząd Radziecki. Jest tu Stępień, jest Opałka, jest Szczepański, Mądrasik... Przecie oni w Urzędzie zasiadali, dekrety ferowali i na prawie się znają.

Tłum poruszył się żywo. Głęboka, wielka radość odbiła się rumieńcami na twarzach starych mieszczan.

— Sprawiedliwie jaśnie pan mówi — rzekł Opałka. — Siadałem, jako ławnik w starej Radzie. Nasze prawo mańdeburskie je świętobliwe. Jak Zimna Zimną — tu obywatele sądzili wedle Saxonu, aby się złe i niegodziwe kryminały kajały, występki surowie potępiali dla rozgromienia wszelakiego złodziejstwa.

Ręce starego mieszczanina trzęsły się gorączkowo, w oczach płonął entuzyazm, w głosie drgała nuta błagalna. Dreszcz uniesienia przejmował tłum cały.

Błysnęła im nadzieja twardego sądzenia, dzierżenia władzy i dostojeństw, które byli przed laty stracili.

— A więc wybierzcie zpomiędzy siebie Urząd Radziecki — rzekł pan na Zimnej głosem cichszym, jakby zebranym sekret powierzał. Ja każę aresztować Puluta i tego drugiego.

— To chyba „gorącem prawem" będziemy go sądzić, jako że pojmany jest na uczynku?

— Tak, tak... gorącem prawem.

— Jaśnie dziedzicu, — rzekł jeszcze Opałka — w naszem prawie dwojako się inkwizycye prowadzą: jedne są dobrowolne, a drugie są konfesaty. Tak prawa nasze świadczą i tak przed wieki nasi ojcowie sądzili. Czy niby, w razie jeśli zbrodzień trwa w umyśle swym i afekcie podłym, czy niby, jaśnie panie godzi się myszkę puścić?

— Co za myszkę? — rzekł pan Opadzki, krzywiąc się i strzelając w palce.

— Jeśli zbrodzień nie chce wyznać na inkwizycyach dobrowolnych świętej prawdy, jako było, tedy się bierze według sprawiedliwości myszkę, jego się na ziemi rozciągnie i do słupków obnażonego przywiąże, a tę, myszkę się w szklankę wpuści i tę szklankę do pępka mu przystawi. On ta już wtedy nic nie zatai.

— Kozę, kozę lepiej — rzekł Stępień, przymykając mądrze powieki. Złoczyńcę się do ławy przywiąże, nogi jego słoną wodą namaże, potem kozę przywiedzie, która sól je rada, aby pięty onego złoczyńcy lizała... Który ból powiadają być okrutny bez obrażenia cielesnego.

Pan Opadzki milczał przez chwilę. Na wargach jego przemykał się uśmiech zimny i straszny.

— Ja nie wiem, moi kochani, jakie są prawa mańdeburskie. Sądźcie według świętej sprawiedliwości, jak ona każe, a patrzcie na krzywdę moją— oto wszystko.

— To my, jaśnie dziedzicu, dziś zaraz tę Radę ustanowimy?

— Tak, tak, zaraz — rzekł pan Opadzki.

Mieszczanie skłonili mu się do stóp i zwolna opuścili izbę. Tegoż wieczora Franuś na czele kupy hajduków i parobków dworskich aresztował Puluta i Felka. Obadwaj wtrąceni zostali do loszku miejskiego, gdzie za dawnych czasów przestępców trzymano.

III.

Felek, wyprowadzony na świat z ciemnicy, biegł szybko między rosłymi drabami, którzy go szturchali i naglili do pośpiechu. Był dopiero świt wczesny. Ogromne drzewa parku tonęły we mgle, przestworów i wsi dalekich wcale jeszcze nie było widać. Chłodna rosa kwietniowa śnieżną farbą powlokła czarne dachy w miasteczku, skiby roli odwróconej, górne żerdzie w płotach i daszki na murach, okalających cmentarz i kościół. Gromadka, prowadząca Felka, przebiegła dwie piaszczyste uliczki, minęła rynek, dokoła którego stały mieszczańskie domostwa z wystającemi podcieniami na słupach, i okrążyła mury cmentarne. Niegdyś były tam za-

pewne fortyfikacye obronne, bo resztki grubych murów widać było tu i ówdzie, przytulone do występów i urwisk gliniastych. Całe to miejsce od dawien dawna nazywano Zamczyskiem. Mocne kamienne ściany, przerośnięte bluszczami, tarniną i berberysem, waliły się, rozsypując na okół kupy gruzów. Gdy Felka wyprowadzono za cmentarz, oczom jego ukazał się duży tłum ludzi, zgromadzony przy jednej z takich resztek starego zamku.

Ludzie cisnęli się zwartą kupą, wspinali na palce i próbowali zajrzeć do środka koła. W głębokiem milczeniu słuchano głosu, wychodzącego z głębi gromady. Przybywających wstrzymano i giestami zalecono milczenie. Felek posłyszał basowe dźwięki mowy pisarza dworskiego, który zarazem prowadził badanie i trzymał pióro w sprawie Puluta. Pisarz czytał stękając:

„...taka inkwizycya padła przed sądem naszym, a za owe ekcesy jego kryminalne ferujemy dekret niniejszym sądem naszym według świętobliwego prawa, aby żywcem był ćwiartowany i ćwierci na palach przy gościńcu i na granicy bite. Lubo ten zbrodzień zasłużył śmierć według prawa, dekretem wyrażonego, ad instantiam jednak jaśnie wielmożnego pana, a pana i dobrodzieja naszego relaktuje się dekret tak, aby tylko wyż nazwany Matus Pulut mieczem był ścięty. Co podług ułożenia ferowanego dekretu, to co jest wyrażone niechaj się wykonaniem pełni. Pereat mundus fiat iustitia. Amen".

Felek patrzał w głąb zbiegowiska osłupiałym wzrokiem. Wtem ludzka masa cofnęła się na stronę i ze środka wyszedł na małe wzniesienie człowiek

krępy z długiemi włosami, które mu aż na plecy spadały. Popychał on Matusa, trzymając go za ramię. Pulut miał oszewkę koszuli rozerwaną, włosy zwichrzone i twarz jak śnieg białą. Felek wspiął się na palce i zobaczył, że gruby parobas ustawił na kupie gliny — pniak szeroki. Do Puluta zbliżył się stary księżyna, dał mu do ucałowania pasyjkę i coś na ucho szeptać zamierzał. Matus porwał się z miejsca, stanął obok pnia i zawołał ochrypłym głosem:

— Ludzie!...

Kat szarpnął go za ramię i mocno wstrząsnął nim kilkakrotnie. Pulut znowu, jeszcze głośniej, z krzykiem prawie wołał:

— Słuchajcie mię, ludzie, słuchajcie...

Oprawca trzasnął go w zęby wierzchem dłoni i rozkrwawił. Tłum zaszeptał i odstąpił nieco dalej. Wtedy Matus ukląkł sam na ziemi i prędkim ruchem położył łeb na pniaku. Ciekawi znowu ścisnęli się kołem i Felek ujrzał tylko nad głowami szybki błysk miecza.

Młody żołnierz przeląkł się bardzo. Drżąc na całem ciele kazał się zaprowadzić przed radnych i obiecał wyznać wszystko: z jakiego jest kraju, czyj jest poddany... Dotąd przy badaniach wyznać tego nie chciał.

„TABU"

Pani Ewa, wysiadłszy z pociągu, szybko minęła dworzec i znalazła się na błotnistym jego dziedzińcu. Stał tam rozklekotany powóz, zaprzężony w parę koni bardzo starych i wychudłych. Ujrzawszy przybyłą, właściciel „dryndy“ tęgiem smaganiem obudził ze snu koniska i z hałasem bliżej podjechał.

— Możecie mię zawieźć do szpitala?— spytała go pani Ewa.

— Dla czegóż znowu nie mam zawieźć? Od tego tu dzień dnia stoję. Pani wiezie chorego?

— Nie, jadę sama... odwiedzić chorego.

— No, to łaskawa pani może wsiadać.

— A ileż wy za to będziecie żądali?

— Ij... bagatelka! Pół rubla mi wielmożna pani pofasujesz całego kramu...

Pani Ewa wsiadła i stary wehikuł zaczął podskakiwać i dzwonić na kamienistym i pełnym wybojów gościńcu. Gdy szkapy przebyły całą długość miasteczka i wyciągnęły dorożkę za ostatnie chaty na szczere pole, ukazał się w oddali szereg budynków szpitalnych. W czystem i nasyconem światłością powietrzu wiosennem, na tle nowozrodzonej,

kwietniowej zieloności pól i łąk — te ogromne ceglaste domy tkwiły, niby bryły ponure. Pani Ewa przyglądała się im i okolicy z pewnem zdumieniem. Jadąc tamtędy po raz pierwszy z chorym mężem przy końcu lutego, w samym momencie nieszczęścia, prawie tego krajobrazu nie widziała. Przypominały się tylko jej pamięci niektóre rzeczy: małe, chorowite zimą i latem drzewko przydrożne z urwaną gałęzią, smutne, jak widok człowieka bez ręki, — pochylony słup wiorstowy, nagły zakręt drogi... Z miękiego widoku pól wyrywały się one z okrutną tyranią i stawały przed jadącą, niby bezlitośne narzędzia przeżytej tortury. W miarę zbliżania się do szpitala przybywało ich coraz więcej. Gdy dorożka stanęła przed gmachem frontowym, pani Ewa wysiadła, opłaciła woźnicę, z trudem odemknęła ciężkie drzwi wchodowe i udała się na piętro po szerokich, kamiennych schodach. W kancelaryi zastała młodego lekarza, zawiadowcę tego właśnie oddziału chorych mniej niebezpiecznie, do których liczby mąż jej należał. Doktorek rozmawiał z nią życzliwie, a więcej niż życzliwie przyglądał się jej pięknemu, pobladłemu obliczu; uspokoił ją kilkoma frazesami, brzmiącymi bardzo naukowo, które zapewne wypowiadał zawsze do żon, sióstr i matek, odwiedzających jego pacyentów, — i poprowadził ją na dół przez szeroki dziedziniec do parterowego budynku, stojącego oddzielnie wśród martwego ogródka.

— Długo pani z nim siedzieć nie dam, — mówił, wchodząc na korytarz, przecinający wzdłuż dom cały.

— Dobrze, panie doktorze.

— Naprzód pani sama poczeka w mieszkaniu siostry Julii, później jego wprowadzę i chwilę z wami posiedzę, bo, widzi pani, on bywa jeszcze czasami rozdrażniony. Potem wyjdę na korytarz. Gdyby był niespokojny, — zaraz się zjawię.

— Dobrze, panie doktorze.

Minęli kilka drzwi zamkniętych i stanęli przed szóstemi z prawej strony. Doktór otworzył je cicho swoim kluczem i wszedł do izby, służącej za rozmownicę. Pani Ewa zatrzymała się w pobliżu drzwi, a gdy lekarz wyszedł, usiadła na małej kanapce. Smutki, obawy, zgryzoty i niepokoje, władające na przemiany jej istotą aż do tej chwili — jedne po drugich ją opuszczały. Z głębi ich wypływał mężny i mocny spokój, nieuprzykrzony heroizm dusz bardzo cierpiących. Wkrótce drzwi się otworzyły i wkroczył do pokoju człowiek młody, chudy, z włosami roztrzepanemi i ubraniem w nieładzie. Jego bladoniebieskie oczy, wytrzeszczone i nieruchome błyszczały złowieszczo, usta spalone gorączką drgały bolesnymi ruchami, a zeschły język napróżno je usiłował zwilżyć co chwila. Obłąkany zdawał się nie zwracać uwagi ani na przybyłą, ani na lekarza,—wymijał ich niedbale i krzyczał ochrypłym głosem:

— Wojciech Jastrzębowski napisał agronomię, a ja, Henryk Dąbrowski, oprę na szerszym gruncie, socyologicznym, cebulonię altruistyczną...

Rzucił nagle okiem i jakby dopiero wówczas dostrzegł Ewę. Wnet zbliżył się do niej i podsu-

wając do oczu zeschły i ogryziony kawałeczek skóry sera szwajcarskiego, mówił:

— Patrz, moja ślubna żono, przypatrz się z łaski swojej, co ja gryzę, co ja liżę, co ja oblizuję z nadzwyczajnym apetytem...

— Panie Dąbrowski, — rzekł doktór, — czy to ładnie jest wcale się nie witać z żoną? Przyjechała odwiedzić pana, pogadać, a pan tak? Pocałuj ją pan zaraz w rękę!

Chory patrzał na niego zdradzieckiemi oczyma, chodził po izbie i wołał:

„I być strażnikiem grobów, które proszą
O łzy i miłość... I być tylko cieniem,
Którego skrzydła anielskie unoszą
Między nicością i grobów marzeniem..."

Doktór nieznacznie przyszedł do drzwi, otworzył je prędko i wysunął się z pokoju. Wtedy pani Ewa wydobyła z niewielkiego koszyka skrzyneczkę cukierków, otworzyła ją i podała mężowi. Rzucił się zaraz do cukierków, nabrał garść pełną i wpakował sobie w usta. Przełknąwszy pierwszą porcyę, złapał drugą, trzecią, wreszcie chwycił pudełko i wylizał okruszyny. Gdy już z pomadek nie zostało ani śladu, spojrzał na żonę i zaczął gadać nanowo. Nie przerywając swej wędrówki, wyrzekł kilkakroć wśród istnej powodzi wszelakich wyrazów:

— Ewunia, Ewunia...

Usiłowała wziąć go za rękę i posadzić obok siebie, ale się jej wydarł, — więc sama przysiadła na łóżku i oparła głowę na rękach. Dotknąwszy się

jego ciała, jego dygocących dłoni z nabrzmiałemi żyłami, znowu uczuła w sercu ostrze włóczni, która jej życie przebiła... Szybkimi pociskami myśli, podobnymi do błyskawic, obejmowała ciemne noce, przeżyte w tym domu przez jej nieszczęśliwego męża, noce podobne do tajemnych przestworów, zalanych przez martwe wody, nad któremi wisi ciemność wiekuista. W ciągu pojedyńczych minut usiłowała zdrowymi nerwami wyczuć i zmierzyć okropne jego boleści, straszliwe trwogi. Za pomocą potężnego skupienia całej swej istoty ważyła się łamać wejście do wnętrza tego lochu, spokojnie rozpatrzeć sekrety tamtej potwornej dziedziny, i walczyć. Ach, walczyć! Wszak po to przyjechała. Zebrać do kupy potęgi duszy, jakiemi tylko człowiek włada i uderzyć w nieznanego wroga. Jeżeli to jest zły duch— to uciecze, jeżeli to jest rana — to się zagoi, jeżeli to jest sama bojaźń—to ustąpi, jeżeli jakiś ból niepojęty — to się uśmierzy...

Obłąkany zatrzymał się przed nią na chwilę, później usiadł na łóżku i już to ziewał przeraźliwie, już szeptał do siebie. Objęła go z najczulszą miłością, przycisnęła jego głowę do piersi i zaczęła mówić cichym, natchnionym głosem:

— Henryku, posłuchaj uważnie, Henryku... Powiedz mi, co tobie jest, co tobie się wydaje... Powiedz mi to wyraźnie, żebym ci mogła wytłómaczyć. Namyśl się dobrze, a zobaczysz, że ja cię bez niczego wyleczę. Czy się ty boisz jeszcze ciągle?

Chory milczał, patrzał w ziemię i wykonywał swe dziwaczne giesty.

— Czy ty się boisz jeszcze ciągle? — szeptała pani Ewa, przytulając się do niego całem ciałem. Głos jej brzmiał tak dziwnie, że gdyby była w stanie dźwięk jego świadomie posłyszeć — wcaleby go za swój nie uznała.

— Ach, ach... — szeptał Dąbrowski.

Umilkła, pochłonięta przez nadludzką pracę swej duszy. Chciała w owej chwili przelać wysiłkiem woli w chorego swe zdrowie, niewidzialnemi rękoma szukała w ciemności ran jego duszy, wdzierała się dla poznania wszystkich jego cierpień po jakichś szczeblach niepojętych...

— Pomyśl sobie teraz,—mówiła,—pomyśl w tej chwili i zawsze później myśl to samo, ile razy do ciebie bojaźń przystąpi...

— Ona jest za wszystkiemi rzeczami, za wszystkiemi rzeczami...

— Nie bój się! Powiedz mnie tylko, twojej Ewuni. Ja ci to wszystko zaraz wytłómaczę!

Podniósł głowę i spojrzał na nią dawnym, ukochanym wzrokiem. Na twarzy jego malowała się niewysłowiona boleść. Przytulił się do żony i mówił jej tajemniczo do ucha:

— Wezmą mię...

— Ja ci zaraz wytłómaczę! Trzymaj mię za rękę, o tu, trzymaj mię mocno! Czyż cię nie kocham?...

— Znowu mię wezmą... — jął mówić, patrząc na nią szeroko rozwartemi oczami. Nagle zerwał się i zaczął chodzić po izbie, potrząsać głową i wykrzykiwać swoje:

— Wojciech Jastrzębowski napisał agronomię...

Ręce, w których pani Ewa trzymała przez chwilę głowę męża, bezsilnie, jak martwe, opadły. Zaczęła płakać. Niewyczerpane łzy płynęły po jej twarzy, łzy, które nie zabierają z serca boleści, lecz wynoszą zeń życie, łzy, co uchodzą z człowieka, jak uchodzi krew z żył poprzecinanych... Obnażyły one jakąś ranę, odsłaniając jakąś mieliznę w duszy, ukazując samo dno cierpienia...

Nie przemogła złego. Nic nie nada miłość, góry jakoby z miejsca na miejsce nosząca, nie poradzi wola, nad wszelkie trudy mocniejsza, i wytrwałe męstwo i ślepa wiara w odsiecz sprawiedliwości. Patrzała w ziemię i nie podnosiła głowy. Chory znowu siadł obok niej i rozprawiał. Przez łzy widziała jego dzikie oczy, trzęsącą się głowę, ruchy niespokojnych rąk, czaszkę, w której już nic nie było, bezużyteczny kadłub zwierzęcy...

— Gdzież jest twoja nieśmiertelna dusza? — myślała w uściskach strasznego żalu. Tę myśl, jak szpadę, wbijała w swe serce i zadawała mu cios po ciosie — aż do dzikiego okrucieństwa.

Nagle chory trącił ją w ramię. Spojrzała na niego i śmiertelnie zbladła. Miał na twarzy wyraz wstrętnej lubieżności, uśmiechał się i wykonywał ohydny giest błagalny. Porwała się z miejsca i jednym skokiem rzuciła ku drzwiom. Obłąkany chwycił ją wpół drogi. Wtedy drzwi szybko się otworzyły i lekarz odsunął waryata w kąt izby, ująwszy go potężną ręką za klapy surduta. Pani Ewa wybiegła na korytarz, trafiła do wyjścia i znalazła się na brukowanem podwórzu. Idąc po kamieniach, w pewnych odstępach czasu głęboko i głośno, pra-

wie z krzykiem, łkała, nie roniąc łzy ani jednej. Była niemal pewną, że trzewiki jej, uderzając o te kamienie, depcą, krzywdzą i nękają jakieś istoty nieszczęśliwe. Bez pojęcia dokąd idzie, znalazła się w bramie, prowadzącej na dróżkę uboczną. Ten szlak błotnisty, niedawno w bezużytecznym gruncie wyżłobiony, doprowadził ją na gościniec. Szła tamtędy, nie podnosząc głowy, nie będąc w możności oderwania oczu od ziemi i ani powstrzymania, ani zwolnienia kroku. Ruch machinalny i bezwładny, ruch rzeczy popchniętej wstrzymał ją od głośnego krzyku. Na drodze bitej stały tu i owdzie płytkie kałuże szarej wody. Gdzieniegdzie widniał na błocie ślad bosej nogi. Przed idącą — od jednej kałuży do drugiej — przelatywała mała pliszka. Ptak ten sfruwał z miejsca, gdy pani Ewa zbliżała się zanadto, mknął po linii falistej do następnego błota, tam wstępował w wodę, maszerował po niej w rozmaitych kierunkach, przekrzywiał główkę i za pomocą badawczych spojrzeń sporządzał jakieś ekonomiczne obserwacye. Kiedyniekiedy pliszka z cicha pogwizdywała, jakby z gniewem... Oczy pani Ewy, które od chwili wyjścia ze szpitala widziały tylko jakby zwłoki przedmiotów, poczęły teraz trzymać się małej ptaszyny, niby trwałego i żywego punktu.

— Jakaś ty szczęśliwa, jakaś ty szczęśliwa!... — szeptały do pliszki jej drżące usta.

Zwolna wzrok nieszczęśliwej przeniósł się na murawę przydrożną. Niezliczone mnóstwo połyskujących źdźbeł usiłowało wtargnąć na szosę, wedrzeć się na warstwę ubitego gruzu. Pani Ewa myślała przez chwilę, krótką jak mgnienie oka,

o miękich korzeniach tych roślinek, które tam, w głębi gruntu, macają pracowicie ostre brzegi potłuczonych kamieni, wtłoczonych w glebę, niestrudzenie roją się pod stopami idących w poszukiwaniu dróg swych i soku. Za rowem były mokre łąki. Deszcze wiosenne zostawiły na nich płytkie jeziorka granatowej wody, rozlane tu i owdzie. W tych smugach kąpały się długie, płomiennożółte zagony jaskrów; na miejscach suchych, pod cieniem leszczyn, widniały bladoniebieskie przylaszczki. Naokoło lśniły się w słońcu młode, hajdamackie trawy. Zbolałe oczy pani Ewy, błąkając się bezwładnie po miękich kępach ziół najbliższych, — zbierały z nich i wnosiły do duszy jakiś kordyał przedziwnie uzdrawiający.

— Jakżeście wy szczęśliwe, jakżeście wy szczęśliwe!... — mówiła cicho.

Jasna zieloność i niezmierna rozmaitość kształtów, wgłębienia szerokich, soczystych liści i rytmiczne pochylanie się od wiatru wysokich słupków— działały tak na duszę pani Ewy, jak niektóre soki traw, niweczące działanie zabójczych trucizn. Przedewszystkiem litował się nad nią ciepły i pachnący wietrzyk polny. Ulegała złudzeniu, że ten chyży wędrowiec opuszcza dla niej wysmukłe trawy, że sfruwa z kwiatów pachnących najbardziej, ażeby ją owiewać i pieścić, ażeby wysysać pot z jej czoła, wchodzić do płuc, dotykać nerwów i w głębiach duszy, nad rozszalałymi nurtami rozpaczy wołać swym słodkim głosem: — rozkazuję ci, ucisz się burzo!..

Po prawej ręce od gościńca szła w poprzek

łąki wązka dróżka. Wyżłobione jej koleiny ledwo było widać pod krótką, kędzierzawą trawą. W tamtę stronę właśnie pofrunęła pliszka. I pani Ewa udała się za nią, niby przez sen wiedząc, że nie idzie ku stacyi kolejowej. Jak długo szła, — nie umiałaby również powiedzieć. Wstrzymała się wówczas dopiero, gdy jej drogę zastąpił staw dosyć szeroko rozpostarty. Weszła na groblę, obrosłą wysokiemi trawami, przy której drugim końcu widać było szeroki, czarny dach młyna, schowanego za groblą i kępami gęstych zarośli. Tuż obok stały istne gaje trzcin zeszłorocznych, martwożółtych i wydających jakiś żałosny szelest za najlżejszym wiatru powiewem. W blizkości tych badylów, które panią Ewę raziły, jak wspomnienie cmentarza, wystrzelały z wody pierwsze pędy tataraków. Przy nich na płytkiej wodzie tarły się w słońcu ryby—i co chwila zarówno kiście zeschłych trzcin, jak młode sitowia wstrząsały się i drżały, jakby od miłosnego dreszczu. Daleko w trzcinach słychać było słodkie okrzyki małych ptaszyn, które sfruwały ze swych miejsc, wzbijały się w górę i spadały między krzewy. Po wierzchu wody biegały między drobnemi falami blaski słoneczne. Można było sądzić, że i one drżą z jakiegoś powszechnego wzruszenia. Pani Ewa usiadła na ziemi i wkrótce poczuła tak wielkie znużenie, jakby bez przerwy szła dziesiątki mil. Po ciele jej przebiegało jeszcze od czasu do czasu wstrząsające westchnienie, ale myśli i uczucia daleko od istotnego nieszczęścia odleciały. Widziała dokoła siebie ustronny kąt, zarośla i wodę, ale dalej, niejako za temi wszystkiemi zjawiskami, spostrzegała dokładnie

innę, dziwną jawę. Wyobrażała sobie, że wie doskonale, dlaczego to wszystko tak się odbywa, a nie inaczej, że przenika każdą rzecz i obejmuje drzemiącem spojrzeniem wszystko, aż do ostatecznych granic.

— Jakie to wszystko bezlitosne, jakie to zimne, jakie to nieubłagane... — szepnęła, patrząc w przestrzeń, zasłaną krzewami, które wydawały się podobnemi z oddali do chmurek mgły zielonawej. Gdybym tu umarła w tej chwili, gdybym się zsunęła w wodę i utopiła, pożarłyby mię raki i robactwo, a ta woda igrałaby nade mną tak samo cudownie, te ryby tak samoby się pluskały i ta rozkosz, co idzie z rozkwitłej ziemi, szłaby tak samo dla innych...

— Po chwili, wzdychając gorzko, znowu mówiła do siebie:

— Kto upada, ten ginąć musi. Śmierć przychodzi do nas nie z pompatycznym mieczem, nie ze zdradzieckim sztyletem, ale z brutalnem żegadłem rzeźnika. Z uśmiechem zabija według praw swoich, według swego obrachunku... Niemasz litości w tem wszystkiem... Och, a czemuż my ją czujemy, po co i na co?..

Po chwili, głucho płacząc, osunęła się twarzą na ziemię. Bardzo długo leżała tak rozbita w sobie i jakby unicestwiona. Dopiero świst jakiegoś pociągu, zdaleka przebiegającego równinę, obudził ją i przywołał do rzeczywistości. Wstała z pośpiechem, oczyściła suknię i coprędzej udała się w stronę dworca, którego czerwona dachówka jaskrawo widniała na horyzoncie. Gdy, zdyszana od prędkiego

chodu, przebiegła dworzec i znalazła się na peronie w celu zasięgnięcia wiadomości, kiedy najbliższy pociąg odchodzi do miasta, zobaczyła „tego pana". Stał oparty o żółte sztachety, miał jak zwykle oczy spuszczone, a jednak widzące każdy szczegół, i uśmiechał się po swojemu. Gdy weszła na peron, raz tylko podniósł na nią oczy, ale ona zrozumiała natychmiast ich wyraz, mówiły do niej jaśniej, niż słowa: — jeżeli chcesz, ażebym się oddalił, zniknę niezwłocznie...

„Ten pan" był rysownikiem w pewnem biurze technicznem. Pani Ewa już dawno, jeszcze przed chorobą męża, spotykała go na swej drodze, ale nie był jej osobiście znany. Wychodząc z fabryki wieczorem dostrzegała go już to ukrytego na ustronnej ławce, między krzewami skweru, już przesuwającego się obok muru sąsiedniej ulicy. Wiedziała od pewnej przyjaciółki, że jest to bardzo porządny, „społeczny" facet, wiedziała również — już nie od przyjaciółki, ale z własnego instynktu, — że on zna całe jej życie, czytała nieraz w przelotnych błyskach jego spojrzeń, jak się czule nad nią lituje, czy może — jak bardzo ją kocha. Ceniła to w nim, że nie szukał znajomości, ażeby jej nie podawać na ludzką obmowę, że poprzestawał na krótkich widzeniach jej osoby zdaleka, raz na dobę, czasami raz na dwa i trzy dni...

Wszystko to zresztą poszło w absolutne zapomnienie od czasu okropnej niedoli, odkąd Henryk Dąbrowski dostał pomieszania zmysłów. Żyła wówczas w tak wielkim upadku ducha, że każda myśl weselsza napawała ją zabobonną trwogą i była

powodem bolesnych wyrzutów sumienia. Zdarzało się jej spotykać nieznajomego, ale nie umiałaby rzetelnie odpowiedzieć, czy to było we śnie, czy na jawie. Wiedziała tylko, że był jej miły, jako wspomnienie najlepszych dni życia, kiedy jeszcze i nad nią słońce świeciło.

Spostrzegłszy go na dworcu, cofnęła się zaraz do poczekalni stacyjnej, kupiła bilet i usiadła na drewnianej ławce. Przez okno widziała młodego człowieka. Stał, jak przedtem, trzymając w ręce duży bukiet bladoniebieskich przylaszczek i spoglądał na te kwiaty. Później odszedł stamtąd i spacerował wzdłuż peronu. Wpatrywała się mimowoli w jego mięki kapelusz, oblany światłem słonecznem i doskonale harmonizujący z jasnemi włosami, obserwowała szykowne palto letnie, bukiet kwiatów, powolne, zgrabne ruchy i prowadziła oczyma każdy krok „pana". Wybuchy cierpienia spaliły całą głębinę jej duszy, napełniając ją zarazem niby gruzami i popiołem; dym jakiś owionął mózg, a serce nic literalnie czuć nie było w stanie.

Nadbiegł pociąg. Pani Ewa szybko wsiadła do wagonu i znalazła się w małym i pustym przedziale. O minutę później wszedł tam jej wielbiciel. Usiadł w kącie i, jak przedtem, przypatrywał się swoim kwiatom. Pociąg ruszył natychmiast. Pani Dąbrowska, nie odwracając oczu od krajobrazu, przesuwającego się za szybą, trwała w swej nieczułości. Szybki bieg pociągu zdawał się ją unosić, unosić... Nierychło poczuła na sobie wzrok towarzysza drogi. Wiedziała, jak on w tej chwili patrzy, czuła, z jak rozszalałą niecierpliwością wyczekuje na je-

dno jej spojrzenie, doskonale pojmowała jego tęsknotę za takiem spotkaniem od miesięcy, może od lat...

I nagle serce w niej drgnęło. Zapragnęła namiętnie spojrzeć na człowieka, zobaczyć jego twarz, uśmiech i oczy, oczy.

— Po co mam cierpieć, com winna? — spytała się buntowniczo.

Uczuła w sobie niechęć do wszelkich cierpień tak wielką, że gdyby tylko wstał, wziął ją w ramiona, oparłaby głowę na jego piersiach, wypłakała całe swoje nieszczęście i poszła z nim, dokądby zechciał. Aby tylko wyrwać z serca skira boleści, który je toczy... Wszystek ziemski egoizm w niej się obudził: po cóż cierpieć, po co walczyć z koniecznością, której nic na ziemi nie przemoże?

Głowa jej, wsparta o drewnianą deskę nad ławą, chwiała się bezwładnie do taktu z biegiem wagonu, na twarz wypełzał rumieniec, palący jak ogień...

Ażeby go ukryć, podniosła się z miejsca i stanęła w oknie. Zielone pola i łąki uciekały w dal niezmierną. Na horyzoncie widać już było tylko wysoki, czerwony komin szpitala obłąkanych. Z tego komina wydzielał się raz za razem bury kłębek dymu. Pani Ewa patrzała na ten dym uważnie i w łoskocie kół, uderzających o szyny, usłyszała znowu przeklęte słowa:

— „I być strażnikiem grobów, które proszą o łzy i miłość i być tylko cieniem...“

Rozeznawała treść tych słów ścierpłem sercem i słyszała nawet dźwięk ich bolesny. Nie był to

jednak głos jej męża. Był to głos jakiś, niczyj. Usiadła na swem miejscu blada, z zaciśniętemi wargami. Opierając lewą rękę na ławce, dotknęła bukietu przylaszczek. „Ten pan“ położył je obok miejsca, które zajmowała przed chwilą. Pani Ewa wzięła w ręce ten bukiet, trzymała go na kolanach i, nic nie widząc prócz barwy niebieskiej nadobnych kwiatków, szeptała w myśli do siebie: — zapóźno, zapóźno... Długo tak siedziała, przytłoczona myślami. Gdy wreszcie podniosła oczy — były bardzo smutne. Zwolna rozwiązała bukiet z uśmiechem, co jak błysk światła jej twarz rozjaśnił, upuszczała te kwiaty na podłogę małemi wiązkami, aż do ostatniej. Wówczas spojrzała na swego towarzysza i rzekła cicho, jakby usprawiedliwiając się i prosząc o przebaczenie:

— Mój mąż jest chory, bardzo chory...

Młody człowiek siedział bez ruchu aż do najbliższej towarowej stacyi pod samem miastem. Gdy pociąg się zatrzymał, spiesznie wyszedł z przedziału, zstąpił na rampę i ruszył prędko w stronę miasta. Pani Ewa długo jeszcze widziała jego jasne włosy i słyszała odgłos jego kroków głuchy, głuchy...

CIENIE

Przytłumiony dźwięk fortepianu zabrzmiał raz jeszcze, niby westchnienie zleciał między drzewa i utonął w szumie liści. Nastała cisza. W jednem oknie pałacu ktoś spuścił ciemną firankę, w pokoju z balkonem dał się słyszeć krótki, wesoły śmiech, i znowu cisza zupełna. Wielki obłok dziwnej formy, złotawo biały, jakby utkany z płomienia, przecudnej bladości, wydzielił się z głębi chmur spiętrzonych nad widnokręgiem i szedł w górę sam jeden. Ukryte słońce schylało się już ku ziemi, obleczonej w dojrzałe pszenice i żyta.

Daleko, daleko, za niwami żółtemi, jak stare, przyćmione złoto, za czarną smugą blizkiego gaju, widać było jeszcze siny las, niby marzenie pełne słodyczy.

W głąb parku chyłkiem wstępowały pierwsze wątłe, śniade cienie. Między świerkami sadowiły się już wnętrza bez kształtu, gdzie oko wyróżniało jakieś smugi długie i szare. Topole, wiązy, lipy i gęste krzewy bzu chłonęły w siebie zmierzch niewidzialny i jedna tylko sosna odtrącała go z wysoka zieloną barwą przepysznych czubów. O tej dobie rozległa sień pałacu zabrzmiała echem szyb-

kiego stąpania. Narzeczeni ukazali się we drzwiach, minęli granitowe schody i weszli w aleję.

Marek Józef Katerwa wrócił był dopiero przed kilkoma dniami z długoletniej wędrówki do Niemiec, Włoch i Francyi, gdzie, poniekąd dla mody, a bardziej z własnego zamiłowania, studyował filozofię i sztukę. Szedł obok Lili, narzeczonej swojej, wolno i nieśmiało. Był to blondyn wysoki, z twarzą ściągłą, prawie chudą, z dużym nosem i pięknemi oczami. Ubrany był w długi surdut ciemnobronzowy, w jasne obcisłe spodnie i wysoki kapelusz. Korpus jego ciała chylił się nieco naprzód, ale szlachetna, uduchowiona, interesująca głowa wznosiła się dumnie i młodzieńczo. Tego dnia zjawił się w domu kuzyna, którego córka była mu od kolebki prawie przez obadwa rody za żonę wyznaczona. Pierwszy to raz w istocie rzeczy poznawał tę swoję „żonę". W dzieciństwie i latach młodocianych widok czarnej, chudej dziewczynki budził w nim niesłychaną panikę, wstręt i skłonność do ucieczki, gdzie pieprz rośnie. Później tak się czegoś wstydził w obecności *mademoiselle Lili*, że pewno ani jednego słowa z nią nie zamienił, a gdy wreszcie sześć lat w cudzych krajach przebył, samo istnienie siedemnastoletniej Penelopy, wśród męskich uciech i umysłowych dociekań, wyszło mu z pamięci. Teraz, wróciwszy z obczyzny, znalazł ją w kwiecie lat i urody. Miała włosy czarne, jak skrzydła kruka, oczy błękitne, brwi proste, długie i wielkie rzęsy. Tylko dolna warga wysuwała się nieco. Było to znamię rodowe, a w twarzy Lili stanowiło prędzej pewien wdzięk charakterystyczny,

niż dysonans. Biała jej cera okryta była ledwo widzialnym, nikłym, pisklęcym puchem, włosy posiadały własność szczególnego lśnienia, jak gdyby swój blask odrębny. Dłonie z pięknymi palcami były miękie, jak jedwab, obejmujący ciało. Kształtna szyja i powabne, wązkie ramiona bieliły się w wyciętej sukni, przepasanej różową wstążką tuż pod piersiami. Suknia ta wolno, niby toga, spadała do kostek. Nogi, obute w ciżmy ukrajane z przodu i tak płytkie, że zleciałyby ze stopy, gdyby ich nie więził cienki rzemyk skórzany, cicho szły po żółtym piasku. Lili miała oczy spuszczone. Sunęła uroczyście, prawie z nabożeństwem, jakby do ślubu. Sny jej dziewicze, marzenia rozkoszne, wesołość i śmiech, wszystko gdzieś znikło, gdy sam na sam z Markiem została.

Jedna tylko myśl wypełniła jej głowę: oto mąż...

I „mąż“ nie był panem swych kroków i uczuć. Ile razy zwrócił spojrzenie na postać obok idącą, gubił wątek dyalogu i wygłaszał zdania zadziwiająco niezgodne z treścią własnych myśli. Lśniące loki, długiemi, suchemi nićmi wijące się koło uszu, pukiel, skręcony w tyle głowy, złotawy mech na oświetlonym policzku, ciemna smużka, idąca wzdłuż górnej wargi, ruchy, pełne wrodzonego czaru i wytworności, sprawiały, że Marek nie mógł opanować swych uczuć. W sobie niósł szczególną trwogę, niby zburzenie dróg, zerwanie mostów, jakąś powszechną ruinę. Czasami ten niepokój stawał się tak miły, że tego słowo nie wyrazi, kiedyindziej był tylko starodawną chęcią ucieczki. Pragnąc skupić i jakby

przycisnąć czemś ciężkiem rozproszone uczucia, młody człowiek mówił, ciągle mówił. Tematy nasuwały mu się z jakąś okropną trudnością, więc chwytał każdy i ubierał w zdania długie i niełatwe do pojęcia. Neapol, Rzym, Paryż, Monachium, Würtzburg, i znowu: Würtzburg, Rzym, Paryż...

Lili słuchała, kiedyniekiedy tylko wznosząc oczy swoje na mówcę i przypatrując mu się przez krótkie chwile z głębokiem uszanowaniem. W pewnych minutach i na jej obliczu malowało się pomięszanie, ale prędko ustępowało miejsca wyrazowi szczerej uwagi, ciekawości. Ta ostatnia ciągnęła jej źrenice ku twarzy Marka, jakby ku jakiemuś dziwnemu widokowi, ku jakiejś nadzwyczajnej osobliwości. Aleja drzew prastarych i niezmiernie wielkich biegła ku wodzie. Narzeczeni rozmawiali o wypadkach potocznych, o znajomych, krewnych, stosunkach i życiu głębokiej prowincyi. Lili przytaczała szczegóły tego życia, ale z jej słów nie wypływał obraz, ani opis.

Cytowała rozmaite drobne i ważne zdarzenia, mówiła o ludziach Markowi nieznanych. Szli nad brzegiem stawu o wodzie świetlistej, lśniącej i jakby stężałej. Postacie ich malowały się tam, jak w doskonałem lustrze, a ten wizerunek przyciągnął ich oczy i pchnął myśli w zaczarowany kraj rozkoszy, pełen blasku i woni. Wówczas śliczny obłok stał już u zenitu niebios i odbijał się w nurcie srebrno-lazurowym. Kształtem swym przypominał klęczącą kobietę, której włosy złotawe zakryły twarz i spadały aż na kolana. Odbicie tej ułudy nie miało cieniów ani przed sobą, ani obok siebie i sunęło się

w jasnej powierzchni, budząc w patrzących reminiscencyę osoby już raz widzianej, ale pewno we snach, czy w marzeniach nieujętych.

— Jak cicho płynie obłok... — szepnęła Lili w zamyśleniu.

Marek wskazał ręką na wodę, spojrzał w oczy swej towarzyszki i uśmiech wypłynął na jego wargi, uśmiech nieoczekiwany, nie wiedzieć skąd i jakiem prawem przybywający, zrodzony, jak ów obłok i jak on prześliczny. Taki sam prawie zakwitł na ustach Lili. Źrenice jej rozświecił blask cudowny, jak gdyby widziadło niebieskie i w nich się przeglądało. Pod długiemi rzęsami wynikły na czystych białych powiekach modre cienie, które ginęły, gdy oczy wznosiła, lica się zapłoniły bladym rumieńcem, niby pierwszą barwą zorzy wieczornej.

— Prawda, że podobny do klęczącej kobiety? — rzekł Marek, wskazując ręką złociste zjawienie.

— Ma przecudne, długie włosy.

— Nie takie, jak twoje... złote, nie takie, jak twoje...

Lili uniosła rzęs, za któremi uganiały się jakby skrzydła cieniów i z trwożnym wstydem w sercu na coś czekała.

— Ta chmurka — mówił młodzieniec, — to jak gdyby jedno z fantastycznych marzeń ziemi. Czy nie uważałaś, że obłoki zawsze przypominają nam coś z tworów natury, z dzieł uczynionych rękoma człowieka, lub z jego myśli?

— Tak... — rzekła niepewnym głosem.

— Wogóle natura zawsze i wszędzie powtarza obrazy gdzieindziej tkwiących kształtów swoich.

Ta śliczna bryła pary, która bierze na się postać ziemską, mylącą wyobraźnię, ukazuje się w wodzie, w twoich oczach i myślach...

— W moich oczach?

— Tak, w twoich oczach. Wielkie skały i dalekie przestwory odbijają się nie tylko na płaszczyznach poziomo i prostopadle ulokowanych, ale i w kropli wody. I nie dość na tem, — ciągnął z żywością. Częstokroć na powierzchni, otwierającej się w miejscu złamania pewnych minerałów, dają się widzieć blaszki złączone ze sobą, niby listki korony kwiatu. Cóż to nam mówi?

— Czy ja wiem... — rzekła Lili głęboko zawstydzona.

— To mówi, że i tam w kraju kamiennym natura powtarza raz jeszcze miękie i ruchliwe kształty kwiatów i roślin.

— Ach, tak!

— Z jednej krainy tworów swoich idzie z odbiciem tychsamych kształtów do drugiej, dążąc nieustannie ku temu, ażeby nareszcie w umyśle człowieka, w jednej ze składowych części swego ogromu, powtórzyć się raz ostatni i uczynić przedmiotem dla samej siebie. Teraz widzisz, Lili, że gdy w człowieku to niezmierne państwo stworzenia znajduje ostateczne rozumienie samego siebie, i gdy myśl nasza jest częścią samej natury, tedy i natura tę naszą myśl posiadać musi i samą siebie naszemi myślami rozumieć.

Gdy to mówił, Lili nie spuszczała oka z jego twarzy. Powieki jej były nieco przymknięte, a śliczne nozdrza zlekka rozszerzone. Na czole białem,

jak obłok w dzień słoneczny, rysowała się między brwiami cienka linia. W całym wyrazie oblicza malowało się usiłowanie pojęcia wszystkiego, co mówił narzeczony. Ta uwaga, te wysiłki sprawiły Markowi rzeczywistą satysfakcyę. Gdy, idąc dalej, utopił spojrzenie w źrenicach dziewczęcia i dostrzegł w nich prawie ekstazę, czuł tak dziwną rozkosz, jakgdyby zmysłami dotykał nieznanego bytu, czegoś obcego i pełnego tajemnicy, co jest rozbudzoną duszą. Szli po równej ścieżce nad brzegiem stawu w niepamięci o tem, gdzie są i co czynią.

Młody filozof rozwijał swój wywód o matematycznej prawidłowości, która przenika dzieła stworzone, o tem, że gdyby jej, tej „duszy świata“ nie było w istocie, to człowiek obdarzony mądrością byłby zmuszony do znalezienia jej w tym celu, ażeby wszystkie zjawiska przyrody ustawić w formie dla uzewnętrznienia praw kierujących i związku ich między sobą. Kombinacye, które, jak się to zdarzyło, jeden słyszał z katedry, o których, właściwie mówiąc, wśród codziennego trybu życia nie pamiętałby wcale, a zarazem całkowity systemat mistrza z Jeny, tkwiły wówczas w jego umyśle z wyrazistością ciała niebieskiego, ukrytego dla gołej źrenicy, gdy się je przez teleskop ogląda.

Za stawem główny szpaler wznosił się do góry. W miarę oddalenia od pałacu droga coraz bardziej była porośnięta trawą. Z jednej i drugiej strony ciągnęły się dzikie gąszcze aż do zmurszałego i okrytego pleśnią parkanu. Jeszcze wyżej dźwigał się obszar leśny pokrywający całą górę, na

której szczycie sterczała ruina jakoby aryańskiego kościoła. Od ślepej ulicy biegła nabok drożyna w głębi wąwozu, prowadząca w pole. Zwieszały tam swe konary i liście wielkie dęby, graby i klony, a za nimi snuły się już cienie, które zdawały się szukać dróg dogodnych dla nocy ciągnącej.

Narzeczeni minęli to miejsce, a wciąż idąc pod górę, zobaczyli wreszcie skraj dąbrowy.

Po lewej ręce od ścieżki żyto już było zżęte i ściernisko świeciło się w ostatnich blaskach zachodu. Z pod uciętych, żółtych źdźbeł przebijały się piórka zielonej trawy i listki koniczyny. U kresu płaskich gruntów nudziły się na miedzach stare osty i rzucały cień samotne grusze. Z prawej strony ciągnął się wszerz dużego łanu owies żółknący, ale jeszcze nasiąknięty zielenią. Suchy, miły żar tchnął na twarze idących z wilgotnego parowu. Zgraja koników polnych cięła od ucha, jak jeden, skoczną melodyę dożynkową, w której niema ani jednego tonu smutnego, a w której wszystko jest weselem i upojeniem. Nad płaskowzgórzem ściernisk mienił się w słońcu na łokieć wysoko od ziemi rumiany pyłek, niby dech gorący dojrzałego zboża.

Lili przywitała miły widok radosnym uśmiechem. Twarz jej płonęła purpurą, usta były karminowe, oczy nabrały zachwycającej ciemności. I filozof stracił wątek szellingowskich myśli, a natomiast uczuł w sobie szczególną, gminną uciechę, która zmysły jego pchnęła jakby w wir słodkiego tańca. Rzucił okiem na Lili i zapomniał o całym świecie. Jej szyja i ramiona bieliły się, jak śnieg, w sąsiedztwie przepysznych włosów, które oble-

wało krwawe słońce. Sam nie wiedząc dla czego, cofnął się do wąwozu, jakby się wstydził światła i szerokiego pola. Brzeg parowu, zwrócony ku zachodowi, ciskał na drogę jednolity mur ciemności. Panienka bezwiednie wstępowała w ślady narzeczonego. Zaledwie uszli kilkadziesiąt kroków, trafił się duży, omszały kamień, leżący między pniami dwu topól, które rozlewały naokół ostry, a miły zapach. Marek usiadł pierwszy i w milczeniu spojrzał na Lili.

Ta nie wiedziała, co czynić.

Stała przez chwilę, wahając się... Wtedy Marek ujął jej rękę i przycisnął do ust, później zbliżył się i zajrzał w oczy... Nie była w stanie patrzeć na ziemię, ani gdzieindziej. Oczy jej zetknęły się, złączyły, pojęły z oczyma narzeczonego. Usta obojga, szepcąc jakieś sylaby, jakieś urywki myśli, tonące w głębokiej fali uniesienia, zeszły się i przywarły do siebie. Twarze ich zbielałe, powieki zamknięte, serca tłukły się o klatki piersiowe. Nie wiedzieli, że czas upływa, że prędko noc rozkłada na wąwozy, doliny i zboża pagórków swe czarne sukno. Marek widział przez rzęsy tylko białość ramion Lili, to też usta swoje od jej ust oderwał, schylił głowę i rozżarzone wargi przycisnął do dziewczęcych piersi. Nie broniła mu tego pocałunku, nie broniła i wówczas, gdy drżącemi rękoma odchylił brzeg sukni i usiłował go z ramion zedrzeć.

Obezwładniło ją zimne zdrętwienie. W sercu ściśniętem czuła to jedno, że cokolwiekby zechciał uczynić ten, którego głowa spoczywała na jej łonie, zgodziłaby się dla tego, że on jest sprawcą.

Nie czerpała żadnej rozkoszy z pieszczot, tylko szał takiego uwielbienia dla Marka, że wydzierało prawie resztkę tchu z jej piersi. Trwożliwemi ustami dotknęła jego włosów i, tracąc wiadomość o tem, co się z nią dzieje, pogrążyła się wszystka w ciche zaśnienie, w błogosławioną topiel szczęścia. Raptem szorstki łoskot zbudził ich oboje. Podnieśli marzące głowy i o kilkanaście kroków od siebie dojrzeli wieśniaka, idącego drogą.

Wracał wąwozem po ukończeniu pańszczyzny. Słomiany jego kapelusz bielił się na tle drzew, gdy zczerniała od potu i pyłu koszula prawie już w zmierzchu ginęła. Wlókł się, mocno stąpając drewnianymi chodakami po twardej ścieżynie. Gdy ujrzał parę, siedzącą na głazie w cieniu topól, duchem zdjął kapelusz, zgarbił się jeszcze bardziej, widać dla wyrażenia szacunku, i, patrząc wprost przed siebie, wielkimi krokami ich minął. Marek nie wejrzał na robotnika. Oczy jego były pochłonięte przez kilka szczegółów, malujących uczucia Lili. Białka jej oczu, w które spływał jakby odblask, jakby nikła, błękitnawa zorza lazurowych źrenic, teraz przecięte były mnóstwem żyłek czerwonych. Wargi były uchylone i niby od krwi nabiegłej rozdęte.

Wtedy w jego usposobieniu zaszło oryginalne przeobrażenie: był pewny Lili, czuł siłę samolubnego władania jej osobą i mimo woli, bez chęci ani zamiaru, owszem z głęboko skrytym wyrzutem, cenił ją, jak osiągniętą zdobycz. Lękliwa sympatya, tęskna pokora i słodka, na pół bolesna rzewność znikły z jego serca, jak krople wody, wpuszczone w wydmę suchego piasku.

Wstali prędko i odeszli stamtąd. Gdy minęli wrota parku i kroczyli szeroką drogą ku pałacowi, słońce zachodziło. Tylko zorza oświetlała ich twarze. Nad stawem, gdzie czarne drzewa zdawały się tkwić wierzchołkami na dół w ciemnej już, cichej i ponurej wodzie, Lili zwróciła oczy, szukając wizerunku złotej chmury. Obraz martwej i zimnej głębi ścisnął jej serce. Jasny obłok już zginął... Gdzieś wysoko, między drzewami, szczebiotał jeszcze ptaszek maleńki, ale tak cicho i sennie, jakby pisklętom swoim na dobranoc opowiadał bajkę o strasznej babie jędzy z pazurami i wielkim nosem. Wróciwszy do pałacu, Lili znikła, pozostawiając narzeczonego w dużej sali, słabo woskowemi świecami rozwidnionej, w towarzystwie dwu odwiecznych rezydentów.

Jeden z nich trawił czas w Paryżu, kiedy prowadzono na gilotynę „obywatela Kapeta“ — i regularnie drażnił tem nazwiskiem kolegę po pieczeni, zaciekłego rojalistę. Na szczęście obadwaj dużo mówili, wskutek czego Marek spędził wieczór prawie w milczeniu.

Podczas wieczerzy dwie zgrzybiałe nauczycielki Lili, miss Flick i *mamzel* Listowicz, trzymały wychowankę między swemi szkieletami i śledziły każde spojrzenie filozofa takim wzrokiem, jak dwa straszne karły, pilnujące wśród seraju, kiedy tam Don Juan ubrany za huryskę wstępował pod przewodnictwem czarnego „Baby“. Mimo tego dozoru Lili rozmawiała z kochankiem oczyma i darzyła go uśmiechem, który nawet przez cenzurę w sztuce mniej

biegłą mógł być traktowany, jako niewątpliwy pocałunek.

Znalazłszy się w izbie gościnnej, Marek nie zdjął ubrania. Rzucił się na sofę i pozwolił wejść do siebie nieskończonym orszakom zadumy. Stancya jego zajmowała róg parteru w murowanej oficynie. Małe okno wychodziło na werandę, wiszącą nad pustym gazonem, który leżał między pałacem a oficyną. Gazon wykrojony był w elipsę z głuchej prawie, leśnej polanki. Dokoła stały wielkie drzewa, przedwieczne, zdawało się, jak to miejsce. Skupiły się tam graby, dęby, lipy, kasztany i strzeliste świerki, w nocy podobne do wież gotyckich. Było coś niewymownie pięknego w tem wstrzymaniu się puszczy parkowej od wkroczenia na czysty placyk, gdzie rosła tylko nizka trawa. Marek od dzieciństwa lubił to miejsce. Jako nieudolny poeta siedemnastoletni chodził tu składać rymy i dumać. Zdawało mu się wtedy, że stare drzewa myślą nad tajemnicami życia i śmierci, patrząc przez długi szereg lat w grunt obnażony, gdzie tkwią ich korzenie, w grunt, który osłania się milczeniem wiekuistem, który, jak sknera, wszystko ziemskie pochłania i gnoi w tym jednym celu, ażeby wykarmić tylko dzikie fantazye swoje, — drzewa. Widziało mu się wówczas, że lipy i buki mają swe własne twarze, usta i oczy, patrzące w niebiosa, skąd o poranku przychodzi słońce, skąd się dobywa wartki wicher, skąd ciągną chmury, wytrząsając ze siebie ożywczą wodę i skąd zlata nagły, a niespodziewany piorun, ktory w mgnieniu źrenicy uderza, przeszywa i zabija dęby stuletnie.

Po pięknym odwieczerzu noc była ciemna i bezksiężycowa. Rzadkie, szare chmury zasnuły firmament i przepuszczały słaby jedynie półbrzask gwiazd, ukrytych dla oka. Ciągły wiatr chwiał połowami okna, uwięzionemi przez druciane haczyki. W mętnym przestworze widać było szczyty i boczne gałęzie blizkiej topoli, oraz dwie wyniosłe korony pięknej jodły.

Dalej czerniała ruchoma, falista, nastrzępiona linia wierzchołków, złączonych między sobą. Całe połacie gałęzi kołysały się od wiatru, raz silnie, jakby nadciągała burza, to znowu tak cicho, że dawał się wyróżnić szept każdego drzewa z osobna. W jednym punkcie słychać było niestrudzony, cichy klekot twardych i grubych liści nadwiślańskiej topoli, gdzieindziej seplemły delikatne i czułe listki brzozy. Od zgodnego szelestu ten gwar nocny, wzmagając się, potężniał aż do głuchego szumu świerków i do stękania konarów, które zdawały się opiewać smutek i przeczucia śmierci.

Marek nie spał, ale i nie czuwał. Zmysły miał pogrążone w grze wyobraźni, tak mocnej i lotnej, że go unosiła całkowicie w dalekie strony, chociaż ani na chwilę nie stracił z oka ruchu gałęzi, przez wiatr miotanych. Widział z całą dokładnością małe miasteczko niemieckie na płaszczyźnie między wzgórzami. Miał w oczach gliniane dachy jego budynków, zczerniałe i mchem przykryte, zielone żaluzye i stare tynki, przemoczone od deszczów. Wspomnienie jednego z tych domostw w ciasnej uliczce zaciążyło na jego sercu. Blizko pół roku stołował się tam z kolegami burszami w cichej knajpie „Zur

Krone". Gospodarz, stary safanduła i bibosz, mało się troszczył o studentów i o dobroć jadła, nie wiele dbał o familię, żonę, synów i trzy córki, hoże jak trzy gazelle. Średnia, *Fräulein Sophili*, miała duże, marzące oczy i długie, długie włosy. Z całej gromady wesołych urwisów podobał jej się Marek. Może dla tego, że był nieśmiały, może dla tego, że był dla wszystkich dobry i grzeczny... Pewnego razu, gdy wchodził na drugie piętro, gdzie już zgromadziła się była hulaszcza kompania, spotkał *Sophie* samę jednę. Chwycił ją w ramiona i zaczął okrywać całusami jej piękne usta.

Odtąd codziennie powtarzało się to samo, idąc aż do kresu.

Wyjechał wkrótce i zapomniał tak zupełnie, jak człowiek dużego imienia i fortuny zapomina o tego rodzaju epizodzie młodości. Jeżeli wyobraźnia nasunęła mu kiedy osobę dziewczęcia z „Zur Krone", to chyba w pozie nagiej, rozkosznie przegiętej kochanki. Skądże teraz *Sophili* ukazała mu się, jako szczęśliwa panienka ze skromnym uśmiechem na młodych wargach, ciągnąc ku sobie nie tylko zmysły, ale i całą duszę?

Nie był to wcale wyrzut sumienia, lecz jakieś zgłębienie rzeczy, ukrytych w ciemności. Dusza pięknej dziewczyny przyszła z mroku, stanęła przed nim, jako byt plastyczny i odsłoniła wszystkę brzydotę swego nieszczęścia, całą tragedyę opuszczenia i sieroctwa tak bezgranicznego, że Marek zadrżał. Wtedy także rozległ się w jego uchu płacz zwiedzionej, płacz, którego w rzeczywistości wcale nie słyszał, gdyż wyjechał był bez pożegnania, w sekrecie. Za-

słuchany w tę dziwaczną melodyę, oglądał swój uczynek, niby widmo przedmiotu, odbite w wodzie, i przypatrywał mu się ze spokojem badacza. Był pewny, że wkrótce zniknie, ustępując miejsca czemuś innemu. Do zaobserwowania wszystkich szczegółów, wszelkich cech tego zjawiska przynaglała go pilna ciekawość, istotna żądza wiadomości złego i dobrego. I oto w rzeczy samej myśl o *Sophili* usunęła się. Zostało tylko w uchu echo niemilknącego, cichego nocnego jej płaczu.

Patrząc na konary drzew, odrysowane w mglistem powietrzu, Marek rozważał. Czuł, jak przez sen, że zupełnie podobny jest do drzewa, które nie wie, jakie miejsce, jaki obszar z prawej czy lewej strony pnia zajmą jego konary, gdzie będzie stał jego wierzchołek.

Czuł, że nie wie o sobie nic, jaka namiętność z duszy jego wystrzeli, w którą stronę się zwróci. Czy owocem jej będzie dobro, czy zło, cnota, czy niegodziwość? Czy w sercu kryją się i wyjdą zeń kiedyś sprawy cnotliwego, czy dzieła zbrodniarza? Tak myśląc, wciąż usiłował sobie przypomnieć usta Lili, jej brwi, oczy i rzęsy, jej miłosne uniesienie.

Obecność swego dla niej zachwytu wyczuwał z dokładnością, a przecie nie miał siły przywołać go z ukrycia. Gdy wytężał imaginacyę nasuwała mu się przed oczy nie Lili, lecz tamta, uwiedziona. Ten jakby kaprys i wybieg rzeczywistej miłości, ruchomość gruntu własnego jestestwa poczęły go męczyć i przejmować szczególną zgrozą. W marzenie to, niby ostrze noża, wbijała się jedna myśl, jak straszliwie niepewną, jak wątpliwą jest władza czło-

wieka nad sobą, nad instynktami duszy. W dziwnem zmaganiu się jaźni z ukutymi, a wygładzonymi od częstego życia pewnikami rozumu spędził Marek część nocy.

Wiatr się nie zmniejszał. Tylko za odległą nawałą drzew począł się nieżywy, rudy brzask, jakby światło gromniczne. To późny księżyc wschodził w mokrych oparach. Wtedy, niby rozstrzygnięcie wszystkiego, ukazała się Markowi myśl inna. Za bytności w Paryżu widział był w ogrodzie zoologicznym wielką misę kamienną pełną wody, w której leżało całe towarzystwo krokodylów. Jeden z nich, wielki, płowy zbój z pyskiem, jak grot olbrzymiej włóczni, przypatrywał się widzom, tkwiąc grzecznie, bez ruchu, w płytkiej wodzie, niby kłoda. W owej chwili stanął w pamięci Marka wyraz jego oczu, a właściwie okrutny brak jakiegokolwiek wyrazu. Były to wielkie ślepia bez połysku, dawno zgasłe, patrzące nie wiadomo jak, bo ani żarłocznie, ani ciekawie, a przecie w taki sposób, że to wejrzenie na zawsze, aż do śmierci ryło się w oku i mózgu Były to dwie gały z ołowiu, posiadające siłę widzenia, widzenia do gruntu z bezgraniczną szczegółowością, a z przeraźliwem niedbalstwem. Marek dygotał, wspominając te ślepie i w mowie ich znalazł formułę dla wzruszeń swoich.

— To są oczy powszechnej natury stworzeń, mojej i Lili... myślał z bolesnem złamaniem w sercu.

Doskonała koncepcya, z którą pragnął zaznajomić narzeczoną, leżała jak zgruchotana maszyna, którą zmiażdżyło uderzenie drąga barbarzyńcy. Zerwał się na równe nogi, stanął w oknie, wciągnął

do płuc wilgotne, ostre i zimne powietrze. Martwe cienie leżały nieruchomo u odziemków drzew, których szczyty kołysały się w żółtawem świetle zamglonego księżyca. Z gęstwiny wyciągał się i obejmował patrzącego tuman o barwie popiołu, jakby uścisk lodowaty. Marek zapragnął zobaczyć Lili, choćby okno pokoju, gdzie ona śpi, choćby mur, za którym jej serce uderza. Czuł taką trwogę, jakiej doświadczać musiała opuszczona *Sophili* na wieść o ucieczce kochanka. Wysunął się za okno, cicho zeszedł na murawę i przez środek gazonu ruszył ku pałacowi. Zbliżywszy się do niego, spostrzegł, że światło księżycowe nie błyszczy w szybach tylko jednej framugi okiennej na dole gmachu. Był pewny, że tam jest izdebka Lili. Jakoż ujrzał ją w tem oknie. Siedziała bez ruchu, z głową wspartą na rękach. Za przyjściem Marka cicho, bardzo cicho nazwała go po imieniu. Stanąwszy tuż obok, ujął jej rękę i przycisnął bezbronną do piersi.

Była tylko w bieliźnie, zawinięta w szal cienki, jak mgła.

Marek stał przez sekundę otoczony myślami i z chytrością szpiega badał swą duszę, czy jest niedostępna dla zdrady i krzywoprzysięstwa, czy godna jest i czy wytrwa w miłości, płonącej w jego piersiach dla Lili... Zniżył głowę i zimnemi ustami dotknął czarujących, wpatrzonych weń oczu. Wtedy właśnie gorzka łza spadła z jego rzęs na twarz dziewczyny. Lili gwałtownym ruchem dźwignęła głowę, wytężyła wzrok, wytężyła umysł swój, serce i całego ducha, żeby pojąć, czemu płakał jej narzeczony...

KARA

Do rozpoczęcia starań o nowy lokal zawsze inicyatywę dawał Dzierzyniecki. Nie było wypadku, żeby w jakimkolwiek apartamencie siedział pół roku. Już po upływie miesiąca od chwili wprowadzenia się do jakiegoś „kawalerskiego mieszkania ze wspólnym korytarzem, samowarem i usługą“ dostrzegał pierwszą wadę kardynalną, wkrótce potem rzucała mu się w oczy druga, trzecia, — zaczynał systematycznie roztrząsać i przekładać je Łaskawiczowi, trapić go tak umiejętnie i dopóty, aż ten stawiał odrazu kwestyę „kantem“ i wlókł się dla badania lokalów od bramy do bramy. Na Smolnej rzeczy poszły zupełnie innym trybem. Od daty wynajęcia salonu pani Mundartowej minęły trzy kwartały. Dzierzyniecki bardzo często rozpalał się do białości i pienił na dzwonek elektryczny, trzeszczący przeraźliwie tuż za ścianą nad wezgłowiem jego pościeli, na monstrualne, jedyne w dziejach rozlutowanie samowara, na jakąś „twardą“ wodę do mycia oblicza, na złe uprzątanie pokoju, na brzydotę koczkodanika z grzywką, nastawiającego samowar — i t. d., a Łaskawicz mimo wszystko ani myślał o „wekslowaniu penatów“. Przez czas bardzo

długi Dzierzyniecki głęboko się zastanawiał, jaka może być przyczyna tego uporu i konserwatyzmu. Dopiero niesłychanie baczna i systematyczna obserwacya naprowadziła go na ślad prawdy. Łaskawicz od pewnego czasu tak manewrował, ażeby „szlafkamrata“ o godzinie dziesiątej wieczorem w mieszkaniu nie było, a sam o tej porze regularnie był na miejscu. Z knajpy, z wieczorku karcianego u kolegów żonatych, ze spaceru, nawet z teatru wymykał się przed dziesiątą i szybkim lotem zdążał na Smolną. Kilkakrotnie Dzierzyniecki krok w krok szedł za nim, usiłując zbadać przyczynę — i nadaremnie. Łaskawicz biegł szybko przez podwórze, wpadał na schody i siedział w mieszkaniu bez światła. Dzierzynieckiego ciekawość poprostu zjadała. Pewnej niedzieli wyszedł od Czerskiego prawie równocześnie z Łaskawiczem, tuż za nim wstąpił do sieni i, gdy tylko drzwi mieszkania się zamknęły, otworzył kluczem zatrzask i szybko wkroczył do pokoju. Zdawało mu się, że Łaskawicz zleciał na ziemię z wysokości...

— Czegóż ty, Łasek, siedzisz w ciemności? — spytał, zapalając lampę i oglądając apartament szybkiemi spojrzeniami.

— Siedź i ty po ciemku, jeżeli ci to sprawi przyjemność...

— Może zajmujesz się wywoływaniem Johna Kinga i lewitacyami...—Może bym ci przeszkadzał?

Łaskawicz zaczął od niechcenia świstać przez zęby i wygwizdał słowo dosyć niesmaczne, osobliwie gdyby je zastosować do współlokatora. Ten jednakże nie dał za wygraną i odtąd systematycznie

przebywał wieczorami w domu, szczególnie zaś pilne zajęcia miał tam około godziny dziesiątej. Łaskawicz również nie wydalał się nigdzie. Przechadzał się zazwyczaj po saloniku z miną tygrysa, który kilka dni nie jadł, i od niechcenia pogwizdywał.

Mieszkanie pani Mundartowej, od której ci dwaj kawalerowie (Łaskawicz, kolejarz z zarządu drogi Wiedeńskiej i Dzierzyniecki, urzędnik biura ubezpieczeń na życie) odnajmowali duży pokój — składało się z kilku izb mniejszych. Drzwi z sali wynajętej, prowadzące do mieszkania wdowy, były z jej strony zabarykadowane szafą, nie dosięgającą wszakże ich szczytu. W pokoju kawalerów mieścił się pod temi drzwiami stolik do pisania. W bliskości stolika, jako najznakomitsza ozdoba lokalu, sterczał na drewnianym słupie gipsowy biust Archimedesa, Alcybiadesa, czy kogoś wogóle z tamtych czasów. Z drugiej strony stolika, pod piecem, figurowało łóżko. Między oknami tkwiła urocza kanapka, wyszczerzająca spiralne sprężyny. Dalej była szafa i łóżko Dzierzynieckiego, równie dobrze znanego pod mniej długą nazwą Dzierzy, albo całkiem odmienną — Zgryzoty.

Usilne przesiadywanie obydwu lokatorów w domu trwało bardzo długo. Nareszcie pewnego wieczora tajemnica wyjaśniła się raptownie, kiedy panna Zofia, młodsza córka pani Mundartowj, nauczycielka, uganiająca się za lekcyami po całych dniach i wieczorach, zjawiła się o dziewiątej, wypiła herbatę i jak zwykle nucąc półgłosem, jęła zabierać się do snu w pokoju, do którego wejście

było zasłonięte szafą. Łaskawicz wejrzał na Dzierzynieckiego wzrokiem tygrysa głodnego, zranionego i rozbestwionego, przez chwilę się wahał, a następnie, powziąwszy widocznie śmiałą decyzyę, lekko wskoczył na krzesełko, a stamtąd na stolik przy drzwiach... Dzierza, siedzący na fotelu obok swego łóżka, przymrużył lewe oko i z lekkiem osłupieniem spoglądał na uczynki współlokatora. Łaskawicz przezornie, a mocno nacisnął obiedwie połowy drzwi, otwierających się do sypialni panny Zofii, uformował w górze szparę dosyć szeroką i przystosował do niej swe oko...

— Czy śmiertelnikowi wolno będzie również?..— szepnął Dzierzyniecki z uczuciem.

Łaskawicz nie odpowiedział, wykonał natomiast ręką pewien giest zrozumiały. Za drzwiami słychać było głuchy stuk zzutych bucików, najwyraźniejsze urywanie tasiemek, zawiązanych widocznie na mocne węzły i całą gamę suchych szelestów, jakie wydają porzucane szaty. Łaskawicz tak przylgnął do drzwi zatarasowanych, że możnaby go było wziąć za płaskorzeźbę, oprawioną w drewniane ramy. Panienka widocznie czytała w łóżku, gdyż dopiero około godziny jedenastej zlazł ze stołu. Zaraz też przybiegł na palcach do Dzierzynieckiego i w sposób jaknajbardziej kategoryczny wyrecytował.

— Jeżeli piśniesz jedno słowo przed kimkolwiek, odważysz się na jeden dwuznacznik, no — jeżeli wogóle parę z ust o tem puścisz, to po pierwsze — nie mieszkam z tobą, — a powtóre — zatrzymuję ten lokal dla siebie.

— Ba, — rzekł tetryk — nie pisnę, ale ja będę właził na stół co drugi dzień...

— Gdybym zauważył, że na seryo żywisz ten nędzny zamiar, to również nie mieszkam z tobą!

— Nędzny zamiar... — szydził Dzierzyniecki, wyciągając swe długie nogi aż na środek stancyi. Po chwili przekręcił się w fotelu na bok i z miną wzgardliwą mówił:

— Nędzny zamiar! A patrz sobie, patrz... Nie jestem wcale fiksatem, ani czemś w tym guście!

Od tej chwili Łaskawicz praktykował co wieczór podglądanie z najzupełniejszą bezczelnością. Z czasem wygotował całkowitą metodę i zupełny systemat.

Drzwi z korytarza zamykał na klucz, kładł miękie pantofle, spuszczał firanki i t. d. Obadwaj lokatorowie rzadko kiedy chodzili z wizytą do pani Mundartowej. Była to wdowa niezamożna, utrzymująca się z jakiejś emerytury i z pracy córek. Starsza była retuszerką, i jakkolwiek miała robotę w jednym z najpierwszych zakładów fotograficznych, to przecież zarabiała daleko mniej, niż młodsza. Właściwie utrzymywała dom panna Zofia. Była to panienka młodá jeszcze bardzo, ładna i cicha. Miała w dużych lazurowych oczach znamię umysłowego strudzenia, ów sygnał wiecznie pracującej pamięci, która okruch wiedzy, potrzebnej niezbędnie, trzyma w ciągłej świeżości. Ten zasób nigdy nie może się stępić, gdyż nim się zdobywa kawałek chleba, jak górnik zdobywa go kilofem, jak szwaczka igłą...

Włosy panna Zofia miała ciemne, a tak dzi-

wnie lśniące, że Łaskawicz był w stanie myśleć o tym ich połysku w ciągu całych dni, a nawet w ciągu całych nocy. I on wszakże wyraźnie stronił od tych panien, lękając się, żeby czasem nie przyszło „wdepnąć w sakrament“ z osobą, której całym posagiem były źrenice jak głębia niebios, — i modny kapelusik, czyniący z niej śliczne widziadło. Tak stały rzeczy, kiedy zaraz na początku karnawału zaprojektowano u pani Mundartowej wieczorek tańcujący.

Rozumie się, że lokatorów proszono przedewszystkiem. Systematyczny Dzierzyniecki już od godziny piątej z południa majstrował około swej garderoby, wkręcał spinki w gorsy koszul twarde, jak płyty marmurowe, mył benzyną rękawiczki, czyścił frak i próbował za pomocą piruetów tęgości swych lędźwi. Łaskawicz zjawił się dopiero przed dziewiątą i z hałasem rzucił do bielizny i kostyumu balowego. Co chwila spostrzegał jakieś braki, wypadał na miasto, pędził po schodach z drugiego piętra i wracał niebawem, lekkomyślnie przeskakując całe dziesiątki stopni. O jedenastej, kiedy Dzierzyniecki był już prawie gotów i, siedząc na łóżku, marudził nad swym frakiem, Łaskawicz mył się dopiero. Gości już było dosyć. W pokoiku za drzwiami, milczącym zwykle, słychać było rozkoszny gwar koleżanek i znajomych panny Zofii, w przedpokoju dzwonek odzywał się co chwila. Łaskawicz wymył się nareszcie, włożył bieliznę, cienkie balowe obuwie i z włosami roztrzepanymi, niby wiązka grochowin, wlazł według swego zwyczaju na stolik i mocno przycisnął drzwi, żeby zobaczyć jakie biało-

głowy już są i jak też wygląda panna Zofia... Nagle stała się rzecz straszliwa. Drzwi, od których dla rozszerzenia na ten wieczór pokoju odsunięto szafę, roztwarły się z trzaskiem. Dzierzyniecki ujrzał nagle w przestworze białe nogi Łaskawicza. Nieszczęśliwy podglądacz runął z wysokości stolika do apartamentu, pełnego dziewic; sparł się wyciągniętemi rękami na posadzce, odbił, pędem doleciał aż do przeciwległej ściany i z całej mocy, jak taranem, uderzył głową o kanapę. Panny, które tam właśnie siedziały, z krzykiem rozpierzchły się na wsze strony, a kilka z nich bezradnie stanęło w otwartych drzwiach, prowadzących do kawalerskiego mieszkania. Łaskawicz zerwał się na równe nogi w przeraźliwem zgłupieniu i, oszołomiony upadkiem, oraz białością swego kostyumu, rzucił się na oślep z miejsca. Zamiast wszakże skierować się do mieszkania opuszczonego przed chwilą — wpadł we drzwi, prowadzące do salki balowej. Jak bystronogi jeleń, przeleciał między osłupiałemi matkami i ciotkami, roztrącił grono mężczyzn, w misternych podskokach biegł przez pokój stołowy i, straciwszy najzupełniej wyobrażenie, gdzie jest i co się z nim dzieje, roztwarł naoścież drzwi do kuchni. Tam pani Mundartowa zajęta była przygotowaniami do mięsnej wieczerzy. Miała właśnie umieścić w rondlu świeży kawał mięsa, kiedy Marysia z grzywką, obejrzawszy się na drzwi, wrzasnęła na całe gardło:

— Jezus, Marya, Józef! pan Łaskawicz przez szpodniów!

Pani Mundartowa obróciła się raptem i mięso wypadło jej z ręki na ziemię. Przed nią stał Ła-

skawicz z wytrzeszczonemi oczyma, w bieliźnie i z głową okropnie rozczochraną. Wylęknione kobiety schroniły się za komin i z krzykiem chwyciły, co było do obrony pod ręką, więc jedna patelnię, druga pogrzebacz. Tymczasem Łaskawicz piorunującym ruchem ściągnął z łóżka Marysi perkalową kapę w ogromne pąsowe kwiaty, zarzucił ją na ramiona jak arabski burnus, skoczył we drzwi i znalazł się na schodach kuchennych. Wielkimi susami zbiegł na dół, przebył podwórze i wdarł się na schody główne, prowadzące do przedpokoju i mieszkania. Stanąwszy u drzwi na drugiem piętrze, z całej siły przycisnął dzwonek i raptem oderwał palce, usiłując dać takim sposobem znak Dzierzynieckiemu. Tymczasem Zgryzota siedział nieubrany na łóżku z rękoma wspartemi o poręcz i nie bardzo roztropnie patrzał na drzwi, za któremi zginął mu Łaskawicz. Panna Zofia, usłyszawszy dzwonek i sądząc, że to przybywa gość nowy, wybiegła do przedpokoju i prędko drzwi roztwarła. Z krzykiem odskoczyła w tył, zobaczywszy przed sobą ogromną figurę w kapie różnobarwnej. Łaskawicz także uciekać zaczął na wyższe piętro. Dopiero po chwili, zauważywszy, że drzwi są otwarte, wsunął głowę do przedpokoju i jął wołać głosem rozpaczliwie stłumionym:

— Dzierzyniecki! Dzierzyniecki!

Tetryk ocknął się z zadumy, ubrał szybko i wybiegł na schody.

— Dawajże mi ubranie, mumio, gapo, Zgryzoto! — wołał na niego Łaskawicz.

— Ubranie? No to chodź do pokoju...

— Nie, nie chcę, za nic w świecie tam nie wejdę!

— Ty już zupełnie zwaryowałeś?

— Tyś zwaryował! Czy nie widzisz, że mię „pech“ goni? Dawaj ubranie codzienne: surdut, palto, kalosze, okulary...

Dzierzyniecki przyniósł żądane odzienie i Łaskawicz, wstąpiwszy na schody trzeciego piętra, — w kąciku mrocznym szybko się ubrał. Włożył palto, nastawił barankowy kołnierz, wcisnął czapkę na oczy i uszy, założył okulary, ubrał się w kalosze i ruszył w świat kolosalnymi krokami.

Dzierza wrócił do mieszkania, ochłonął ze strachu i począł cieszyć się w duchu z niedoli bliźniego. Wkrótce ozwała się muzyka i ktoś z korytarza zastukał do pokoju.

— Panowie gotowi? — spytała panna Zofia, gdy Zgryzota we drzwiach stanął.

— Ja tylko jestem gotów, gdyż kolega mój właśnie... zasłabł... Ból głowy...

— Ach, dzieciństwo!... Panie Łaskawicz...—zawołała głośniej, nasz pierwszy kontredans...

Dzierzyniecki upewnił ją, że tamtego niema i, wstydząc się mocno, jakby to jego samego spotkała przygoda, wszedł do sali balowej. Wkrótce rozpoczęto tańce i dla zatarcia złego początku — hulano, co się zowie. Wesołość nastrojona w pierwszej chwili wieczoru tak górnie—poprostu kipiała. Mężczyzn było nie wielu, to też Dzierzyniecki stańczył się na zabój. Kiedy wrócił do siebie około godziny piątej nad ranem, zdawało mu się, że ma piszczele do kolan upiłowane. Ledwo zdołał roze-

brać się i dowlec ziemską powłokę do łóżka... Przez chwilę marzył, że tańczy, widział piękne twarze, oczy, ramiona, szepnął do kogoś czuły wyraz i usnął jak pień wierzbowy. Wśród twardego snu poczęła go naraz męczyć ciężka zmora. Nie był w stanie otworzyć oczu, unieść głowy, a czuł, że dzieje się dokoła niego jakaś scena awanturnicza. Przez sen, na pół przytomny, z zamkniętemi oczyma, wołał:

— Łaskawicz... Henryku... Łaskawicz...

Nikt mu nie odpowiedział i to go nieco bardziej rozbudziło. Usiadł na łóżku i dopiero po chwili zoryentował się, że to słychać dzwonek elektryczny.

— Henryku, — jęknął Dzierza, — idźno tam otwórz, bo mnie się... Ja nie mogę... Henryku...

Znowu nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Wtedy dopiero zrozumiał, że to właśnie Łaskawicz dzwoni. Z furyą wysunął nogi z pod kołdry, zanurzył je w pantofle, i, szukając szlafroka, jęczał:

— Cóż to za nędznik, żeby przecie tak bez ustanku dzwonić!

Potykając się, tłukąc o gzemsy i kanty, o klamki i odrzwia, wyszedł na korytarz, odciągnął zasówkę i cofnął się do stancyi. Zdziwiło go, że Łaskawicz nie wchodzi, a dzwonek wali swoje bez przerwy. Jeszcze raz wyszedł do sionki, uchylił drzwi na schody i zawołał:

— Łaskawicz — to ty?

— Ja — odparł głos bardzo ponury.

— Właźże już nareszcie! Czegóż u licha dzwonisz?

— To nie ja dzwonię...

— Nie ty? A któż to dzwoni?

— Mojra.

— Co za Mojra?

— No, Mojra.

— Cóż ty masz w głowie, żeby się po nocy z żydówkami włóczyć.

Łaskawicz milczał i nie wchodził. Dzierzyniecki wrócił się jeszcze raz do mieszkania, znalazł lampę, zapałki—i ze światłem wyszedł na schody, mocno postanowiwszy wyrzucić ową Mojrę. Za drzwiami stał Łaskawicz, oparty plecami o mur, z rękami wiszącemi bezwładnie i czapką wsuniętą na oczy. Dzwonek wciąż trzeszczał jednostajnym głosem, który wśród nocnej ciszy rozlegał się, jak gwałtowne wzywanie pomocy.

— Czegóż ty dzwonisz? — rzekł bolesnym szeptem Dzierzyniecki.

Raz mi powiedz, niech się przynajmniej dowiem...

— Jesteś tak bajecznie głupi, że nawet tego nie możesz zrozumieć. Wepchnąłem guzik dzwonka i teraz to zwierzę będzie oczywiście ryczało przez całą noc!

— Po cóżeś go tak mocno przyciskał?

— Rzeczywiście—po co ja go tak mocno przyciskałem?

— No — a czemuż nie wydobywasz tego guzika?

— Dla tego nie wydobywałem tego guzika, że jużem sobie napróżno ułamał trzy paznogcie.

— Cóż tu robić? Może jakim nożem...

— Pewno, że jakim nożem...— mruknął Łaskawicz.—A, wątrobo siarczana!—wrzasnął nagle, chwy-

tając się za głowę, — cóż ja dnia dzisiejszego wyprawiam w tym budynku!

Tymczasem na głos dzwonka, bijącego nieustannie, zaczęły z mieszkania pani Mundartowej wysuwać się i cofać postacie w bieli, aż nareszcie wyszła sama wdowa-matka, dopytując się o przyczynę tak wielkiego hałasu. Zainteresowano się także tym dźwiękiem na innych piętrach. W całym domu słychać było trzask drzwi otwieranych, szybkie stąpanie w pantoflach, gwar zapytań i odpowiedzi. Lokator z trzeciego piętra, jegomość wysoki i rozczochrany, zatrzymał się na schodach, przechylił za balustradę i spytał głosem uprzejmym:

— Przepraszam! Uprzejmie przepraszam... Czy nasza cała familia, śpiąc w swem własnem mieszkaniu, nie przeszkadza państwu w całonocnych tańcach, półtoragodzinnem dzwonieniu, e c e t e r a... e c e t e r a...

Łaskawicz podniósł głowę, utkwił oczy w lokatora i zaczął wołać chrapliwym głosem:

— Pańska familia... e cetera...

Dzierzyniecki chwycił go za rękę, mówiąc:

— Słuchajno, — może zrobisz jeszcze jednę awanturę. Pozwól sobie! Będzie to przynajmniej okrągła całość.

Łaskawicz spojrzał na niego, kiwnął głową i wszedł do sieni, a potem do mieszkania, ciężko waląc o ziemię kaloszami.

Marysia napróżno usiłowała wydobyć guzik z metalowej obrączki widelcem, pani Mundartowa— szpilką podwójną, nożem kuchennym i t. d. Wreszcie Dzierzyniecki rzucił się do mieszkania i przy-

niósł scyzoryk z długiem i cienkiem ostrzem, końcem tego ostrza zręcznie podważył krążek i wydobył go na zewnątrz. Dzwonienie raptem ustało i wszyscy rozeszli się z wielkim pośpiechem. Dzierzyniecki wrócił do mieszkania, cisnął nóż na stół, zrzucił szlafrok i padł na łóżko. Łaskawicz stał w swej czapce i futrze przy stoliku, trzymając się jego krawędzi obiema rękami. Zasypiając już, i Dzierzyniecki słyszał, że tamten coś mówi. Z przymusem nastawił ucha.

— Słuchaj, Dzierza,—mówił Łaskawicz — zgasiłeś świecę i licho teraz wie, gdzie jesteś. Ty mię palnij scyzorykiem, tu, w szyję. Przetniesz tętnicę i raz się to skończy. Rozumiesz przecie, że po tem, co zaszło... Wal, nic się nie bój, tylko mocno!

Zgryzota miał zamiar wstać i odebrać mu scyzoryk, ale nie był w możności poruszenia nóg stańcowanych. Tymczasem Łaskawicz wciąż gadał:

— Klęczę przed tobą, schyliłem czerep,—więc będzie ci bardzo łatwo. W samę szyję! Wytnij z całej siły i skończona parada. Powiesz, że to ja sam się urznąłem... Jej nic nie mów... Wyrzućcie mię na śmietnik... Nie zasłużyłem na nic lepszego. Latałem bez ubrania, dzwoniłem całę noc, spiłem się, jak ostatnie zwierzę... Niech Marysia przysypie mię popiołem, śmieciami i sadzą...

Nazajutrz, zbudziwszy się około dwunastej, Dzierzyniecki przeląkł się bardzo. Łaskawicz, chrapiąc straszliwie, leżał wyciągnięty na ziemi o kilka cali od swego łóżka, w futrzanym paltocie, w czapce, okularach i kaloszach. W prawej ręce trzymał ostrze

noża, trzonkiem zwróconego do gipsowej figury Alcybiadesa. Widocznie ją błagał o wykonanie cięcia w szyję. Dzierzyniecki zaczął śpiącego trząść i szarpać... Łaskawicz dźwignął głowę i, patrząc na okolicę zbielałem okiem, mruknął:

— Dzierza, mnie się coś zdaje, że nie spałem na łóżku. To twoja sprawka, stary nudziarzu...

LEGENDA O „BRACIE LEŚNYM"

Rudolf von Speerbach zatrzymał konia tuż przy samej krawędzi płaskowzgórza i, puściwszy z rąk lejce, wysłał oczy na zwiady w poprzek krajobrazu, który się u stóp jego roztwierał. Po lewej ręce wznosił się szczyt Hochetzel, na prawo biegły garbate ogniwa przełęczy, w tyle murem stała świerkowa, głuchoniema puszcza Schwyz'u; w dole granatowemi smugi i kępami ciągnęły się lasy, zbiegające po falistych tarasach podgórza aż do wód jeziora, niebieściejących w oddali, jak okiem sięgnąć. Koń strzygł uszyma i mierzył wprawnym wzrokiem dróżkę, co gdzieniegdzie ukazywała się nizko, między drzewami. Ostrożne jego kopyto kilkakrotnie próbowało stąpać po miękiej murawie, ale rycerz zdarł cugle i osadził na miejscu swego ulubieńca. Daleko u podnóża wielkiej grupy Alp glerneńskich widać było czerwony dach zamku Mürtschenstein i śpiczaste jego wieżyce, szarzejące pośród ciemnej zieleni. Nie o spoczynku jednak w swem kamiennem gnieździe marzył w owej chwili rycerz zamyślony. Stanął na strzemionach, wsłuchał się bacznie w ciszę górską, jaknajpilniej przejrzał raz jeszcze całę okolicę, a potem zawrócił na miejscu,

wjechał w las i ruszył wprost na przełęcz. Koń pobiegł szybko. Hełm jeźdźca błyskał na słońcu, padającem już między drzewa, długi miecz dźwiękał, trzaskając w strzemię i ostrogę. Ten hełm i miecz byli to starzy a ulubieni towarzysze wypraw pana z Mürtschensteinu. Z ojca na syna przechodził dziedzictwem w jego rodzie hełm stary, roboty prostackiej, pokazujący dokładnie kształt czaszki prapradziada rodu Speerbachów, zwanego Kudłatym Niedźwiedziem z Gaster. W tyle, od szczytu w linii niemal prostej spadając, miała ta gruba przyłbica na przodzie wycięcie szerokie i zupełne od brwi aż po szyję. Zniosła ona niemało uderzeń młota, pocisków kamienia, niejeden zabójczy cios miecza, a przecie ani jedna pod nią czaszka nie pękła,—to też Rudolf nad cudnej roboty medyolańskie rynsztunki przekładał ją i nosić lubił, niby zakład bezpieczeństwa. Jak zwykle miał tego dnia na sobie kaftan ze skóry pospolitej, lecz dobrze wyprawnej, lekką, drucianą koszulę, spodnie z tęgiego rzemienia i chodaki, ozdobione długimi kolcami. U siodła jego wisiał przymocowany łuk prosty w postaci krzyża, sajdak ze strzałami i topór wielki z jabłkowatym obuchem. Pomimo bowiem, że Rudolf błąkał się teraz po lasach i górach zupełnie bez celu, to przecież nie zapominał, że jakiś wóz kupiecki przekradać się może w ustronnej dolinie, albo zdarzyć na stromych reglach spotkanie z pastuchem, unikającym płacenia haraczu — i dlatego tę broń niezbędną miał przy sobie.

Koń kłusem wbiegł na szczyt przełęczy. Wiła się tam ścieżynka, przez kozy wydeptana w mokrej

glebie, którą okrywały szorstkie trawy. Na zboczach rosły olbrzymie, starodrzewne świerki, poobwieszane siwymi mchami. Tu i owdzie straszliwe górskie wichry wysiepały z gleby wielkie drzewo, zwaliły je szczytem na dół i oddarły kolosalny wykrot, sterczący zeschłymi korzeniami. Gdzieniegdzie cicho szemrały drobne strumyczki, biegnąc z pośpiechem do jakiejś urwistej krawędzi, aby stamtąd rzucić się z dzikim szumem, na oślep, siklawą w głębokie rozpadliny.

Już kilkanaście dni baron z Mürtschensteinu wałęsał się w tych miejscach. Właśnie przed dwoma tygodniami zdarzył mu się wypadek niezwykły. Pewnego razu spał za dnia w największej izbie swego zamku. Dość już długo padały były deszcze nawalne i mżyły rozleniwiające człowieka siąpawice. Owego dnia Rudolf był senny od rana, to też, nie wychylając się na świat wcale, wysłał kilku ciurów z przywódcą Radlobem na czele, dla zebrania daniny od pastuchów, których w taki czas najsnadniej było podejść, otoczyć i zmusić do wydania należności. Z twardego snu zbudziły go nagle szmery i szepty. Zerwał się prędko, usiadł na posłaniu i, przetarłszy oczy, zobaczył w kącie izby, obok szerokiego komina, młodą dziewczynę, która, siedząc na kamiennej podłodze, patrzała na niego wielkiemi oczami. Przez okrągłe szybki z grubego zielonego szkła, wprawione w ołowiane ramy, sączyło się do stancyi tak mało chmurnego światła, że Rudolf ledwie mógł rozpoznać rysy swego gościa. Domyślił się wszakże co to znaczy. Ulubieniec jego, Radlob, bardzo często razem z wydartym podat-

kiem przywoził z wycieczki zdobycz taką, skradzioną w nocy z pastuszego szałasu, albo jak bydlę na arkan złapaną Baron stanął przy dziewczynie i podniósł ją w rękach z ziemi. Zaśmiał się radośnie na całe gardło, przyciągnąwszy ją siłą do światła i widząc dobrze jej twarz cudną, prawie czarną, opaloną w wiatrach górskich, jej ogromne czarne oczy, wymacawszy jej piersi małe i twarde, niby jabłka, mięśnie rąk i nóg tęgie, jak skręcone liny. Miała obyczajem dziewek pastuszych włosy wysmarowane sadłem i splecione na głowie w duże węzły. Była pół naga, bo knechty, chwytając, wiążąc postronkami i wlokąc skrępowaną przy koniu, podarły na niej kaftan z wyprawnej, włosem na wierzch odwróconej skóry i spódnicę z grubej wełnianej tkaniny. Na odgłos śmiechu pana Radlob uchylił drzwi i stanął u progu, wyszczerzając zęby. Rudolf machnął nań ręką i zagadał do dziewczyny. Nie zrozumiała go wcale i zaczęła z krzykiem coś mówić w narzeczu Romanów, potomków wojsk cezarowych, którzy zamieszkują sioła pasterskie na wzgórzach, otaczających dolinę Gaster. Jej rzymski profil, wspaniałe oczy i krew, kipiąca pod śniadą skórą, zaczęły go upajać. Kiedy tak patrzał na nią z zachwytem, nagle rzuciła się skokiem na niego; złożywszy pięści, zwaliła go w piersi i pchnęła na posłanie, a wraz jednem podparciem ramienia wywaliła z ram okno i chciała skoczyć na brukowany dziedziniec. Skoro szaloną ujął w porę i zamierzył się do ogłuszenia mocnym ciosem, raptem wstrzymany został przez jej spojrzenie. Spojrzenie to zdawało się przebijać go na wskróś, jak cios sztyletu.

Chwyciła go nagła niechęć do tej dziewki. Odwrócił się od niej i wahał przez chwilę. Później krzyknął na Radloba, żeby mu natychmiast siodłano konia. Gdy podkowy zadźwięczały na bruku, wziął dziewczynę mocno za ramiona, sprowadził ze schodów, przywiązał sznurem do siodła, wskoczył na koń i wyjechał za bramę. Jadąc tak, ani razu na nią nie wejrzał. Dopiero stanąwszy w dolinie Löntschu, zwrócił w jej stronę spojrzenie. Na chwilę nie spuszczała z oka ani jego ręki, ani topora, błyszczącego u siodła. Jej okrągłe, śniade barki drżały ciągle, zęby białe, jak kły wilcze, bez przerwy szczękały i pot kroplami stał na czole. W wązkiej szyi doliny Rudolf odwiązał nieznacznie linkę od siodła, koniec jej cisnął na ziemię i zatrzymał konia. Dziewczyna patrzyła na każdy jego ruch z podełba i trzęsła się jeszcze bardziej, jakby w oczekiwaniu, że teraz właśnie wyrwie znienacka topór i rozwali jej głowę. Wszakże, gdy spostrzegła, że baron siedzi na koniu bezczynnie i wcale na nią nie patrzy, jak lis wpełzła między gęste zarośla olszowe... Po chwili rycerz widział już tylko ślad jej stóp na mokrym piasku ścieżki i kołyszące się gałęzie krzewin, w których przepadła. Zdjęła go wtedy zabawna ciekawość zobaczenia, dokąd też poszła. Zsiadł z konia i, prowadząc go za uzdę, szukał ze śmiechem jej śladu. Mimo to jednak, że miał wprawę niemałą w tropieniu zwierza i ludzi, nie odnalazł żadnego znaku, któryby mu wskazał kierunek jej ucieczki. Wrócił tedy na drogę, wskoczył na siodło i pojechał do domu.

Od tego dnia spochmurniał. Naprzód myślał

o tej dziewczynie z niechęcią, nawet z odrazą, w głębi której był jednak jakiś żal żywy i bolesny, czy wstyd niespokojny. Z dnia na dzień ten wstyd zdawał się rozjątrzać, jak nieczysta i samej sobie zostawiona rana. Następnie stała się z Rudolfem von Speerbach rzecz niepojęta: zapragnął owej dziewki, cuchnącej kozim nawozem, uczuciem wszechpotężnem, na śmierć i życie. Chciał zobaczyć znowu za jakąbądź cenę jej śniadą, chudą twarz, gibkie ruchy wysmukłego ciała i te oczy, w których, niby w mroku, błyszczała chytrość, nienawiść i męstwo, wychowane nad przepaściami. Podniecany przez to niezłomne pragnienie, dniem i nocą tułał się po puszczy. Codziennie zajeżdżał do tego miejsca, gdzie spuścił brankę z powroza i patrzał na dzikie wody, kipiące wśród głazów. Głuchy jęk pian, bijących z wściekłością o granit, ryk szalonego potoku, który się wydziera z kamiennego więzienia — sprawiały mu niejaką ulgę. Jadąc po grzbiecie przełęczy w las gęstszy, Rudolf rozchylał co moment gałęzie malin i gęste zarośla, nasłuchiwał, czy nie odezwą się klekotki kroków albo granie na rogach, zapomocą których zwołują się pastusi. Tu i owdzie roztwierały się na szczytach małe łysiny górskie o pożółkłej już trawie, a z nich widać było wielkie turnie. Wyszedł już był z chmur Glärnisch ze swym białym szczytem Vrenelisgärtli, podobnym do nachylonego stołu; niezmierny Tödi z grzbietem zgarbionym pod brzemieniem wielkiego lodowca — i cały łańcuch dziwnych potworów. Wszystkie trzęsły się w oparze, wstającym z nich za sprawą promieni słonecznych,— niby straszliwe monstrum, które zieje zdyszane.

Perć nierówna i gubiąca się w trawach skręciła na jednym z takich placów znowu ku szczytowi. Zwisły nad nią leszczyny i ocieniały ją zupełnie. Rudolf, schyliwszy się na szyję konia, wjechał w tę uliczkę. Słońce przelewało się tam przez gaj liści i białemi, ruchomemi plamami kapało na zioła wysokie, soczyste, utajone w mroku fioletowym. Nagle rycerz posłyszał w głębokiej ciszy śpiew, dochodzący z oddali. Wkrótce koń stanął przed drzwiami zagrody, przypartej tylną ścianą do wysmukłej, szarej skały, która sama jedna sterczała między drzewami na szczycie góry. Drzwi były otwarte i wielki, złoty promień wpadał przez nie do wnętrza. Rudolf zsunął się z konia, podszedł z za węgła na palcach i zajrzał w głąb domostwa. Zobaczył tam starca tak zgrzybiałego, że łysą jego czaszkę powlekła jakby pleśń żółtawo-zielona, który klęczał na ziemi tyłem do drzwi zwrócony i śpiewał, wyciągnąwszy ręce. Dłonie jego były mocno ściśnięte i jakby załamane boleśnie. Na nogach miał ten dziadowina drewniane trepy, na grzbiecie sukmanę krótką i obstrzępioną, a sięgającą zaledwie do kolan, z tkaniny najgrubszej, jaką wyrabiali dla pastuchów mnisi klasztorni w Lucernie. Łydki miał całkiem nagie i gęstym włosem porosłe. Rzadkie włosy, wyrastające za uszami i w tyle jego czaszki, jak srebrne nici leżały na brunatnym kołnierzu. Izba owa była kurna i prawie zupełnie pusta. Kupka węgli tliła się na środku gładko ubitego klepiska, pod ścianą leżał rozłożony wygrabek suchego siana, a obok drzwi stało kilka kazubów z olszowej kory, pełnych poziomek. Przez długą chwilę Rudolf przy-

patrywał się dziadkowi. Zdjęty chęcią zobaczenia, czy w kątach izby nie ma czegoś, coby się do zrabowania nadawało, wsunął głowę i zasłonił wejście swoją osobą Cień padł na podłogę i ścianę. Starzec wstał z klęczek i, nie przestając śpiewać, zbliżył się do drzwi. Wtedy baron zobaczył jego twarz zgrzybiałą, a jednak jeszcze dość czerstwą i okraszoną na policzkach nikłymi rumieńczykami zdrowia. Czarne, przenikliwe oczy świeciły się jak dyamenty w jego obwisłych powiekach. Znagła przestał śpiewać, szybko zbliżył się do rycerza i ostro go zapytał:

— Coś za jeden i czego chcesz. bracie?

— A ty co za jeden jesteś, stary grzybie! — krzyknął Rudolf, wchodząc do izby.

Gdy stanął w chałupie, głową dosięgając dranic powały, dziad spojrzał na niego, na stary hełm, zmrużył powieki i wstrząsnął głową.

— Przyłbica Kudłacza z Gaster. Tak to, tak...— szeptał. — Skąd ty ją masz, młody rycerzu? Czy może sam nim jesteś, zbójem z Mürtschensteinu?

— Tak, jam jest baron na Mürtschensteinie, którego ty, chłopie podły, ośmieliłeś się zbójem nazwać! — wrzasnął Rudolf, chwytając starca za kołnierz habitu.

— Puść mię, baronie na Mürtschensteinie, — rzekł dziad z uśmiechem. Zbójem jesteś, łupieżcą i cudzołożnikiem. Przychodzą tu do mnie oddawna ludzie ze skargą na ciebie. Odbierasz od nich nietylko podatek, który ci się należy, ale także kradniesz im bydło i gwałcisz ich kobiety. Nie dawniej jak wczoraj przychodził do mnie ze skargą

na ciebie cały ród. Słudzy twoi porwali dziewczynę...

— Ty wiesz, dziadu, gdzie ona jest? Ty wiesz?... — przerwał mu baron.

— Wiem i zakazuję ci!...

Zanim zdołał wymówić myśl swoją, rycerz chwycił jego ręce i, potrząsając nim, wołał:

— Prowadź mię do tej dziewki, prowadź mię natychmiast! Nic ci złego nie zrobię, jeżeli mi będziesz posłuszny, albo ci łeb rozetnę na dwoje, gdybyś mi się sprzeciwiać zamierzał.

Wtem stary pustelnik wyrwał się z rąk siłacza, dźwignął swe schylone ramiona, szybko podszedł do ściany, zerwawszy z niej mały krzyż żelazny, stanął przede drzwiami chaty i piorunującym głosem zawołał:

— Oto jest krzyż Zbawiciela świata! Przez niewinną jego mękę przeklnę cię, rozwiążę sługi twe, poddanych i chłopów z posłuszeństwa, odłączę cię od społeczeństwa szlachty, zakażę ci uczestnictwa w kościele, ażebyś zdechł z głodu i przez psy był rozszarpany, jako niewierny!

— Ty mnie przeklniesz? Ty mnie? — wołał Rudolf trupio blady. — Ty, chłopie...

— Tum aż zaszedł, uciekając od waszych zbrodni, zbóje i łupieżcy! Tu Bogu służę w tej puszczy. Jeżeli nie uczynisz pokuty publicznej...

Rycerz tyłem wycofał się z izby i usiłował wskoczyć na siodło. Trwoga śmiertelna, jak wilk, rzuciła się na niego, kiedy starzec wspomniał o pokucie publicznej.

— Nie, nie ucieczesz! — wołał dziad, idąc za

patrywał się dziadkowi. Zdjęty chęcią zobaczenia, czy w kątach izby nie ma czegoś, coby się do zrabowania nadawało, wsunął głowę i zasłonił wejście swoją osobą Cień padł na podłogę i ścianę. Starzec wstał z klęczek i, nie przestając śpiewać, zbliżył się do drzwi. Wtedy baron zobaczył jego twarz zgrzybiałą, a jednak jeszcze dość czerstwą i okraszoną na policzkach nikłymi rumieńczykami zdrowia. Czarne, przenikliwe oczy świeciły się jak dyamenty w jego obwisłych powiekach. Znagła przestał śpiewać, szybko zbliżył się do rycerza i ostro go zapytał:

— Coś za jeden i czego chcesz. bracie?

— A ty co za jeden jesteś, stary grzybie! — krzyknął Rudolf, wchodząc do izby.

Gdy stanął w chałupie, głową dosięgając dranic powały, dziad spojrzał na niego, na stary hełm, zmrużył powieki i wstrząsnął głową.

— Przyłbica Kudłacza z Gaster. Tak to, tak...— szeptał. — Skąd ty ją masz, młody rycerzu? Czy może sam nim jesteś, zbójem z Mürtschensteinu?

— Tak, jam jest baron na Mürtschensteinie, którego ty, chłopie podły, ośmieliłeś się zbójem nazwać! — wrzasnął Rudolf, chwytając starca za kołnierz habitu.

— Puść mię, baronie na Mürtschensteinie, — rzekł dziad z uśmiechem. Zbójem jesteś, łupieżcą i cudzołożnikiem. Przychodzą tu do mnie oddawna ludzie ze skargą na ciebie. Odbierasz od nich nietylko podatek, który ci się należy, ale także kradniesz im bydło i gwałcisz ich kobiety. Nie dawniej jak wczoraj przychodził do mnie ze skargą

na ciebie cały ród. Słudzy twoi porwali dziewczynę...

— Ty wiesz, dziadu, gdzie ona jest? Ty wiesz?... — przerwał mu baron.

— Wiem i zakazuję ci!...

Zanim zdołał wymówić myśl swoją, rycerz chwycił jego ręce i, potrząsając nim, wołał:

— Prowadź mię do tej dziewki, prowadź mię natychmiast! Nic ci złego nie zrobię, jeżeli mi będziesz posłuszny, albo ci łeb rozetnę na dwoje, gdybyś mi się sprzeciwiać zamierzał.

Wtem stary pustelnik wyrwał się z rąk siłacza, dźwignął swe schylone ramiona, szybko podszedł do ściany, zerwawszy z niej mały krzyż żelazny, stanął przede drzwiami chaty i piorunującym głosem zawołał:

— Oto jest krzyż Zbawiciela świata! Przez niewinną jego mękę przeklnę cię, rozwiążę sługi twe, poddanych i chłopów z posłuszeństwa, odłączę cię od społeczeństwa szlachty, zakażę ci uczestnictwa w kościele, ażebyś zdechł z głodu i przez psy był rozszarpany, jako niewierny!

— Ty mnie przeklniesz? Ty mnie? — wołał Rudolf trupio blady. — Ty, chłopie...

— Tum aż zaszedł, uciekając od waszych zbrodni, zbóje i łupieżcy! Tu Bogu służę w tej puszczy. Jeżeli nie uczynisz pokuty publicznej...

Rycerz tyłem wycofał się z izby i usiłował wskoczyć na siodło. Trwoga śmiertelna, jak wilk, rzuciła się na niego, kiedy starzec wspomniał o pokucie publicznej.

— Nie, nie ucieczesz! — wołał dziad, idąc za

PROMIEŃ

Zawadzając o każdy przystanek, choćby najmniejszy, pociąg zbliżył się wreszcie do stacyi Sapy, centralnego punktu zjednoczenia trzech gałęzi kolejowych. Raduski, zaznajomiony ze wszystkimi towarzyszami drogi w przedziale „niepalącym“ klasy trzeciej, ilekroć wstrzymywano bieg pociągu, wysiadał dla zwiedzenia bufetów, często zaopatrzonych tylko w piwo i kiełbasy, do złudzenia imitujące postronki z węzłami, któreby *primo* tygodniami moczono w wodzie morskiej, a *secundo* miesiącami suszono na słońcu afrykańskiem. Kupował tam, co się dało, nie dla siebie zresztą, lecz dla dzieci w wagonie, dla damy w wyświechtanej salopce, dla starego jegomości niewiadomej kondycyi w baranach, dla dwu chłopów, zdążających do sądu w mieście, dla kucharki, wiozącej ryby w ogromnym koszu, a nawet dla żyda, prawdopodobnie trzy razy starszego od konstytucyi rzeszy prusko-niemieckiej, który budził się kiedyniekiedy, stękał i tarł swe pałąkowate plecy o poręcz ruchem do najwyższego stopnia prowincyonalnym. Głównym interlokutorem Raduskiego był pan w baranach. On to wymawiał każdorazowo imię stacyi, do której się zbliżano,

wskazywał palcem, uzbrojonym w paznokieć, od dawien dawna niepozbawiany ani bystrego wzrostu, ani srogiego zabarwienia, — i mianował usty wsie i folwarki, leżące w polu widzialnem, przytaczał nazwiska zawiadowców stacyjnych, pomocników, starszych i młodszych telegrafistów, oraz właścicieli bufetów. Wszystko to czynił z niewątpliwą sumiennością, jakgdyby pragnął nagrodzić towarzysza podróży za przyniesione do wagonu piwo, butersznyty etc. i zwrócić mu co do grosza w formie ładunku erudycyi koszt, wyłożony na kupno innych przysmaków. Raduski z prawdziwym pietyzmem słuchał tych szczegółów, ale nadewszystko rozpytywał się o przestrzeń z Sapów do Łżawca. Przepowiadał sobie po kilka razy za panem w baranach nazwiska czterech stacyjek, a wymówiwszy każde z nich, dziwacznie odwracał głowę i patrzał na sufit wagonu. Inne osoby w przedziale starały się nie zostawać zbyt daleko za panem wiele mówiącym i każda z nich dorzucała jakiś szczegół, już to o samych stacyach, już o przyległej prowincyi.

Tymczasem wagon, przebywając zwrotnice, zakołysał się raptownie i, nim z twarzy podróżnych znikła stereotypowa obawa, czy to aby nie następuje wykolejenie, — zwolna wsunął się przed peron. Drzwi otwarto z nieuniknionym trzaskiem. Ukazał się w nich konduktor chorowity, z rzadką, czarną brodą i szyją naprzód wyciągniętą. Idąc wzdłuż wagonów pod ciężarem swego niezmiernego szynela z taką forsą, jakgdyby usiłował raz wreszcie wyrwać się z tej szaty i uciec na koniec świata, mizerak ten zawiadamiał pasażerów w sposób przez nos

urzędowy, że kto jedzie do Łżawca, to niech wysiada.

— No, moi szanowni państwo, — zawołał Raduski głosem wesołym, — ja do Łżawca. Szczęśliwej podróży...

Ujął szybko swój mały, skórzany kufereczek, skłonił się towarzyszom, wyskoczył i utonął w zbitym tłumie. Pociągi zbliżały się do tej stacyi i odchodziły, rozlegał się nieustanny prawie świst, brzęk dzwonków, łoskot kół, gwar ludzki... Na peronie snuły się osoby ze wszelkich warstw społecznych: od chłopów w żółtych kożuchach i od żydowinów w zatłuszczonych obficie chałatach i w butach najordynarniejszego kalibru, — aż do dżentelmenów, z wdziękiem noszących płaszcze, kołnierze i czapki bobrowe. Drzwi klasy drugiej i trzeciej pochłaniały i wydzielały na zewnątrz dwa nurty ludzkie. Wpoprzek peronu trudno było przecisnąć się między zwartą a ruchomą ciżbą. Raduski ze swym małym pakunkiem w ręce kręcił się to tu, to tam, dawał się pociągać, wprowadzać do wnętrza i na świat wydobywać. Serce jego przepełniała, niby spienione wino czarę kryształową, błogosławiona szczęśliwość, ubezwładniająca ręce i nogi. Wśród masy, która go brała ze sobą, głowę miał co chwila przy czyjejś głowie i kimkolwiekby był ten drugi człowiek, dotykał go ramionami z miłością, słuchał jego mowy i przypatrywał mu się oczami, co niezbyt prawdziwie widzą, a przecie wszystkie szczegóły zgarniają i chłoną. Gdyby w owej minucie ktokolwiek z tych ludzi, bogaty czy biedny, obdarty czy wystrojony, uczciwy czy nikczemny, zwrócił się do niego i rzekł:—

Panie Janie Raduski, jestem w potrzebie, dajno setkę, czy tysiąc rubli... — uczyniłby to niezwłocznie. Ale nikt nań uwagi nie zwracał, chyba ci, do których twarz pochylał zbyt blizko.

— Ani jednej osoby, ani jednego znajomego spojrzenia... — szeptał do siebie.

Czasami w tłumie migał jakiś kontur, jakiś profil znajomy, doskonale znany i przejmował serce dreszczem śmiesznego bólu, trwogi, wstydu. Chwila mocnego skupienia uwagi rozpraszała ułudę; to nie jest tamten człowiek... Z tamtym obcowało się często, znało się go dobrze, albo cierpiało się z jego powodu jeszcze bardzo niedawno, ale w odległości trzystu mil od stacyi Sapy. I już tamto wszystko zostało nieskończenie daleko... W innej znowu chwili przesuwało się oblicze bez wątpienia w tych stronach widziane za czasów dzieciństwa, czy wczesnej młodości, ale tak przez długi szereg lat we wspomnieniu zatarte, tak zestarzałe i odmienione, że snuło się w oczach, niby dziwaczne jakieś złudzenie, niepokoiło pamięć, jak przykra chimera, wymykająca się z objęć myśli. Zagarnięty przez świeży przypływ osób, Raduski wszedł do poczekalni klasy drugiej i nie oparł się aż w najdalszym jej kącie. Była to hala wielka i bardzo wysoka. Szereg kolumn dzielił ją od drugiej, gdzie składano pakunki. Przy drzwiach głównych znajdował się duży szynkwas, zwany także bufetem. Ozdobne sklepienie tej sali pokryte było plamami wieloletniego kopciu naftowego, ściany jej zczerniały, jakby do ostatniego włókna przejęte dymem z cygar i papierosów, sprzęty, umalowane jednostajną olejną

farbą, nosiły ślady i znaki czegoś, niby pracy i zużycia. Raduski siadł na wyplatanej ławeczce, tobołek umieścił pod nią przy nogach i znowu zapadł w ów stan szczególny, który możnaby chyba nazwać gorączkowem marzeniem. Gwar publiki, płynącej niewyczerpaną falą, skupiał się w tamtem miejscu, zlewał w jednostajne brzmienie i pod zczerniałym sufitem cicho huczał, jak tony organów wiejskiego kościoła. To echo zgiełku wydało się podróżnemu jakgdyby melodyą chyżego biegu życia. Brzmiało w niej stanowczo coś, niby sama treść i istota wszystkiego, co się zamyka między pierwszem wzruszeniem miłosnem, a ostatnim dreszczem śmierci. W owej chwili, jak na wyniosłem pograniczu, kończył się już kraj, utkany ze wspomnień, miała się przerwać zmyślona, niemateryalna rzeczywistość, latami w sercu stwarzana, miała zniknąć tamta ziemia, mieli odejść ludzie, jak widziadła senne, co nie zostawiają śladu stóp swoich ani na pierwszym śniegu zimowym, ani na mokrym piasku wybrzeża.

Zadumę jego przerwał donośny głos portyera, który, uderzywszy trzykroć energicznie w mały, ręczny dzwonek, wołał:

— W Morysow, Tarcice, Palenisko, Łżawiec...

— Cha-cha-cha... Łżawiec... — zaśmiał się Raduski zcicha, patrząc na twarz starego oficyalisty przez smugi sinego dymu, ciągnące się wpoprzek sali ku wyjściu. — Ten sam portyer, ten sam głos... Jedenaście lat nie słyszałem cię na jawie, kamracie, ale za to w marzeniu, w marzeniu...

Sala szybko pustoszała. Gdy krzyk odźwiernego zabrzmiał znowu, Raduski wyszedł. Po drodze

przyjrzał się twarzy szwajcara i niby we śnie nad wyraz prędkim widział, jak coś obcego, młodość swą i samego siebie podczas oczekiwania w tej sali na schadzkę z pierwszą w życiu kochanką. Zadrżała w sercu dawna rozkosz, otwarła ramiona do uścisku próżni, jęknęła na podobieństwo tonu muzycznego i znowu stała się nicością Z całego systematu, z całego świata i niebios tamtego życia nie zostało nic, taka nawet szczypta popiołu, żeby na niej mogła jedna łza spocząć. W głębi serca zdumiewając się nad ową surową różnicą dwu egzystencyi tegosamego człowieka, stanu młodzieńca i stanu trzydziestokilkoletniego mężczyzny, tak odmiennych, jak byt gołębia chyżo lecącego pod chmurami odmienny jest od bytu jaja, z którego się wylągł, — a jednocześnie kombinując związek logiczny między bieżącemi zdarzeniami, podróżny nasz stanął przy wagonach. Konduktorowie chodzili zwolna tam i napowrót, mrucząc od niechcenia.

— W Morysow, Tarcice, Palenisko...

— A gdzie jest wagon dla niepalących? — zapytał grzecznie Raduski pierwszego z brzegu.

— Dla niepalących? Ij... Ano, niech pan idzie naprzód. Pierwszy wagon...

Ów pierwszy wagon był nie tylko „palący“, ale wszystkimi otworami swymi wydzielał dym z machorki i cygar, wonny, jakby ze spalenia kupy badylów kartoflanych w drugim tygodniu września. Na ławkach, półkach i pod ławkami mieścił się tam lud izraelski, zajęty konwersacyą niewymownie ożywioną. Raduski stał we drzwiach przez chwilę i upatrywał dla siebie jakiegokolwiek miejsca, ale go nie

znalazł. Zeskoczył tedy znowu na peron i wgramolił się do innego wagonu klasy trzeciej, nie zasięgając już u konduktora informacyi. Był tam tłok jeszcze większy, aczkolwiek aryjski. Dym zresztą posiadał ten sam zapach kapuściano-kartoflany. Panowała tu jeszcze większa swoboda ruchów, niż w przedziale semickim, były zajęte nie tylko miejsca, ale nawet przejścia. Dopiero w trzecim wagonie wędrowiec trafił na wolny brzeżek ławki i tam z ochotą przysiadł. Słychać już było sygnały konduktorskie, gdy do tego wagonu obydwoma wejściami wpadła nowa gromada ludzi i zapchała go tak szczelnie, że szpilki jużby tam nie wepchnął. W przejściach między ławkami stało po pięć i sześć osób, dróżka wzdłuż wagonu była tak zaludniona, że drzwi wewnętrznych żadną miarą nie można było otworzyć. Pociąg ruszył. Nos i usta Raduskiego znajdowały się wobec rozpiętego surduta i rozpiętej kamizelki, obejmującej pokaźny brzuch jednostki, której korpus chroniła od upadku wysunięta półka. Obok siedziały dwie małe dziewczynki, dawniejsze towarzyszki podróży, siostry prawie tego samego wieku, przytulone do matki, ciotki, czy babki w salopie ze staromodnym kołnierzem. Na twarze ich, poobwiązywane chustkami, padał z okna nikły blask i dał je poznać Raduskiemu.

Siedziały, jak dawniej, uroczyście wyprostowane, o ile na to zezwalały plecy, brzuchy, ręce, wspierające się na nich co chwila, jak o martwe zawiniątka i pakunki, — i wytrzeszczały oczy w podziwie, przechodzącym częstokroć w strach rzetelny. Starsza pani usiłowała chronić je od zgniecenia,

zasłaniać od uderzeń licznych łokciów, ale sama wkrótce dostała wyraźne, a niby nieumyślne szturchnięcie i apostrofę, poczem dała pokój wszystkiemu. Za plecami dziewcząt, na ławce, mającej wspólne oparcie, siedział jakiś pasażer w szopach bardzo wytartych i kapeluszu, t. z. melonie. Żółtawa twarz, której barwa znajdowała się w zależności bezpośredniej od piwa „słomkowego", łączyła się tak samo z rudym kołnierzem futra, jak kształt czaszki z formą przypłaszczonego kapelusza. Odwracając nieco na bok głowę, Raduski widział biust tego sąsiada, którego głos słychać było w całym wagonie. Wśród mnóstwa anegdot starych, jak jego futro i nie większą mających wartość, które wygłaszał tonem donośnym, żeby go mogła słyszeć przynajmniej połowa osób w przedziale, rudy obywatel wtrącał od czasu do czasu:

— A ty, parchu, bierz chałat w troki, pókim dobry i nie czekaj na moją ostatnią pasyę!

— Co pan się wtrącisz w nie swój interes...— krzyczał w odpowiedzi kilkonastoletni żydek, skromnie siedzący na końcu ławki. — Co pan jesteś fagas od wyrzucania ludzi z tego wagonu?..

Właściciel spłowiałego futerału robił minę, że nie słyszy. Opowiedział z talentem najbliższym sąsiadom nowy „kawał", a ledwie go skończył, wnet szepnął przyduszonym głosem:

— Idź stąd, żydzie starozakonny, bo, mówię ci, z kwikiem wieprzowym wylecisz. A do żydowskiego wagonu, śmierdzielu!

— Mnie i tu wolno, ja mam *bulet!*

— Choćbyś i miał *bulet*, to ja ci perswaduję,

jak tkliwa matka rodzonemu dziecięciu, nie siedź koło mnie, skoro cię stąd wypycham, bo w przeciwnym razie będę zmuszony tak ci dać w oko, że cię wprost z tej ławki w białej trumience wyniosą na *kirkut*...

— Co pan myśli, czy ja tosamo nie mam pięści na oko?

Ledwie izraelita słów tych domówił, rozległ się krzyk jego, cały tłum osób, stojących wokoło ławki, zakołysał się na nogach...

— Gwałt! — wrzasnął żydek... — *gaspadin* konduktorze, co to jest... rozbój, rozbójnik, rabuś!

— Milcz! — wrzasnął pan w szopach, który go przed chwilą zepchnął był z ławki.

Co to milcz! Ty sam milcz, złodziej! — zaczął na całe gardło wrzeszczeć pokrzywdzony.

— Nie piszcz mi tu, żydzie! Czego na mnie włazisz? Prać go w ucho bez gadania! — wołało teraz kilkanaście głosów.

Udzielono mu nadto z tylu stron admonicyi pięściami pod boki, że się całkiem udobruchał i skromnie stanął w tłumie. W samym środku wagonu mieścił się okrągły piec żelazny i właśnie o tej porze bryły węgla, zatlone przy wyjeździe ze Sapów, rozżarzyły się w nim na dobre. Pasażerowie siedzący i stojący bez ustanku ćmili tytuń. Zaduch, dym i brak powietrza były nie do zniesienia. Bardzo ucierpiały dwie małe sąsiadeczki Raduskiego. Jeden z pasażerów, usadowiony prawie na nich, wysunął się był cokolwiek dla zbadania czegoś, co się hałaśliwie działo z tamtej strony pieca — i małe panienki odetchnęły, ale wnet wejrzenia ich znowu

sposępniały. Na przeciwległej ławce siedzieli, żywo rozprawiając, dwaj kawalerowie, z których młodszy kopcił papierosa za papierosem, a strugi dymu z nadzwyczajną równowagą umysłu puszczał prosto w twarz starszej, zapewne siedmioletniej dziewczynki. Wypalił w ten sposób jednę sztukę, drugą i sięgnął właśnie do pudełka, żeby poczęstować towarzysza, gdy starsza z dziewcząt otrząsnęła się szczególnym ruchem i zwiesiła bladą twarzyczkę. Za chwilę dostała mdłości. Raduski szybko rozepchnął gadających sąsiadów, spuścił okno i zwrócił się do wszystkich z grzeczną prośbą, żeby się na czas pewien wstrzymali od papierosów. Młodzi ludzie rzucili na niego wzrokiem zdumionym, jakby przemawiał w języku malajskim, i podjęli dalszy ciąg rozmowy. Nim upłynęła chwila czasu, dziecko przyszło do siebie, a okno trzeba było zamknąć, gdyż pewien bladożółty jegomość z szerokim nosem, śpiczastą brodą i wyrazem kwaśno-wilgotnego pesymizmu na melancholijnem obliczu wołał z trzeciej ławy, że dostaje zapalenia w prawem płucu. Skoro tylko szyba podniesioną została, sąsiad z przeciwka wydobył swoje niewyczerpane pudełko, częstował towarzysza i wziął się do zapałek.

— Panie, — rzekł do niego Raduski — nie pal że u licha choć chwilę! Widzisz przecie, że dziecko z tego dymu omdlewa...

Młodzieniec uśmiechnął się w sposób niezdecydowany, wstrzymał w ręce zapałkę, ale i cygaretki z ust nie wyjął.

Właśnie podówczas szedł wzdłuż wagonu nadkonduktor w towarzystwie swego asystenta—i oba-

dwaj z chwalebną pieczołowitością zajęli się badaniem, czy każda z osób ma prawo korzystać z dymu i zaduchu w pozie, jaką jej wyznaczył srogi los na spółkę z oszczędnością akcyonaryuszów. Raduski zwrócił się do tych urzędników z żądaniem, ażeby mu wskazali przedział dla niepalących i ażeby go tam wraz z małemi sąsiadkami zaprowadzili. Okazało się, że takiego *asilum* w pociągu niema.

— Publika wszędzie kopci, proszę pana, cóż my na to poradzimy... — rzekł nadkonduktor, badając bilety.

— To mię pan prowadź do klasy drugiej. Te dzieci są chore...

— W drugiej klasie tłok taki sam, a może i gorszy. Jedna rzecz, co jest, to zrobić z tego wagonu niepalący.. Weź no pan, przekręć tabliczkę— zwrócił się starszy do konduktora. W krótce nad drzwiami widniała sentencya, zabraniająca palić. Obadwaj konduktorowie powtórzyli przepis ustnie, ale bez skutku. Katolik w szopach, który poróżnił się był niedawno z sąsiadem semitą, wstał ze swego miejsca i ostentacyjnie zapalił cygaro. Tosamo uczynili natychmiast dwaj młodzieńcy. Pan w szopach, obgryzając koniec swego kapustosa i nackół wypluwając włókna, rzekł:

— Dopiero był palący, już *niekuraszczy*... A mnie co obchodzi? Komu dym kręci w nosie, to niech rznie do pierwszej klasy.

— Ależ kiedy pan nie chce zwrócić uwagi...— żołądkował się Raduski,— że to nie o starszych mowa, bo starszy wytrzyma, ale dziecko dostaje mdło-

ści. Jakże można? Słyszał pan, że niema innego miejsca.

— Dziecko... mdłości. Mnie ta te mdłości zawsze idą na zdrowie i tej hrabiance nie zaszkodzą...

— Cha-cha-cha... — zaśmiali się sąsiedzi. Pan Jan skompromitowany zamilkł. Wódz palaczów, pewny teraz sukursu, mierzył go wzrokiem tak wyzywająco-zaczepnym, jakby w górnych, miarodajnych sferach jego czaszki, skrytej w głębi „melona", rozbrykane piwo chlebotać się poczęło w sposób burzliwy i niebezpieczny. W samej rzeczy zwycięstwo tytuniu było coraz oczywistsze. Obok dwu młodych ludzi palących, a za plecami jegomości w rozpiętym surducie, dał się słyszeć trzask zapałki i nowa fontanna dymu skierowała się ku sufitowi...

Przy samych drzwiach stał krępy człowiek w granatowej czapce i paltocie z aksamitnym kołnierzem gorszego gatunku. Twarz jego, ruchy i sposób bycia zdradzały robotnika, czy rzemieślnika. Gawędząc z sąsiadami, wtrącał wiele wyrazów fachowych, jaskrawych i malował rzecz nadzwyczaj wyrazistymi giestami. Gdy nowy palacz zaciągnął się dymem i wypuścił go z ust pod nos siedzącym, ów ruchliwy pasażer rzucił okiem na wszystkich i rzekł kategorycznie:

— A też panowie to sobie poczynają nie jak panowie, ale nieprzymierzając, jak *świnie!*..

Pan w szopach uczuł się dotkniętym i odrazu, pchając przed sobą wszystkich z zamiarem, widać, starcia z nowym anty-palaczem, groźnie mruknął:

— *Dźisz* go! Drugi kaznodzieja! Właśnie, że będziemy palili i cała rzecz, a pan stój i ujadaj!

— Ale kopć, panie! Każdy będzie trzymał swoje: pan swojego cagarusa, ja swoje słowo...

Ryży obywatel łypnął białkami raz i drugi, nie znalazłszy, widać, punktualnie w umyśle swym ciętej repliki. Nawet i w parę chwil później mruczał tylko przez zęby i wąsy grubiańskie wymysły, ale dowcipnego słowa nie urodził. Młódź, paląca za jego inicyatywą, przeszywała wprawdzie kaszkietowego złowrogiemi oczyma, ale również zatopiła swe wzburzone uczucia w pomruku nieparlamentarnym. Jan Raduski był aż nadto przyzwyczajony do wszelkiego rodzaju scen wagonowych. Zdarzało mu się widzieć, jak podochocona publika, wskutek jakiegoś przewinienia względem niej kasyera stacyi, szturmem brała dworzec, bufet, wagony, pędząc z nich na cztery wiatry wszystko, co żyło, i odbywała wojaż według swej chęci. To też wystąpienie obywatela w kaszkiecie bardzo mu przypadało do smaku, było mu tak miłe, że tego słowem opisać nie można. Z za ramienia pasażera stojącego patrzał ciągle na swego adherenta i postanowił zaznajomić się z nim niezwłocznie. Tymczasem tamten, wciąż ciskając śmiałe wejrzenia między gremium palące, przedostał się ku środkowi wagonu za piec, gdzie już oddawna umiejscowiona była jakaś heca. Dawały się stamtąd słyszeć ciągłe okrzyki, sprzeczki, groźby, przyduszone szepty i chóralne śmiechy. Raduski wstał ze swego miejsca, ustąpił je otyłemu sąsiadowi, a sam przecisnął się na środek i wyjrzał z za pleców mężczyzn pochylonych. Bawiono się tam hazardownie w szczególną grę. Wysoki i chudy młodzieniec z miną

kryminalisty trzymał w ręku długi, cienki i wąski rzemyk skórzany. W oczach wszystkich ujmował palcami prawej ręki jego dwa końce, lewą—miejsce, gdzie przypadał środek i od tego środka zwijał rzemień w ścisły rulon. Gdy zeń utworzył płaski krążek, kładł go na ławie i proponował komukolwiek, żeby cienkim drutem trafił w środek.

— Stawiasz pan *fajgla*, ja stawiam *fajgla* — i granie idzie... — mówił tonem tak andrusowskim, że Raduski zaśmiał się mimowoli. — Widzisz pan, przecie, że biorę za końce paseczka, widzisz pan, że cięgnę... — gadał dalej wysmukły. Jeśli drucik zostanie panu, skoro cały rozkręcę, między dwiema połówkami paska, rubelians pański, jeśli zaś będzie „na polu" — rubelians mój. Rozumiesz pan przecie?..

Drucik zawsze zostawał „na polu" i rzadko kiedy trafiał „w opłotki". Czasami, gdy rozwścieczony gracz domyślał się jakiegoś złodziejstwa po przepuszczeniu kilku „rubeliansów", drucik trafiał w „opłotki" i ochota do próbowania szczęścia wzmagała się znowu. Jegomość w kaszkiecie przez czas pewien ognistym wzrokiem przypatrywał się tej grze, przekrzywiając głowę z ramienia na ramię. W pewnej chwili, gdy ostatni z ryzykujących szukał po kieszeniach „fajgla" i w żadnej go znaleźć nie mógł, stronnik Raduskiego zawołał:

— Stawiam dwadzieścia kop!

— Idzie granie...—powiedział właściciel paska, wznosząc ku górze białą źrenicę. Okazało się, że nowy gracz trafił w środek i zabrał czterdzieści groszy. Nie zwlekając, postawił obiedwie czterdzie-

stówki — i wygrał. Wówczas puścił w kurs tylko jednę i zwyciężył.

To jego szczęśliwe prowadzenie druta powitano ze wszech stron cichym szmerem. Błyszczące oczy wpijały się w ruch palców, rozchylone usta pchały je, zdawało się, namiętnym oddechem. Żywy robotnik wygrał jeszcze kilka razy, ale niespodziewanie szczęście go zdradziło. Poczytywał to za chwilowy *lapsus* oka, gorączkował się, stawiał coraz więcej i brnął w przegraną. Śmiech, rozlegający się dokoła jego uszu, nękał go i prowadził w pasyę coraz większą. Strugi potu lały się z jego czoła...

Raduski, schylony nad tą ławką, patrzał w twarze grających, jednę po drugiej badał ciekawym wzrokiem. Dopiero świst lokomotywy zmącił jego myśli.

— Morysów... — wymówił ktoś od niechcenia.

W istocie pociąg zatrzymał się i znaczna liczba pasażerów wysiadła z wagonu. Przez otwarte drzwi wleciały kłęby zimowego powietrza i sprawiły ulgę dziewczętom, do których Raduski wrócił znowu. Starsza z nich wciąż była żółta i miała oczy zamglone, to też pan Jan, uzyskawszy zezwolenie damy w salopie, wyprowadził omdlewającą na peron i przeszedł się z nią tam i napowrót. Dokoła stacyjki czerniał las sosnowy. Wrony z krzykiem przelatywały z drzewa na drzewo; daleko wśród lasu słyszeć się dawał łoskot siekiery. Żelazne szyny drogi za lokomotywą biegły z początku prosto, a następnie zginały się nieznacznym łukiem i niknęły między drzewami.

— Tam pojedziemy... — szepnął Raduski niby

to do dziewczynki, czując, jak się w nim szarpie rozdrażniona, nie cierpiąca zwłoki żądza ujrzenia skrytego za lasem widoku. Wkrótce uderzył drugi dzwonek. Trzeba było wracać do wagonu. Miejsca tam już było nieco więcej, ale zawsze kilka osób stało pośrodku. Zaledwie pan Jan z towarzyszką zdobył nanowo jej miejsce, zjawił się we drzwiach duży tobół w kraciastej chustce, a za nim staruszka, pchająca go po schodkach i we drzwi. Głowę miała owiniętą w chustki tak szczelnie, że widać było tylko twarz pomarszczoną, wargę wysuniętą i rzadkie zęby. Za pierwszą szła druga kobiecina w wieku, chuda i równie opatulona. Skoro tylko dźwigająca tobołek stanęła przy drzwiach, zaczęła mówić niewiadomo do kogo w sposób uroczysty, jak w chwili przesłuchania na sądzie:

— Jechaliśmy — wołała, głośno ciapiąc długiemi wargami, — z panią Pisarkiewiczową do dom i bzdurzylimy se gadu-gadu... Aż tu stacya. Pani Pisarkiewiczowa powiada: Palenisko. A boś pani najpierwsza powiedziała!.. No, jak Palenisko — my za toboły i *szast* z kolei na ziemię. My do miasta, niby na Palenisko, a tu niema. Stoi jakisi cudaczny budynek, przy nim obora, a dalej las, jak sadze. Jezu! zawołałam ja pierwsza, cóż to to jest takiego?... Stanęlimy, patrzymy się, a tu koleja pychu-pychu, pychu-pychu... poszła! Wczoraj się to zdarzyło, przed północkiem. Święta Domicelo, powiedzielimy z panią Pisarkiewiczową, a to my, widać, nie w Palenisku wysiedli... Dwa kuferki, jeden mężusiów, drugi pani Pisarkiewiczowej na bagaż nam

zdać kazali w Sapach. Cóż tu będzie teraz, ludzie kochające?..

— A cóż ma być, trza się było pilnować, — mruknął ktoś z kąta — mąż pogrzebaczem plecy wyłoi, to i po bólu.

Pani Pisarkiewiczowa strzeliła okiem w tamtym kierunku, a staruszce mówiącej przez ten czas długa warga ruszała się mechanicznie i szybko, jak sprężyna silnie przyciśnięta, a później wolno puszczona.

— My do naczelnika, — zaczęła, skoro tylko nastręczył się czas przemawiania, — opowiadamy, jak, co, pytamy się, upraszamy — nic. Ręce rozłożył, — do jutra, mówi, panie zaczekacie, do popołudnia, a dopiero, mówi, bilety na nic, a rzeczom, mówi, nic złego się nie stanie, a tam mężuś miał czekać z kobyłką uproszoną od Zielińskiego, bo do *nasz*, niby do kuźni, dziewięć, a no tak, albo ośm, albo dziewięć *wiorszt*... Zdębiałymy z panią Pisarkiewiczową. Tu funduszu mamy na kupie niecałą czterdziestówkę, a tu mówi, bilet nowy kup — i jeszcze weź i nocuj! Zafrasowalimy się...

— Ale mężuś pogrzebaczem wypierze, to niema o czem gadać. Sprawa skończona...

Starowina przerwała opowiadanie i zawstydziła się. Blade rumieńczyki ubarwiły jej zmarszczone jagody. Wkrótce jednak przyszła do siebie i pytlowała dalej, wszelako cichszym głosem i zwracając się do najbliższych sąsiadów:

— Kupilimy na noc u bufeciarzów dwa kubki herbaty i po bułce, po kajzerce. Te bułki my wdrobili do herbaty i była wieczerza, a zapłaciło się za toto

ośmnaście groszy. Spać nam kazał *potjer* na sali między chłopiskami. Tak my ta leżeli na drewnianych ławach z tobołami pod głową. Stękania było więcej, jak czego. Teraz my do wagonu, ale co ta może być z tego, to już nic nie wiem. Chyba, że wyrzucą... My bez biletów jedziemy! — krzyknęła raptem z tak rozpaczliwą determinacyą, jakgdyby wyznawała publicznie, że jest morderczynią.

Pewien pasażer usunął się nieco i zrobił jej miejsce. Zaraz, wdzięcznie dygając, przysiadła, tobołek umieściła na kolanach i, splotłszy dłonie, objęła go rękami. Wypadek ten rozbił znowu fale jej elokwencyi. Wargi tylko pracowały bezdźwięcznie. Czasami padał z nich projekt jakiegoś zdania:

— Nie wiem nawet, co tu z nami może być takiego...

Ruch wagonu, atmosfera ciepło-duszna i spoczynek w trakcie wzruszeń — wnet uśpiły babinę. Oczy jej coraz bardziej zasłaniało bielmo, wargi ruszały się coraz wolniej, głowa szła w różne strony. Towarzyszka niedoli, pani Pisarkiewiczowa, stała niedaleko w grupie mężczyzn głośno rozprawiających i, wpatrzona w okno, posępnie, ze ściśniętemi usty milczała. Gdy bezwładnie opadnięta dolna warga wskazała, że jejmość wymowna śpi na dobre, Raduski wszczął tajemnicze konszachty ze starszą panienką, którą przedtem oprowadzał po peronie stacyi Morysów. Dziewczynka rzucała pytające wejrzenia to na swą opiekunkę, to na Raduskiego, na śpiącą obok pasażerkę, wreszcie na prawą dłoń swoją, w której coś trzymała. Twarz jej naprze-

miany płonęła i bladła, szeroko rozwarte oczy wyrażały głęboki niepokój. Za chwilę wszystko to w niej jakby przycichło Zsunąwszy się na ziemię, dziewczynka ta zbliżyła się nieznacznie do śpiącej, stanęła bokiem i, nie podnosząc rąk, wsunęła jej między splecione dłonie papierową trzyrublówkę. Wykonała to tak zręcznie, że nikt z obecnych nie zauważył tej operacyi, a staruszka w dalszym ciągu spała bez odmawiania sobie nawet kowalsko-mazowieckich melodyi chrapickiego. Obiedwie siostry przytuliły się teraz do siebie i strzygły oczyma, śledząc każdy oddech, każdy ruch śpiącej. Kiedy niekiedy jedna z nich trzęsła się na znak, że „ta pani“ już się budzi. Wtedy druga uciszała ją nakazującem podnoszeniem brwi i mową oczu...

Raduski wyszedł cichaczem z wagonu, stanął na jego platformie, wsparł się łokciami o gruby pręt żelaznej balustrady i patrzał w krajobraz. Naokół stały otwarte, płaskie pola. Śniegi leżały tam jeszcze głębokie, ale już zestarzałe i jakby zniszczone. Zaspy, porozrzucane przez dawne burze, zmiękłe do głębi w odwilżach, wystygłe w mrozach, jak daleko wzrok sięgał, zasmucały widok nieruchomemi formami. Ostre grzbiety skib roli, jesienią uprawionej, widać już było gdzieniegdzie. Dzikie wichry lutego zdarły z nich nietylko śnieg, ale rozbiły i zdmuchnęły grudy piachu. Na całym obszarze skorupy śniegowej leżały po wierzchu żółtawobure płaty i smugi, z kształtu przypominające jakby ułamane i zardzewiałe groty dzid tytanicznych, któremiby w ciągu nocy zimowych walczyły ze sobą płanetniki wichrem porwane. W dali szarej, bez

cienia błękitu, tkwiły topole, ze mgły ledwo wydzielone, jak obdarte pióra, idące alejami dokądś, na kraj świata. Bliżej stały w polach tu i owdzie małe zagajniki brzozowe, albo samotne i napół uschnięte dzikie gruszki.

Czarno sine, wystrzępione, pierzaste, kłębiące się chmury mknęły na niebie w poświstach ostrego wiatru. Niekiedy przelatywał obłok czarniejszy, niż inne, wlokąc za sobą przez martwe pola cień swój żałobny. Kiedyindziej licho wie skąd leciały krople deszczu nieliczne, rzadkie, dziwnie chłodne. Krople te cięły w twarz, niby grad, a do szyb wagonu przystawały w formie ostrych kryształków i długo się na nich szkliły. Czasami wśród zwałów chmur odsłaniał się nieforemny strzępek śmiertelnie bladego błękitu i prędko ginął z przed oczu. Raz tylko wyłamał się spomiędzy obłoków i spadł na ziemię jasny promień słońca. W postaci wielkiej, białej plamy gnał wśród równin, ścigany przez gęste cienie, roztrącał matowe, przygasłe, zatrzymane w chmurach, jakby chorowite światło dzienne. Leciał po śniegach, po martwych skibach, po przeziębłych i zeschłych szkieletach krzewin, po badylach i źdźbłach, śpiących w letargu, nie znajdując miejsca, niby gołębica Noego, gdzieby wytchnąć i żywej ziemi, którąby mógł ogarnąć i ukochać miłosnem światłem swojem, z niczego rodzącem wiekuiste życie.

W ślad za tym promieniem szły oczy Raduskiego w kraj, w poprzek onej dalekiej, dalekiej strony, a spragniona dusza nasycała się żywiącym blaskiem, jak pierwsza lepsza obumarła bylina wśród wygonu...

Pociąg minął Tarcicei zatrzymał się w Palenisku. Była to najbliższa stacya od Niemrawego, wioszczyny, gdzie Jan Raduski urodził się, chował, gdzie żyli długie lata i gdzie pomarli jego rodzice. Za biedną, brudną, pełną żydów mieściną, która leżała z drugiej strony plantu, na pochyłem zboczu wzgórka widać było drogę wysadzoną wielkiemi drzewami. Daleko, pod pierwszym lasem od tego traktu zbaczała „polska“, jednotorowa droga, prowadząca ku Niemrawemu. Raduski stanął wśród peronu i wytężył wzrok w swoją stronę. Tamtędy właśnie jechały ze wzgórza sanie chłopskie, zaprzężone w jedną szkapinę, truchtem biegnącą z prawej strony dyszla. Chłop w kożuchu i „wściekłej“ baraniej czapie siedział na przodku między kłonicami.

— Choćbym też zabrał się i pojechał, albo i poszedł... Może to chłop z Niemrawego...— myślał Raduski. Działo się z nim coś dziwnego. Wyraźnie, jak tylko można, czuł w płucach swoje powietrze, a w sercu ból owej nierozerwalnej żyły, jaką człowiek zrośnięty jest z mogiłami. Oczy jego poznawały zarysy mgłą przesłoniętych lasów, jak się poznaje i wita dawno niewidziane twarze osób kochanych. Bardzo daleko, już jakby w chmurach deszczowych, wzrok jego dosięgnął jednej smugi wysuniętej, którą zdawał się wciągać w szarą próżnię tuman, zalewający widnokręg. Gdy pociąg ruszył, Raduski stanął przy drzwiach między rozmawiającymi. Słyszał, że obudzona babka znowu prawi głośno, chwytał uchem ton, nawet sens jej mowy, ale nie był w stanie zająć tem myśli, w któ-

rej, jak dźwięk najczarowniejszy, słaniało się przezwisko dopiero co widzianego lasu: Bukowa knieja, Bukowa knieja...

— Państwo kochające,—wołała stara, piastując w ręce banknot trzyrublowy, — a i cóż toto może oznaczać? Zdrzemnęłam się. Widziałam we śnie barana z czarnemi rogami, a leciał na mnie tak jakby z góry Widuchowej, czy co... Budzę ja się, ruszam palicami: cosi chrupi w palicach... Ja spojrzę... Święta Domicelo z Pałąków, a i cóżby toto mogło znaczyć?...

Nikt nie zwracał uwagi na monolog starej, gdyż wszyscy prawie zabierali się do wysiadania w Łżawcu. Wstawano z ławek, ściągano z półek węzełki, pakunki, wdziewano zwierzchnie okrycia i prostowano kości.

— A więc, kochany Karolku, wesołego alleluja!—zawołał ktoś na końcu przedziału.

— Prawda, — pomyślał Raduski, — toż to jutro Wielkanoc. Czuł, że za uczuciami jego, niby cień za człowiekiem w słoneczne popołudnie, idzie i uwija się nieuchwytny zabobon: czy też to szczęście powrotu, to zupełne, bezwyjątkowe, zdecydowane ziszczenie marzeń lat tylu nie kryje w sobie jakiejś zemsty i kary straszliwej?...

Długi świst lokomotywy wszystko przerwał. Raduski wyjrzał przez szybę i daleko, u końca płaszczyzny zobaczył stare, znane dachy, mury, chałupy i wieże, królujące nad niemi. Pociąg rznął teraz szybko przez puste obszary, mijał drogi, wysadzone wielkiemi drzewami, podmiejskie chaty, cegielnie, nowe budy i dawne rudery. Stanął wresz-

cie u celu. Jakiś posługacz wziął z rąk wędrowca tłumoczek, kartę na odbiór bagażów i wyprowadził go przed dworzec. Dorożki z hałasem zajeżdżały i ruszały z miejsca, naokół snuli się tragarze w bluzach, żydzi coś proponujący... Raduski wsiadł do pierwszego z brzegu powozu i, zanim przyniesiono rzeczy, patrzał na miasto. Wzruszenią jego ustały nareszcie, czuł w sobie spokój. Dzień się miał ku zachodowi. Wiatr ucichł, a raczej odwrócił się i wiał teraz ze strony południowej, wolno dźwigając stamtąd na barkach gromadę chmur, które kryły czyste niebo. Wielkie słońce płynęło ku ziemi, tonąc w wylewie krwawego światła. Dwie, trzy zgubione przez wiatr chmurki stały w tym przestworze ognistym, jak same barwy, z niczego złożone, podobne do cudownych, niedbałych marzeń, błądzących nad otchłanią bytu, który się walką karmi, a płodzi boleść. Blask zachodu oświetlał wieżę największego z kościołów łżawieckich. Zbudowano ją, jak wieść niosła, w wieku trzynastym. Nawa i presbiteryum, do których niegdyś przypierała, uległy były pożarowi, runęły w gruzy; — na ich miejscu wzniesiono inne; — i te kilkakroć przebudowano, a stara wieża nienaruszona długie wieki wytrwała. Rudo-zielone mchy ją oblazły, czerwona dachówka, nakrywająca szczyt urwany raptownie, spłowiała, jak stara, sponiewierana czerwona czapka. Już zdala widać było ogromne głazy, tworzące nierówne boki tej wieży, z jednej srony ścięte pod kątem nadzwyczaj ostrym, z drugiej prawie okrągłe. Małe okienka-strzelnice w rozmaitych punktach czerniały na jej powierzchni. Raduski nie mógł oderwać wzroku i duszy od tego

budynku. Myślał o długotrwałym trudzie, o wysiłkach rąk, nóg, grzbietów; w prędkiem zachwyceniu widział zmordowane twarze, potem krwawym ociekające, wejrzenia ich omdlałe pod ciężarem kamienia i naczyń rzadkiego wapna, słyszał stękanie, ciche westchnienia zamknięte w piersiach, zdołał nawet wmyśleć się w wiarę ich prostą, ledwie otłuczoną, jak tamte kamienie, a tak surowo mocną, jak one. Dla wiecznego Boga dźwigali bryły na wysokość, dla Niego złożyli nędzę swego bytu, krzywdę położenia, mękę ciała i ducha. To też w tych bulwach spał zaklęty talizman potu i łez owej trzody roboczej dawnego świata... Walizę ustawiono wreszcie na przedniem siedzeniu i „drynda“ ruszyła ku miastu. Pierwsza ulica wjazdowa posiadała te same jamy w bruku, te same do cna zdeptane chodniki, wygięte i spróchniałe parkany. W pewnem miejscu czerwienił się nowy dom piętrowy, jeszcze nie ukończony. Dorożkarz odwiózł Raduskiego przed bramę hotelu *Imperial*, zaspany lokaj wprowadził go do stancyi zimnej, jak psiarnia, a ponurej i złowrogiej, niby jaskinia zbójów. Numer ten miał jeden tylko cenny przymiot: zachlapanem swojem oknem spoglądał na basztę. Widać ją było całą w promieniach gasnącego słońca. Raduski stanął przy oknie i począł snuć dalszy ciąg swoich rozmyślań, a raczej fantastycznych marzeń o dawnym murze. Stał tam długo w przedziwnem zapomnieniu o wszystkiem innem na świecie. Oczy jego patrzały na „Starą“ przez pryzmat uczuć dzieciństwa, przez perspektywę wszystkich smutków i radości, których ta ruina była świadkiem i jakgdyby sędzią. Dusza

wchodziła nanowo w jakieś niewysłowione z nią powinowactwo, w zakon braterski, którego istotne znaczenie, sens i wartość schowane były w ślepej skrytce serca, zamkniętej nawet dla niespracowanej badaczki, dla owego żyda wiecznego tułacza, — dla świadomości. Blaski słoneczne gasły na wyniosłych murach i znikały, jakby zstępując do grobów, w czarnej ziemi wykopanych. Dzień zwolna wlewać się począł w noc szarą.

Raduski wdział prędko swój lekki paltocik i ruszył na miasto. Ulice były puste, sklepy zamykano. Ciepłe przeciągi wiatru szły wzdłuż i wpoprzek Łżawca, topiąc do reszty śnieg zmokły, czarny, obracając bruki w topiele i bagna. Na dachach, szczytach murów, między drewnianemi budowlami, w okolicy śmietników i stajen wałęsała się para. Zewsząd leciały i płynęły strugi nie tyle wody, ile brudnej cieczy. Tam rynna, przed laty pęknięta, darzyła obfitą wilgocią ścianę przylegającą i brzydka plama z odcieniem zielonkowatym, niby głębokie rozranienie, gnoiła się na froncie starego domu. Gdzieindziej z pod urwanego tynku wyzierał znaczny plac rdzawych cegieł, jak żebra i wnętrzności awanturnika, uszkodzone w nocnej bijatyce. Raduski zaglądał w pewne dziedzińce i sionki, które, wydawało się, noc ogarnęła na wieczne władanie. Ze szczególnym pietyzmem zwiedził podwórze, gdzie onego czasu grywał w *ekstrę*. Brakowało tam aż do tej minuty kamieni, które wówczas wyrwano z bruku w celu oznaczenia met dla *matki, rewizora i pitaków*. Gdy stał na tem miejscu, zdało mu się, że w mury, okalające z trzech stron podwórze, bije

dziecięcy krzyk towarzyszów i jego własny, że z drewnianej galeryi, biegnącej wokrąg dziedzińca, słychać prędkie kroki uczenic, które tam mieszkały, dwunastoletnich boginek o długich, jedwabnych, płowych włosach, o cudnych, lazurowych oczach, przeczystych, jak toń krynicy... Dopiero co wypełniła serce po brzegi radość na widok tych miejsc, a oto już samej rzeczywistości było mu nie dosyć,— szło dalej, w kraje wspomnienia, a stamtąd znowu dalej i dalej...

Zmrok padał i ukrył w sobie cały Łżawiec od przedmieścia do przedmieścia. W krzywych ulicach i na rynkach płonęła gdzieniegdzie latarnia, kopcąc bezustanku, jakby to stanowiło jedyną jej rozrywkę w trakcie nudnej misyi oświetlania dziur łżawieckich.

Wszystkie sklepiki, nie wyłączając żydowskich, szczelnie zamknięto, wskutek czego ulice były podobne do korytarzy w katakumbach. Świeciło się jedynie w oknach mieszkań i Raduski, wędrując w ciemności z zaułka w zaułek, widział czasem jakiś profil, albo cień kobiecy, rysujący się na szybie. Każda z tych sylwetek przykuwała jego uwagę, ciągnęła myśli do mieszkań, przejmowała serce mazgajskiem pragnieniem czułości. W mrocznych kątach włóczęga nasz potrącał od czasu do czasu jakiegoś człowieka, błagał o wybaczenie tej winy i szedł dalej. Z miejsc pryncypalnych odpłynął na przedmieście, zwane Placem Targowym. Za czasów uczniowskich, przed piętnastoma laty mieszkał był w tej okolicy. Znał tam każdą ruderę, każdą dziurę, każdy rów, znał przyległe pola, krzaki i las w są-

siedztwie. Pewien wyniosły punkt w tej stronie dawał widzieć „knieje“ niemrawskie, oraz na dużej przestrzeni białą smugę szosy, *do domu* idącą. Raduski minął ostatni budynek i wlókł się noga za nogą. Wiedział przecie, że ani lasu, ani odległej drogi nie zobaczy, chciało mu się jednak patrzeć z owego wzniesienia ku swej ojcowiznie, w swoję własną noc... Drzewa wiekowej miejskiej alei skończyły się. Błotnista szosa ciągnęła stamtąd między głębokimi rowami w martwe grunta, nie ozdobiona ani jedną krzywiną. Strupieszały lód stał jeszcze na kałużach, ale już rozłaził się pod stopą. W bróżdach i kanałach szeptały cicho drobne ścieki wody. Z południowej strony tchnął ciepłem dobry wietrzyk, ogrzewający nie tylko ziemię, ale i biedne serce ludzkie. Raduski przeżywał istotnie rozkoszną chwilę Wybaczył życiu wszystkie zniesione cierpienia, nie lękał się przyszłych, czuł, jak mocno spojony jest z owym dawnym uczniakiem, o którym tegoż dnia sądził, że nic z nim samym nie ma wspólnego. Rozpychała mu piersi fizyczna i duchowa satysfakcya wędrowania w ciemną noc przez głuche pola. Ileż to razy chodził tą drogą latem i zimą, niosąc w sobie zupełnie tę samą uciechę! Obecna była tylko daleko głębsza i większa. Jak nigdy czuł się na siłach do zaczęcia nowego życia, do pracy podwójnej, potrójnej, z czterykroć mocniejszym uporem miłości. Plany, dawno, całymi okresami czasu roztrząsane, w tym momencie staliły się, przeistaczały prawie w czyny, jak żelazo młotem obrobione, skoro je nareszcie cisnąć w wodę. Gdy tak szedł głęboko w sobie zatopiony, usłyszał

raptem na drodze i obok wśród pola chyże kroki. Stanął i patrzał w ciemność. Wtem prędzej uczuł, niż dostrzegł przed sobą wysokiego człowieka.

— Panie,—rzekł ten człowiek,—gdzież to pan idzie?

Raduski, przywykły do napaści nocnych i obrony, z brzmienia głosu poznał, że to jest mężczyzna z wielką siłą fizyczną. To też niezwłocznie prawą ręką dobył z kieszeni rewolwer z futerału, wyjął go i odwiedziony trzymał przy piersiach. Usłyszał również, że ma za plecami ludzi, którzy cicho skradają się ku niemu.

— Gdzie idę?—rzekł spokojnie, tyłem zwracając się do rowu, żeby zapewnić sobie sytuacyę obronną, — a tak ta idę... Ty, człowieku, dla czego się pytasz?

— Masz, panie, jakie pieniądze, to dej z dobrowoli... — rzekł tamten cicho, zbliżając się o krok i zniżając głowę.

— A, tego chcesz! Nie chodźże bliżej ani o cal, bo ci w łeb strzelę.

— Wicek,—ozwał się inny głos z boku,—weź ino!...

W tej chwili Raduski posłyszał koło swej głowy świst pałki i uczuł w karku ból okropny. Ręka mu na chwilę tak zdrętwiała, jakby jej wcale nie miał. Drugie uderzenie wbiło mu kapelusz na czoło. Grube, skrzywione paluchy chwyciły go za gardziel. Gdy się szarpnął z całej mocy i wyrwał, złapały aksamitny kołnierz i udarły go od paltota. Wówczas całym wysiłkiem podniósł rewolwer i, celując w głowę człowieka, którego już dojrzał wśród cie-

mności, strzelił raz, potem drugi. Sylwetki napastników zginęły w dymie. Wnet dał się słyszeć odgłos skoków uciekających. Wszyscy przesadzili rów i, rozbijając butami miękie zagony, rwali w pola. Nim upłynęła minuta, wszystko ucichło. Pan Jan stał na miejscu, dźwigając w górę i opuszczając prawą rękę dla zbadania, czy mu jej w ramieniu nie strzaskano. Ból czuł duży, ale mógł wykonywać ruchy wszelakie. Zimne dreszcze latały mu teraz po krzyżu i straszne uniesienie zaciskało w ręce kolbę rewolwera. Szybkimi krokami, spoglądając naokół, ruszył ku miastu i prędko stanął w alei. Wiatr smutnie huczał między konarami. Idącemu wydało się wtedy, że to był chyba sen, ale rwanie w obojczyku i zdrętwiałość w palcach mówiły o rzeczywistości aż nadto dobitnie.

Zatrzymał się pod jednem z drzew, wsparł o pień plecami... Ręce jego zwisły bezwładnie, głowa upadła na piersi. Niewymowne jakieś osłupienie, sąsiadujące z głupotą, ścisnęło mu gardło, jak przed chwilą ręka złodzieja, wydusiło z piersi jęk, a z głowy myśl, płynącą mimo wiedzy i woli, podobnie, jak płynie łza z oka:

— Takżeś mię to przywitała?...

Wkrótce szedł dalej i znalazł się w ulicy przedmieścia. Nie spotykał nikogo, ale w domach czuwano jeszcze. Za parkanami i okiennicami tu i ówdzie płonęły światła. Na krzywą uliczkę, prowadzącą do miasta, padały smugi blasku, oświetlając liczne koleje, wyżłobione w niemałem błocie. Obok prawej połaci domów tulił się przy murach

wąziutki chodniczek z kamieni drobnych i rozkruszonych. W pewnych miejscach, nad pewnymi rynsztokami, u stóp wiadomych parkanów, wśród najtragiczniejszego bajora trotuarek ginął, jakby ulegając grozie przemagającej siły złego na jednego. W tych miejscach były przecież niejakie szlaki, zwykle gzygzakowate, albo tworzące zawiłe kombinacye skoków, znajomość których ogromnie ułatwiała podróż i chroniła nogi od przemoczenia. Wspominając sobie owe środki komunikacyjne, Raduski trafił na ulicę pryncypalną. Pierwszy urok, jaki wywarło nań miasto rodzinne, już zagasł. Z ciemnych przecznic, z placów odległych, uśpionych w mroku pod strażą trzech, czterech latarni wiały teraz dawne uczucia. Przypadki z czasów dzieciństwa, w ślad których szły troski, obawy, rozczarowania i zawody, wyłaziły z bram, z czarnych nor, z szyldów, napisów, kształtu domów, rysujących się w nędznem świetle. Rzeczy, które w ciągu tylu lat niebytności w Łżawcu ulegały zapomnieniu tak całkowitemu, jak męki przecierpiane podczas wyrzynania się pierwszych zębów, ożyły w imaginacyi i nakrywały sobą wszelkie nowe sprawy i wrażenia. Całe miasto otwierało się przed Raduskim nie w tej szacie uroczej, w jaką je oblekło szczęście powrotu, nie w rzeczywistej nawet swej formie, lecz jako suma dawno startych w pamięci wyobrażeń. Szedł pustemi ulicami, czując w ramieniu dotkliwy ból, a w uszach dwa strzały rewolwerowe. Przed oczyma jego rozsnuwała się w mrocznej nocy zgniła kanwa uczuć zdechłych, dawno wyrzuconych z serca i jakby cudzych. Nie wiedzieć

kiedy znalazł się na drugim końcu miasta, położonym trochę wyżej. Do dwu długich ulic przyczepione tam było obszerne przedmieście Kamionka. Stanowiło ono jakgdyby małą mieścinę, mechanicznie zrośniętą z Łżawcem. Ostatnie chaty Kamionki łączyły się z wioską bez nazwy, pośrodku której sterczał folwark, wyróżniający się z grona innych folwarków tem, że właściciel jego swój własny dwór odnajmował urzędnikom łżawieckim, a gnojówkę z przed owczarni spuszczał na szosę spacerowo-wjazdową. Kamionkę zamieszkiwali przeważnie rzemieślnicy najbiedniejszego stopnia, żydzi z minimalnymi funduszami, a wreszcie wszelka bezimienna i bezklasowa hołota. W drugiej swej, przyfolwarcznej części Kamionka reprezentowała maleńki White-Chapel i słusznie była wyklinana przez osoby, posiadające rzeczy do skradzenia, w szczególności zaś przez folwark, ozdobiony strumieniem gnojówki. Od szosy, przecinającej to siedlisko biedy, szły na prawo i na lewo małe, zwykle ślepe zaułki między starymi parkanami, w tyle domostw drewnianych, albo i samych chlewików. Nad gromadą rozrzuconych budowli wznosiły się dwie kamienice z czerwonej cegły i oknami swych dumnych pięter z góry oświetlały sąsiednie dachy. Tę część miasta Raduski pamiętał słabiej, niż inne, to też chętnie skierował tu kroki. Ogólną figurę miejsca, sporą liczbę szewców znał niegdyś osobiście, z widzenia i słyszenia, ale rzadko tu bywał, mieszkając na drugim biegunie Łżawca. Teraz szedł środkiem drogi, zatrzymywał się, myślał, wspominał i znowu kroczył dalej. Oto miał przed sobą jeden z błotni-

stych kątów, przy końcu którego stał dom drewniany z ganeczkiem, rodzaj starego dworu na niewielkim folwarku. Obok tego czerniał drugi, pogrążony w zupełnej ciemności. W pierwszym z prawej i lewej strony ganku okna błyszczały. Dwa z nich nieco większe ledwo, ledwo zabarwiała lampka nocna.

— Tu mieszkała onego czasu pani Wątracka...— myślał Raduski.

Utrzymywała się z lekcyi muzyki po złotemu godzinka... I mieszka zapewne aż do tej chwili poczciwina w dziurawych rękawiczkach, chlubiąca się tem, że raz na własne oczy widziała Moniuszkę...

Z okienka lewej strony domu kuchenna lampa, stojąca na samej futrynie, rzucała w dziedzińczyk kilka kroków blasku. Raduski zbliżył się, cicho stąpając po błocie, i zajrzał do wnętrza. Tuż przy oknie stała nad balią młoda dziewczyna, a jak się podglądaczowi w pierwszej chwili wydało, młody chłopiec. W głębi ciemnej kuchni mieścił się duży, odpowiednio brudny komin i trocha statków. Jeden kąt stancyi zajmowało sosnowe łóżczysko, przykryte jakimś czerwonym gałganem. W sąsiedztwie pieca wiaderko dnem wykręcone do góry podtrzymywało deskę od prasowania. Rozciągnięta serwetka, czy ręcznik, służyła za obrus, na którym leżały: upieczona strucla bardzo skromnych wymiarów, zwinięta kiełbasa, kilka jaj i mały serek. Wszystko to ozdobione było trzema, tu i tam wetkniętemi gałązkami borówek. Dziewczyna przy balii miała może szesnaście, może siedmnaście lat, oblicze brzydkie z zadartym nosem i paskudnemi ustami, na głowie włosy, nie czesane napewno ze dwa miesiące.

Korpus jej ciała suchy, jak piszczel, bez piersi, z wydatnemi gnatami obojczyka przykryty był tylko utłuszczonym lejbikiem w jaskrawe kwiaty. Ten strój, pozbawiony rękawów, głęboko wycięty na piersiach i plecach, był odsznurowany i ukazywał nagi, zapadnięty brzuch, płaską deskę piersiową, brudną szyję i długie, żylaste ręce, chude, jak u mężczyzny. Ogromne w stosunku do przedramion dłonie pracowicie mydliły i nurzały w czarnej wodzie brudny łachman ze zgrzebnego płótna. Raduski przybliżył się jeszcze bardziej i patrzał na tę pracę. Stara zgryzota, ze wściekłości co chwila przechodząca w szyderstwo, ruszyła się w jego piersiach.

— Kaliban z *Burzy* Szekspira... — szeptał bezdźwięcznie. — Półzwierzę, półczłowiek, a właściwie daleko bardziej zwierzę, niż człowiek. Marysia, czy Kasia, nasz kulturalny *Hausthier*, przedmiot do posądzeń o kradzież, na którym robactwo ma wiekuisty serwitut. Patrzajcież! Koszulę sobie pierze, na wielkanoc koszulę pierze... Nie ma drugiej, z pewnością nie ma drugiej, a na wielkanocne gody któżby śmiał w czarnej koszuli? A tam leży święcone. Po siedmiu tygodniach ścisłego *jejunium* z solą i z olejem, dla oczyszczenia duszy z grzechów, a ciała z pokus dyabelskich...

Dziewczyna zlała tymczasem z balii brudną wodę, wchlusnęła z wiadra czystej i jeszcze raz namydliła swoją koszulę. Raduski, przypatrując się jej nieruchomem okiem, rozmyślał:

— Wejdę do tej sionki, uchylę drzwi, cisnę na środek sto rubli... Albo może zastukam w okno, wywołam ją na dwór i, stojąc w ciemności, dam

w rękę. Niech sobie wierzy, że to Pan Jezus zmartwychwstały, idąc po ziemi w ciemną noc temi stronami, zmiłował się nad nią...

Wyjął z kieszeni pugilares, otworzył jednę ze skrytek i szukał w niej palcami przez chwilę. Potem zamknął go prędko i odszedł z tego miejsca. W myśli jego przesunęło się w tej chwili zdanie: „Jako woda gasi pragnienie, tak jałmużna wysusza grzech" — i dziki śmiech, niby echo, zabrzmiał po niem w duszy.

— Więc to i w tej sprawie o mnie chodzi, o moje grzechy, nie o tamtego człowieka...

Wstrzymał się na chwilę i załzawionemi oczyma patrzał w jaśniejące okno. Postąpił krok w tamtę stronę i znowu się cofnął.

— Na cóż się zdało?... Uczyniłbym ją tylko winną kradzieży, tym razem znacznej. Jakże nędznem uczuciem jest litość!.. Matka jałmużny, która usuwa z drogi naszej widok, dręczący czułość, a zarazem silnie podnieca subtelny egoizm ambrozyą pewności swych cnót...

Tak myśląc, szedł dalej uliczką i zbliżył się wprost do innego budynku na drugiej stronie szosy. Była to chałupa zapadnięta w ziemię. Okno jej stało na równi z błotem, do sieni zstępowało się po schodach, wyżłobionych w temże błocie. Duża izba mieściła, widać, kilka rodzin. W jednym kącie ktoś, mężczyzna czy kobieta, odgrodzony koniecznem przepierzeniem z desek, leżał na drewnianym szlabanie. W drugim, obok pieca, za parawanikiem z plecionych prętów, na wspólnym sienniku chrapało zapewne małżeństwo pod obdartą kołdrą wa-

tową. Przy tem ich łożu sterczała komoda z szufladami, widocznie mebel rodzinny... Pod samem oknem na stole, okrytym serwetą w różowe kwiaty, stały dwie „baby“, dużo kiełbas, kiszka, salceson, butelki z wódką, chleb i placki. W głębi siedział człowiek zgrzybiały i, trzymając w lewej ręce dłótko, w prawej młotek, wykuwał litery na marmurowej tablicy pomnika. Wielką jego czaszkę, łysą jak kolano, z czoła oświetlał płomień lampki, ustawionej w środku samej płyty. Napis był długi, początkowe litery duże i grube. Raduski nie mógł odczytać tytułów zmarłego do nieśmiertelności, gdyż cały monument wierzchołkiem swoim zwrócony był w stronę okna. Starzec kuł pracowicie. Palce jego lewej ręki były mocno wytężone, jakgdyby grał na jakimś instrumencie, prawica wznosiła się i opadała stałym, równym, istotnie maszynowym ruchem. W ciszy nocnej słychać było szczęk uderzeń żelaznego młota o stalowe dłótko i ciągły, jakby płaczliwy zgrzyt kamienia. Głowa pracownika tkwiła nad płytą zupełnie bez ruchu, oczu, warg i brody jego wcale nie było widać.

Stojąc za tem oknem i słuchając szczęku, który zdawał się być podwójnie wrzaskliwym wobec bezwładności osób śpiących, Raduski myślał, jak bardzo biednym jest ten, kogo przyciśnie ów nagrobek. Śmiał się w duszy z tego świadectwa o wyniosłości między łzami, ale i współczucie zdejmowało go na samo wyobrażenie bólu, jaki cierpieć musi duch tego nędzarza, jeśli wszystko czuje i wie za światem istotną prawdę rzeczy ziemskich... Piersi jego ciała przywalą tym kamieniem, który nie jest

tak ciężki, jak krople potu onego starca, jak jego przekleństwa i niezmierny ciężar wyzysku pracy jego rąk zgrzybiałych. To będzie dowód miłości synowskiej, ojcowskiej, małżeńskiej... Gdy się stamtąd odsunął i szedł środkiem drogi, uderzyły słuch jego wrzaskliwe tony harmonijki, głośne śpiewy męskie i piski kobiece. Jedna z chałup, której okna zakryto szczelnie czerwonemi firankami, położona na samym końcu przedmieścia, była siedliskiem owej gwarnej wesołości. Raduski rozejrzał się naokół i dostrzegł jedno tylko świecące okienko tuż przy drodze. Był to bardzo mały sklepik żydowski z żelazem. Prawie przy samych drzwiach stała tam szafka z desek, a na niej leżały gwoździe, poowijane w papier, kilkanaście kluczów, kłódek i trocha starego żelastwa. Pod oknem, na nizkim, szerokim stołku garbił się mały chłopiec w barankowej czapie, reparując but z urwaną przyszwą i skoślawionym obcasem. Naprzeciwko niego, z drugiej strony maleńkiego stolika siedział chłopak nieco starszy od szewca, w kaszkiecie i szarym, zniszczonym kubraku. Bosą lewą nogę wyciągnął i oparł na stosie zdartego rzemienia, brodę podparł pięściami i patrzał na robotę szewca, który śpiesznie żgał zmurszałą skórę szydłem i zawlekał dratwą.

— I *brandzole* całkiem wigniło... — rzekł mały żydziak, — i przyszwa się rozłazi. Kiedy ja taki obcas mogę sprostować?

— Ale ty rób, nie gadaj! — rzekł chłopiec w kubraku.

— Żeby majster buł, onby może zrobił prędzej,

a co ja mogę poradzić? Ty, Szymek, dla czego nie przyszedłeś wcześniej z tym krypciem?

— Ale, wcześniej! Łatwo tobie gębą powiedzieć. Dał nam to pieniądze? O dziesiątej godzinie kazał przyjść do kantoru i to my jeszcze z pół godziny czekali.

— Ty, Szymek, dużo masz roboty w te fabryke?

— Czy dużo roboty? A żebyś ta zapróbował chociaż z dzień, z jeden, tobyś się dowiedział. Tych kuldów to, mówię ci, nawet nie czuję od walenia. W ślepie się kamyczki sypią tyle, jak mąka.

Mały szewc westchnął i rzekł po chwili, bijąc młotkiem w obcas:

— Jabym bardzo chciał tam robić, dla czego nie? Już nie wiem, kiedy ja chodziłem po świecie...

— Cięgiem siedzisz na tym stołku? A jużci prawda, że kiedy idę, to cię widzę. Skądżeś ty, Mosiek, stąd, niby ze Łżawca, czy nie?

— Nie, ja jestem ze wsi.

— Z daleka?

— Ona się nazywa, ta wieś, Niemrawe.

Raduski przytknął twarz do szyby i usiłował zobaczyć twarz szewca, ale jej pod wielką czapką nie dojrzał.

— To się ta i ładnie nazywa, Jezus ci Marya! No, a i cóż ty ojca, matki nie masz?

— Ojca mam, ale mój ojciec... on głupi jest.

— Jakże to głupi?

— On ma głupie głowę. Lata ciągle bez koszuli, a czasem to i bez portek od wsi do wsi, na pole...

— Ehe... waryat!

— Może być waryat. Czemu nie?

— No, a matka cóż robi?

— Co ona może zrobić, taka matka? Trochę handluje, trochę idzie do robotę, trochę na żebry. W chałupie jest całkiem paskudna bieda. Tam tych dzieci, moje szostry i braty jest, albo ja wiem, z dziesięć...

— A ten twój majster cóż to jest twój krewny?

— Trochę krewny z moją matką. Ona jemu poprosiła bardzo ładnie, to on mię wziął do terminu. Ja już cztery lata siedzę na ten stołek. Aj, Szymek, Szymek...

— Cóż on, para, szewc jest choć i ten twój majster, a nigdy go tu niema, tylko ty, widzę, zawsze łatasz te buciory. Gdzież on się obraca na ten przykład teraz?

— Cicho, nie gadaj! Co tobie do tego, gdzie on chodzi, co tobie dyabli do tego! Ty chodzisz do swoje fabrykacye, on chodzi do swojego interesu...

— Yhy — ty głupiemu powiedz, do jakiego to on interesu chodzi. Ja niby nie wiem! Przecie wszyscy gadają, że to niby sklepik trzyma, buty łata, a czem innem się trudni.

— Cicho, durniu! Ja ciebie proszę, nie gadaj... Jakby on usłyszał, onby mi łeb obdarł ze skóry!

— Musi on cię prać tęgo, skoro się tak boisz.

Malec nie odpowiedział i w milczeniu nakładał obcas. Po chwili rzekł:

— Biednemu człowiekowi to każdy bije...

— A choćbyś i poszedł do matki, to cię tylko złoi i wygoni?

— Aj, Szymek, Szymek... — cicho westchnął żydziak i przerwał robotę. Ręce jego upadły na maleńki, wklęsły stolik, zawalony szydłami i nożami oraz brudnym, starym rzemieniem. Zsunął nieco czapkę na tył głowy. Wtedy Raduski zobaczył jego twarz piegowatą z wargami niezmiernej grubości, jakby spuchniętemi, wybladle policzki i oczy przedwcześnie zapadłe.

— A i cóż ty, Mosiek, nie robisz? Przecie się śpiesz!

— Mnie się spać chce, ja już nie mogę.

— Ale... będziesz mi ta bajał!

— Szymek, ja już nie będę robił. Ja już nie widzę nic. Mnie w oczach takie czerwone kawałki chodzą... Dla ciebie na moje sumienie jabym zrobił, ale nie mogę...

— Masz ci teraz! Jutro godne święto, a ten but rozpoczął i kończyć nie chce. Uu... jucho jeden, bobym cię tak strzelił w zęby, żebyś dopiero wytrzeźwiał!

— Szymek, ja tobie co powiem. Moje buty są całkiem dobre, ja ci ich na święto pożyczę. Ty majstrowi nic nie mów, to on nie zobaczy, bo ja będę siedział w chodakach.

— Ba! a wlezą?

— Co nie mają wleźć! Oni będą trochę zaciasne, ale wlezą na twoje nogi. Ale ty oddasz, na sumienie oddasz?

— Cóż ci to nie mam oddać? Pokaż ino te buty.

— Ty w nich możesz iść do samego kościoła.

— Ale, prawda była! Pójdę do kościoła. To mi psiatreść na amen wyszło z głowy...

— Co takiego?

— No, jakże ja mam iść do kościoła w twoich butach? Przecież ty, widzisz, żyd.

— No, to co z tego, że ja żyd?

— Nie pasuje, rozumiesz? W żydowskich butach do kościoła nie pasuje. Jeszczebym oślepł w samo podniesienie, albo ta co...

— Bez co tak? Przecie nie kradzione.

— E... nie kradzione, ale jeszcze gorsze, bo żydowskie. U nas, widzisz, tak: katolik to katolik,— niema gadania. Kupiłeś — to insza stacya, to już twoje, katolickie. A w żydowskich butach do kościoła... niema, niema!

— No, co to szkodzi. Na to jest sposób: ty masz teraz pieniądze, daj mi czterdzieści groszy i weź buty. My sobie oba powiemy, że to twoje, kupione. Po świętach ty mi buty odniesiesz, a ja ci oddam pieniądze. Tylko ja się boję, czy ty oddasz te buty... Szymek, ty wiesz, onby mi ze łbem obdarł...

Raduski zaśmiał się prawie na głos, gdy stamtąd odchodził. Posunął się jeszcze o kilkanaście kroków dalej. Były tam już tylko place i płoty. Z folwarku dolatywało ujadanie psów. Ból w ramieniu zbudził się znowu, niby sygnał ostrzegający. Raduski zawrócił ku miastu i szedł teraz środkiem drogi, prędko mijając sceny dopiero widziane. Na duszę jego wionęło jakby zgniłe powietrze, śmierć w sobie niosące. Przed nieruchomą źrenicą wszystko teraz rozsypywało się w znikomy proch na podobieństwo kształtów ludzkich, wykopanych w izbach Herkulanum, gdy je wzrok człowieka żywego wraz

z żywem powietrzem ogarnie. W umyśle tkwiło jedno jedyne słowo przemierzłe i bolesne, mieszczące w sobie cały prawie rezultat myślenia: motłoch. Olbrzymie tłumy żydostwa, zanurzone w niezbadanej nocy ciemnoty, na którą nigdzie niema lekarstwa, tłumy chłopstwa, nie tknięte ani jednym powiewem kultury. Przemysł fabryczny, stopudowym młotem druzgocący rzemiosło w tym celu, żeby płodami trudu obdartych tłumów zalać „rynki“ bez najmniejszego pożytku dla cywilizacyi miejsca, z którego się począł... Motłoch, jak był, tak jest sobą...

— Pókiż się będziesz tem zajmował, pókiż będziesz niweczył wiek swój? — ozwał się w Raduskim mięsożerny instynkt życia.

Zebrawszy do kupy wszystkie swe siły, chwycił się z nim samym za bary, ażeby mu z piersi raz wyrwać starą zgryzotę, która w niej tkwiła, jak grot włóczni Epaminondasa. Ale odrazu serce się ścisnęło, jakby nadchodził moment śmierci, a wędrowiec poczuł, że z chwilą wyrwania onego żelaza skonałby, jak Epaminondas. A nie było to przecie po Mantynei... Stanął wśród ulicy, wyciągnął leniwie ramiona i czuł, że teraz wsiąka weń ze wszech stron *taedium vitae*. Odejść dokądś, uciec, nie wiedzieć nic a nic, rozpłynąć się w jakiejś bezmiernej ciepłej kąpieli, spocząć w nicości na wieki, na wieki...

Szedł zwolna, noga za nogą, utykając w dziurach trotuaru. Naokół stała głucha, zupełna cisza. Wtem za murami domów, gdzieś w głębi miasta odezwał się dziwny dźwięk, przeszył powietrze

i zginął aż na łonie obłoków. Po nim wyleciał drugi, trzeci... Raduski stanął jak wryty i słuchał. Samotny, wielki, odwieczny dzwon na starej wieży uderzał. O, jakże głos jego cudownym się wydawał! Nie był to sam dźwięk. Było to słowo. Raduski słyszał je uszyma i w dygocącem sercu swem, jak w cieniach nocy wołało:

— Jam jest, jam jest, jam jest...

Niby czarodziejski klucz, dźwięk ten otworzył bramy dziedzińców, niby ogień niewidzialny, zatlił światła w mieszkaniach. Chodniki zaroiły się od postaci, śpieszących co żywo. Słyszeć się dawał wesoły gwar rozmów. Biegły przeważnie służące w chustkach, wlokły się stare babiny, szli mężczyźni, głośno uderzając o kamienie wielkimi butami. Był to właśnie motłoch, White-Chapel łżawiecki. Jedna z gromadek zabrała Raduskiego ze sobą. Szedł pospołu z innemi, prędko minął ulice śródmieścia i znalazł się przed oświetlonym kościołem. Wejście główne było rozwarte. W pobliżu wielkiego ołtarza płonęły światła, a wgłębienia łuków, boczne kaplice i zakątki pełne były mroku. Zimno szło z murów i posadzki, wilgoć szkliła się na płytach i zczerniałym tynku. Gromady wiernych wciąż się zwiększały. Wszyscy prawie od samych drzwi aż do środka kościoła szli na klęczkach ku krzyżowi, który tam jeszcze leżał. Raduski usiadł w jednej z pierwszych ławek i przypatrywał się twarzom, a właściwie ich niewypowiedzianym wyrazom... Na wieży huczały dzwony. Potężna pieśń ich zwiastowała, że Chrystus zmartwychwstał. Raduski opuścił swe miejsce, wcisnął się między tłum i stanął

w szeregu. Objął wzrokiem głowę, konającą dla tego, że była upojona świętemi myślami, najczystsze ręce, gwoździami przybite do drzewa za to, że się wyciągnęły przeciwko mocy żelaza, z błogosławieniem tych, którzy płaczą. Dusza dźwignęła się w nim. Prędka minuta skupienia, która była także chwilą głębokiej boleści, dała mu poznać ów zakon, że czuć znużenie i odpoczywać będzie miał prawo dopiero w takim momencie...

II.

Nazajutrz Raduski przebudził się bardzo późno. Gdy skierował wzrok na szyby okien, dostrzegł, że je zmywają cienkie smugi deszczu. Zwlókł się z łóżka, ubrał i zadzwonił raz, drugi, trzeci... Dopiero po upływie kilkunastu minut ukazał się we drzwiach młody chłopiec z głową wysmarowaną sadłem czy słoniną, umyty, obleczony w czystą koszulę i strój świąteczny.

— Macie tu na dole restauracyę? — rzekł do niego Raduski.

— A jakże, mamy.

— Przynieśże mi herbaty, jaki kawałeczek mięsa, bułek, odrobinę masła...

Chłopiec patrzał na niego wyłupionemi oczyma.

— Cóż się tak martwisz, obywatelu?

— A bo, proszę łaski pana, jakże ja przyniosę herbaty i kawałeczek mięsa, kiedy storacya zamknięta?

— I czemuż to?

— No, przecie święto...

— Prawda... święto. Ale gdybyś tak sprobował, może tam będzie samowar nastawiony, tobyś i mnie po starej znajomości... Szklaneczkę herbaty— o więcej nie będę się napierał.

„Numerowy“ wykręcił się i zwolna przymknął drzwi za sobą w sposób, który świetnego rezultatu nie obiecywał. Raduski dokończył ubierania się, siadł na małej kanapce i czekał. Upłynął kwadrans jeden i drugi, a chłopca nie było widać. Dopiero na odgłos dzwonka zjawił się z miną zafrasowaną i oświadczył, że ze śniadania nic nie będzie.

— Pan w kościele, pani tosamo, ani kucharza, ani Franciszkowej, lokaje się porozłaziły. W kuchni ognia całkiem niema. Proszę łaski pana — święto.

— Prawda i to jest. No, a może ty wiesz, gdzieby tu w mieście można co zjeść, bo jak w tym sposobie ze trzy dni u was będę świętował, to, uważasz radca, kopyta wyciągnę. Nie wiesz o takiem?

— W mieście? E... w mieście to ja nie wiem... Ja tu dopiero dwa miesiące.

— Dwa miesiące. No, a starszego numerowego niema tutaj u was?

— Jest starszy, Walenty, ale poszli tosamo do kościoła.

— A może jest jaki inny, ktoby mię objaśnił?

— Chybaby pan *potyer*, co jeździ na kolej, ale to nie jego dzieło.

— A on tutejszy, dawno tu już mieszka?

— Chyba, że dawno.

— Stary, młody?

— O, już w latach.

— A to go proś do mnie. Powiedz, że mam pilny interes. Nie będzie żałował fatygi. Idźże i powiedz, że go do siebie proszę na momencik.

Służący wyszedł, a po upływie chwili czasu stukano we drzwi. Wsunął się do numeru człowiek stary, szeroki w ramionach, suchy, zawiędły, z twarzą i czaszką obrosłą mocno szpakowatym i krótko przyciętym włosem.

— Pan dobrodziej sobie życzył?...—rzekł, mierząc Raduskiego iście hotelowem wejrzeniem, niby to schlebiającem, a w gruncie rzeczy tylko badawczem i taksatorskiem. Ręką trzymał się klamki, jakby na znak, że konferencya długo trwać nie powinna. Z warg jego nie schodziło zamglone oskarżenie: nawet dziś nie możesz mi dać chwili odpoczynku.

Raduski bystro i uparcie przypatrywał się twarzy starego, a wreszcie rzekł:

— Nie wiem, czy mi się zdaje, ale tak jakby pan Żołopowicz...

— Tak, jestem Hipolit Żołopowicz... do usług... — mruknął szwajcar, błyskając okiem z pod brwi nasępionej.

— Cóż pan u stu dyabłów robisz w liberyi hotelowej?

— Służę, proszę pana, za portyera.

— Bój się pan Boga, cóż to ja słyszę? Przecież pan miał w rynku ogromny sklep, jeden z największych sklepów korzennych w Łżawcu. Jak dziś pamiętam!

— Miałem sklep,—rzekł Hipolit Żołopowicz — ale go już nie mam.

— Cóż to się stało?

— Zwykła rzecz w naszym kupieckim stanie: *zbankretowałem.*

— Jakże, i tak zupełnie, żeś pan musiał wziąć miejsce portyera?...

— Ale... żeby tyle... Proszę pana, to miejsce ledwo, ledwo udało mi się dostać. Co się zaś tyczy bankructwa, to nie wyszedłem jeszcze na czysto. Jeszczem ludziom winien. Nie dużo tego, a przecie jest to temu, to owemu...

— Szczerze panu współczuję...—rzekł Raduski, wyciągając rękę.

Żołopowicz schylił się i nie podawał swojej, mamrocząc:

— Pan dobrodziej łaskaw... Nie wypada, żebym... jako niby służący...

— Wstydziłbyś się pan! Byłem tylim knotem, kiedy u pana kupowało się chleb świętojański, cukier lodowaty i lukrecyę w patykach. Pan mię naturalnie znać nie może, ale ja z tych stron. Ojciec mój trzymał w dzierżawie niedaleko stąd folwark Niemrawe.

— Pan Raduski z Niemrawego... Ehe... Pan Raduski... Znałem, proszę pana, nieboszczyka rodzica. Pamiętam... Dawne to czasy. Brał u mnie na święta czy tę bakalię, czy cukier, czasami nawet garniec wina. A pan dobrodziej skądże do nas?

— O, ja zdaleka.

Żołopowicz patrzał na niego swemi zimnemi oczyma i milczał. W spojrzeniu jego malowała się

taka ciekawość i odrobinę niechętne zdziwienie, jakby oglądał albatrosa z wyspy Borneo, fokę, czy krokodyla.

— Masz pan chęć, panie Hipolicie, to usiądź ze mną na chwilę i pogadaj. Miło mi pana widzieć... szczerze to mówię. Już tu ani w Łżawcu, ani w okolicy nikogo nie mam. Wszyscy moi pomarli, a pana z dzieciństwa pamiętam i pierwszą twarz pańską widzę znajomą z dawnych czasów. Ale, ale — jeść mi się chce siarczyście, a tu, podobno, nic kupić nie można. Możebyś mię pan oświecił, jak się dobrać do restauracyi.

— E... a to przecie pan dobrodziej nie wzgardzi przy tym dniu. Choć ja dzisiaj i portyer, ale pan dobrodziej święconem jajkiem nie wzgardzi. Czyby tu przynieść?...

— Dajże pan pokój! Choć to będzie wyglądało, żem się wprosił do pana, ale pójdę z przyjemnością. Chodźmy!

Żołopowicz poprowadził Raduskiego, zabiegając mu przy każdych drzwiach z prawej i lewej strony. Zeszli na dół, minęli sień wjazdową, dziedziniec i znaleźli się w przejściu bardzo czarnem. Stary otworzył drzwi i wprowadził swego gościa po kilku schodkach do izdebki małej i wilgotnej. Stało tam łóżko żelazne, niewielki stolik, nakryty obrusem i zastawiony święconem. Ex-kupiec postawił przed stolikiem jedyne krzesełko, usadowił Raduskiego, a sam zajął się odkorkowaniem jakiejś butelki. Pan Jan wodził wzrokiem po wilgotnych murach izby, patrzał przez okno, umieszczone tuż pod sufitem, na kury, z cichem gdakaniem defilujące za

szybami. Żołopowicz lał szczodrze koniak w kieliszki, wziął w ręce talerz z jajkiem i wyrażał rozmaite pragnienia, z których połowa conajmniej tonęła w sapaniu. Raduski życzył mu wzajem wszystkiego dobrego i wnet zapytał:

— No, a teraz, gadajże mi, kochany panie, jakimi sposobami zwaliło się to bankructwo.

Stary, tknięty w otwartą ranę swego serca, ruszył się prędko, nalał sobie drugi kieliszek, rzucił w gardziel zawartość jednem kiwnięciem dłoni i mówił:

— Pierwsza przyczyna to jest ta hyclowska kolej!

— Jaka?

— A dyć ta czuła kolej, łżawiecka.

— Nie rozumiem! Przecie wraz z takim środkiem transportowym wzmaga się no... życie przemysłowe...

— Życie przemysłowe... — powtórzył były kupiec, jakby się tego wyrażenia uczył napamięć. — Czy się tam ono wzmogło rzeczywiście, tego ja nie wiem, ale że my wszyscy beknęli za to baranim głosem, to jest święta prawda.

— No—ale dla czegóż?

— Dla tego, proszę pana, że dawniej Łżawiec to była stolica na półtorej gubernii. Innego miasta nie mamy przecie. Wszystkie towary do małych mieścin szły od nas. My stawiali ceny. A nie chcesz, mówilimy, to wal sam do Warszawy, prowadź frachtem towar do swojej Koziej Wólki. Ot! Wszystka szlachta, każdy człowiek, co się ubierał i jadł lepiej, ze Łżawca brał but, *kalto*, surdut, futro, czap-

kę, ze Łżawca wiózł do siebie artykuł *kolenialny*. Pan tu był w szkołach, to pan dobrodziej musi przecie wiedzieć, że na ten przykład. Drzewińska ulica to było siedlisko samych, a samych szewców łżawieckich. Warsztat stał przy warsztacie, majster siedział przy majstrze, a u każdego po czterech, po sześci czeladziów. I nie potrzeba panu memu objaśniać, co to za buty ci ludzie formowali. Jak Wincenty Krupecki zrobił grube buty nieprzemakalne, to aus! Ten myśliwy mógł se dzień stać w bagnie po kolana i skarpetkę miał suchą.

— To prawda.

— A właśnie. Teraz cóż się stało? Krupecki, szewc, jeszcze Bóg wie z jakich czasów, niktby nie zgadł, co robi. Uwierzy pan dobrodziej? Pod kościołem, na żebranym chlebie. I nie można powiedzieć, żeby znowu pił ekstra... Drugi, Jan Widział, chla ordynarnie gorzałkę i siedzi na łaskawym chlebie u brata, co tu w Kamionkach ma posesyjkę. Waliszkiewicz, ten się trzyma jeszcze z chłopcem, ale prawie mrze głodem.

— No — no...

— A na tej samej Drzewińskiej ulicy tera sklep przy sklepie! Żydki, nie żydki „warszawskie“ obuwie prezentują za tylośnemi szybami. Trzewiczki, jak ulał, kamaszeczki, jak się patrzy. Tanie, śliczne. A że się we dwa tygodnie rozłażą, to cóż na to poradzić? Życie przemysłowe.

— Widzi pan, panie Żołopowicz, wielki przemysł ma to do siebie...

— Tosamo z krawcami. Przepraszam pana dobrodzieja, że nie słucham i sam gadam... Tosa-

mo z krawcami i kuśnierzami. Tu pan dawnego człowieka nie zobaczy. Wszystko nowe, a złodziej na złodzieju!

— Ij — cóż znowu.

— Panie, szczerze mówię, że nic nie kłamię. Złodziej na złodzieju.

— No, a cóż ze sklepami korzennymi? Pan straciłeś, ale przecież tu byli rozmaici. Przypominam sobie sklep Helblinga, Barsztynowicza, panien Siepalskich...

— Proszę pana łaskawego, — to jest długaśna historya. Helbling umarł, między nami mówiąc, zapił się. Ale już sztuk czasu przed śmiercią robił bokami, jak koń napalony. Skoro tylko zamknął oczy, baba jego, niby, mówię, żona, dawaj się w dwójnasób malować, a interes zwinęła i odstąpiła subyektowi starego Helblinga, Gwaździckiemu. Ten towar kolenialny prawie usunął, a za to podniósł do wielkiego stopnia wyszynk piwa i gorzały w przyległych pokoikach. Mówią, że mu setnie idzie. I pewno prawda. — Szynk to zawsze idzie. Co się tyczy Barszta, ryżego, to ten, licząc na pieniądze, jeszcze gorzej wyszedł ode mnie. Za to dzieci wyedukował fest, a teraz se siedzi u syna, u doktora w Warszawie. Z panien Siepalskich niema ani dymu, ani popiołu. To taką sztukę zrobiła z nami ta kolej, to życie przemysłowe, te filie banków. Ja wylazłem obrzydliwie. Nauki żadnej człowiek nie miał, szczerze powiedzieć. Z chłopca w knajpie wyrosłem na kupca pierwszorzędnego, a z kupca na odźwiernego. Liczyli mię na parę kroć, kiedy się ta kolej zaczęła. Otworzył się tani kredyt. Akurat mi dwie córki

dorastały, synek był z klas wypędzony. Słałem toto wszystko do Warszawy na pierwsze pensye, płaciło się drogich profesorów. Tymczasem zaszedł nam wszystkim z jednego boku wielki sklep akcyjny, z drugiej strony żydki. Obrót był u mnie coraz mniejszy, boć nasze sklepiska z tym łżawieckim *bonmarszem* równać się przecie nie mogły. Córki zjechały z pensyów i dawaj mi kołki na łbie ciesać: a mieszkanie, a meble, a fortepiany, a konie, a jakieś ta malowane obrazy. Wyznaczyłem był dawno posagi... czterdzieści tysięcy każda. Zaraz się też przystawił kawaler, niby to wielki aferzysta z Łodzi — i nabrał mię. Wydaliśmy za niego starszą, Łuckę, sypnęliśmy gotówką, a on też nie miał przecie nic pilniejszego, jak toto chlasnąć. Wziął się niby to do fundowania wielkiego interesu, ale blaga była... *Ciort* go ta zresztą wie, dość, że przełajdaczył wszystko i koniec. Młodsza nie zasypiała tosamo gruszek w popiele. Z jej pieniędzmi już mi szło dyablo ciężko, a trzeba się było stawiać. Brałem z banku i brałem, a te nic, tylko bal za balem, do Warszawy, do Krynicy. Upodobały sobie świeże powietrze i musiałem willę stawiać. I, panie najmilszy, ja stary, com od dziesiątego roku żywota przywykł brać w łeb kuflem z ręki gościa, com własnem ciułaniem na subyektowstwie uskładał tyli fundusik, że można było sklepiczynę założyć, ogłupiałem na śmierć: powózem trzymał, foszmana w kapeluszu i w tym powozie jeździłem tutaj, w tym samym Łżawcu. Sześci lat nie wyszło, a jużem walił na dno. Jak mi zaprotestowali weksle, okazało się, żem bankrut. Zeszedł komornik... no, i ocknąłem się na

ulicy w jednym surducie. Żona z młodszą córką i z synem pojechała do Korbów, niby do zięcia, złapawszy, co się dało, ale to... co się dało, a ja zostałem. Jeszcze są małe długi to temu, to owemu...

— O, smutna historya, — rzekł Raduski, jedząc szynkę z octem i chrzanem — bardzo smutna.

— Jak szlachta robiła takie sztuczki, to ludzie wrzeszczeli w niebogłosy: a marnotrawcy, a lekkoduchy, a tacy, a owacy! Dzisiaj, panie, kupiec, liczykrupa, co grosz od grosza zarabiał na pieprzu i na rodzynkach — tosamo. Szlachcic teraz okropnie zmądrzał. Już tam on balów nie wydaje, karet nie trzyma, córek do Warszawy nie śle, jeden do drugiego na szklankę herbaty nie jeździ. A bo to tyle... — wrzasnął raptem, błyskając oczyma krwią nabiegłemi. — Człowiek w dostatku to jest, jak ta, uczciwszy uszy pańskie, sobaka. Przecie ja, panie, utrzymankę miałem tutaj, we Łżawcu. Moda taka była między nami, pierwszem kupiectwem, żeby każdy...

— No tak, to już sprawy uboczne. Wspomniałeś pan o sklepie akcyjnym. Skądże się to wzięło?

— Jak mam o tem rzec słowo, to mię tu ściska obcęgami. Sklep akcyjny... A no, wziął się u nas z niczego. Był tu taki inżynierek przy budowie kolei, pyskacz na ośm pokojów. Co ten miał w paszczęce i w tym języku, to ja nie wiem... Każdemu człowiekowi wgadał w łeb, co tylko chciał. On tu całe miasto przewrócił do góry nogami. Ile było zamożniejszych ludzi, ze wszystkiemi się zmamrał i podbechtał do ufundowania sklepiku. Zrazu miało tam być tylko same żelazo i to dla chłopów, żeby

ich przecie moŝki nie oszukiwały na kosach, na okuciu do woza i tak dalej. Potem przyrosła ni z tego ni z owego do żelaza — herbata, a do herbaty znowu nieduże samowarki, czajniki fajansowe, szklanki, łyżeczki. Nie opatrzylimy się, aż tu gruchnęło, że już we sklepie sprzedają mąkę i krupy. Rozpisali akcye po dwadzieścia rubli i prawie całe miasto przystąpiło do tej historyi. Dzisiaj pies kulawy nie zajdzie do innego sklepu, bo tam, nie można powiedzieć, wszystko pierwszy *sort*, obsługi chmara i czego tylko żądasz — wszystko na miejscu. Głównego subyekta mają dyabła takiego, że żaden z naszych nie mógłby się z nim równać. No, i obracają tylim kapitałem, że mi we łbie trzasło, jak tu jeden kolega cyfrę pokazał. I co się stało — nie tylko my, ale same żydy wyginęły. Był tu Berek Lanckoroński, miał sklep duży z żelazem, to musiał całkiem ze Łżawca umykać. Nie oparł się, aże gdzieś w Łosicach. Tam teraz handluje swoim towarem.

— Smutne są dzieje pańskie, drogi panie Żołopowicz, ale z drugiej strony ten sklep akcyjny nie zasługuje na potępienie...

— Nie zasługuje na te... Wie pan dobrodziej... powiem, jak przy świętym konfesyonale: żeby był stary Helbling nie umarł, toby on był tego inżynierzynę Baumana trutką zgładził. Bo to prawdziwie ten pies Bauman ukartował naszą zgubę. Helbling był mądry kupiec — ho, ho... My się wszyscy jak barany cieszyli w trakcie wymierzania pod kolej, a ten tylko się uśmiechał dyabelskim manierem i mruczał: będziecie wy jeszcze inaczej śpiewali...

No, i stało się. Panie szanowny, racz pomyśleć, co to było zlecieć z tylego bogactwa aże do tej nory. Przecie u mnie tu w piersi wszystko żalem porznięte, jak nożem. Wierzy pan, że dla mnie czy tłuc się na stacyę za tym starym klekotem, czy wziąć i skoczyć do pierwszej lepszej studni, taka jedność, że to... Słowem wymówić...

— Mój panie, — rzekł Raduski, patrząc na niego przygasłym i zimnym wzrokiem, — powiedzcie mi jeszcze tę rzecz: masz też pan jaką nadzieję wybić się znowu, zrobić pieniądze, czy nie?...

— Żadnej! Oho-ho-ho... Poszło! Jakąże to nadzieję? Tak jakbym był z gębą i uszami w ziemię zakopany.

— A chciałbyś pan jeździć po tym Łżawcu karetą i trzymać aktorkę?

Stary rzucił zezem ostre spojrzenie i coś, niby rumieniec, prześliznęło się na czerstwej, szarej skórze jego policzków.

— Terazbym już takich rzeczy...

— Daj pan pokój! Co tam będziemy o tem gadali... Ja ze swej strony dołożę jedno słowo, chociaż ono pana wcale nie przekona. Zostaniesz taki sam, jak jesteś, tak samo zmartwiony aż do śmierci, ale ja to powiem, bo tak, a nie inaczej rzeczy widzę. Czyś pan był szczęśliwy wtedy, jakeś pan jeździł na gumach? Nie. Pieniądz daje mnóstwo uciechy w życiu, ale też akurat tyle, a czasami więcej niż uciechy niesie ze sobą zgryzoty. Jeździć powozem, trzymać duże mieszkanie, służbę, oddawać córki na pensyę, a cytryny za podwójną cenę kosztu, to zrobi byle facet. Ale spaść z dużego lokalu na

pierwszem piętrze do bardzo ciasnego w antresoli i drwić sobie z takiej maskarady, tego pierwszy lepszy kiep nie potrafi. Jeśli nędzny aktor gra w teatrze główną rolę, to wszystkich nudzi i złości, ale gdy znakomity artysta gra najpodrzędniejszą — wtedy dopiero sztuka idzie. Jesteś pan teraz w gronie ludzi pracujących, ludzi porządnych, na których świat stoi — i czego pan u dyabła masz kwękać...

— E... łatwo panu mówić...—rzekł Żołopowicz ze wzgardliwą niechęcią. — Sam pan przecie stanął w pięknym numerze, nie w antresoli, nosi pan ubiór doskonały, nie kacabaję...

— A bo my wszyscy powinniśmy mieszkać czysto i ciepło, chodzić w kortowych ubraniach, nie zaś w gałganach.

— To też to!.. Racya fizyka...

— Ale jakże możemy przyjść do tego, kiedy pasibrzuchy z głupoty dają bale za balami, jeżdżą karetami, dla mody utrzymują próżnujące dziewczyny i w takie oto bagna ciskają nasze pieniądze.

Portyer odął wargi, umilkł i siedział z nasępionemi brwiami. Raduski czuł, że mówi jakby do słupa wiorstowego. To też urwał tę gawędę, podziękował za gościnność i wyszedł. Z ulicy wrócił się raz jeszcze i spytał:

— Drogi panie, kto tu w Łżawcu mieszka z młodych lekarzy?

Stary wymienił parę nazwisk.

— A z adwokatów, z młodych? Niema tu czasem Koszczyckiego?

— A jakże, jest. Mieszka na Frontowej ulicy w domu Millera.

— Józef Koszczycki? Nie wie pan, Józef?

— Zdaje mi się, że Józef.

Raduski pożegnał go ruchem głowy i zamknął drzwi.

III.

Wprost z hotelu „Imperial" udał się na ulicę Frontową. W drodze obejmował marzeniami lata przeżyte z Koszczyckim, ową izbę niezapomnianą, gdzie się z Warszawą rozstał. Gdy przychodził do refleksyi, że za niedługą chwilę ma zobaczyć twarz człowieka z tamtych czasów, twarz samego Koszczyckiego, głębokie drżenie wstrząsało jego sercem. W ulicach snuły się gromady ludzi bogatych i biednych. Wszyscy mieli oblicza rozjaśnione, niektórzy bardzo wesołe, a trafiali się i może cokolwieczek nadto figlarnie uśmiechnięci. Wiatr przycichł, deszcz ustał i ciepła, rozmarzająca, senna wiosenka błąkała się między murami. Na ulicy Frontowej Raduski już zdala spostrzegł szyld: Józef Koszczycki— adwokat przysięgły. W sieni widać było drzwi z tym samym napisem, a obok drut zardzewiały i drewnianą rączkę dzwonka. Przed progiem leżała słomianka zdeptana, jak niedola, i czarna od błota. Raduski maszerował wielokrotnie, chwytał rączkę dzwonka, lecz za każdym razem cofał się i puszczał w defiladę po ulicy, nie mogąc wydobyć ze siebie odwagi. Bezpośrednich, towarzyskich, przyjaznych stosunków z ludźmi nie miał tak bardzo dawno, że rozpanoszyła się w jego naturze zupełna dzikość,

jakiś lęk wewnętrzny wobec spojrzeń i pytań, chociażby i bardzo życzliwych. Z drugiej strony, w samotności, nie zamąconej latami przez nikogo i nic—myśli, wyobrażenia, uczucia i odruchowe afekty zrosły się w całość tak zwartą, jednolitą, tak silnie indywidualną, że właściwie nie znosiła obecności, oraz przejawów cudzych uczuć i myśli. Nad tem wszystkiem zresztą panowało nieokreślone wzruszenie, trwoga przysercowa, tłumiąca decyzyę.

Po długotrwałych marszach i kontrmarszach w pewnej okolicy trotuaru, po wyczerpaniu wszelkich momentów i kresów, naznaczonych samemu sobie, targnął wreszcie rączkę dzwonka. Cienki głosik przebrzmiał w głębi mieszkania i nikogo, widać, nie przywołał. Gdy upłynęła długa chwila czasu, Raduski zadzwonił śmielej i głośniej. Dało się słyszeć głuche stąpanie kroków, zgrzyt klucza i drzwi otworzono.

— Pan Koszczycki jest u siebie?—spytał młodej dziewczyny w lejbiku, która patrzała na niego wytrzeszczonemi oczyma.

— Ajno, jest.

— Można się widzieć?

— Można.

Zrzucił okrycie, minął długi, wązki, mroczny korytarz i wszedł do salonu. Był to wielki pokój o trzech oknach. Firanki ze ślicznie wyhaftowanym monogramem J. K., bramowane wspaniałym pluszem, zasłaniały szyby, puszczając na salon światło przyćmione. W środku siarczyście woskowanej posadzki leżał ogromny dywan i stały banalnie wykwintne meble. Stół przykryty kapą dźwigał albu-

my z fotografiami i lampę z pięknym kloszem. W rogach kryły się mniejsze kanapy, fotele i stoliki. Wprost okien wisiała paskudna kopia z jakiegoś ucznia Guerin'a, czy Poussin'a, malowidło do cna zczerniałe, z jedynie widzialną czerwoną łydką kobiecą i podpiętą grecką tuniką. Raduski zatrzymał się przy pierwszem oknie i patrzał w sadek tuż leżący. Ziemia okryta jeszcze była suchymi liśćmi, ułamkami gałązek przez wiatr strąconych, ale już ktoś jednę rabatę rydlem był skopał. Dalej ciągnęła się wązka uliczka między grubymi pniami drzew, pełna rzadkiego błota, w którem pławiły się jeszcze rozmiękłe szczątki lodu.

Drzwi sąsiednie cicho skrzypnęły i ukazał się w nich mężczyzna blizko czterdziestoletni, wysoki, kościsty i zawiędły. Czarne włosy nad jego czołem były już przerzedzone, w ciemnej, śpiczasto przyciętej brodzie plątały się gęsto białe nitki. Oczy przeszywające i jak brylanty migotliwe bystro patrzały z pod brwi zsuniętych, pięknych, prostych, jak dwie linie.

— Raduski...—rzekł pan Jan, nie ruszając się z miejsca.

— Co ja widzę? Jaś! — krzyknął Koszczycki, roztwierając ramiona. — Chłopie kochany, jak się masz!

Objął go mocno i ucałował. Po chwili wziął go za ręce i, wstrząsnąwszy je raz koło razu, mówił:

— Jak mi Bóg miły! To ta małpa... Właśnie kilka dni temu ktoś mi się pytał o ciebie. Zaraz... czekajże... któż mi się to pytał o ciebie? Nie mo-

głem nic powiedzieć, bom i nie wiedział ani tyle. I cóż u ciebie słychać?

— A no, wracam.

— Prawda, prawda...

Cień zasępił twarz Koszczyckiego i jakby zimnem tchnął na obudwu. Przeszli do sąsiedniego gabinetu, który pełnił obowiązki kancelaryi adwokackiej. Był to pokój niewielki, ciemny. Proste biórko, dźwigające pliki papierów, stało przy ścianie. Dokoła wyciągała się długa, czarna ława. W szafie bez szyb leżały i stały książki, przykryte dość grubą opończą pyłu. Koszczycki siadł w drewnianym fotelu przed biurkiem, gość na krześle wyścielanem. Zajrzeli sobie w oczy jeszcze raz, uśmiechnęli się do siebie... Ani jeden, ani drugi nie mógł sformułować zdania, któreby teraz pasowało. Sam tylko wzrok przybysza cieszył się widokiem kamrata z lat dziecięcych, obejmował tosamo piękne czoło, wydatny, chrząstkowaty nos, ściśnięte usta i śmiałe, płomienne źrenice...

— Myślisz siąść tutaj, w Łżawcu? — spytał wreszcie Koszczycki.

— A tak.

— Chcesz zapewne szukać jakiego zajęcia?

— Rozumie się, coś będę majstrował.

Mowiąc te słowa, Raduski patrzał w oczy kolegi z usiłowaniem odnalezienia w nich wyrazu przyjaźni z chwili powitania. Nie było go tam już, a raczej był schowany w prędkich, dziwnych błyskach.

— Jeżeli ci mam wyznać szczerze, to żałuj, żeś obrał na mieszkanie tę dziurę. Trza było nie-

zwłocznie do Warszawy! Tu we wszystkich sferach, które ja znam, takie stosunki, że prawdziwie, z ręką na sercu, radziłbym ci wcale nie próbować. O posadę, chociażby tylą, trudno tak, że to przechodzi ludzkie wyobrażenie!

— Ja miejsca płatnego na razie nie będę szukał... — rzekł pan Jan. Mam pewien fundusz, który mi pozwoli żyć tak. Właściwie zaś myślę o jednem przedsiębiorstwie w Łżawcu...

Koszczycki oglądał swe paznogcie i milczał. Gdy podniósł oczy, Jan uczuł w sercu nieprzewidziany smutek, prawie taki sam, jak wówczas, gdy za miastem otrzymał uderzenie pałą.

— O, jeżeli masz jakiś fundusz, to tu interesa robić można...—rzekł adwokat. Zależy, rzecz prosta, od wysokości kapitału. A ty na czemżeś, brachu, pieniądze zrobił?

— Nie zrobiłem, niestety, tylko dostałem w spuściźnie po stryju, który, może pamiętasz, gdym był w sztubie, raz mi przysyłał trzyrublówkę na miesiąc, to ją znowu za rozmaite przewinienia konfiskował. Kiedy poszedłem do uniwersytetu, ujrzał we mnie tyle win, że mnie znać nie chciał, później wyklął i wydziedziczył, a koniec końców, umierając przed trzema laty, zapisał mi całe swe dobro.

— No, a dużo tego? — zapytał ciekawie Koszczycki.

— Po sprzedaniu gruntów, rudery, gratów *et caetera* okazało się jakieś z górą dwadzieścia tysięcy rubli.

— E... bracie! Z takim pieniądzem to tu możesz zacząć, jaką chcesz, sztukę i dorobić się... Ja

w tem! Ale... ale... chodźże, przedstawię cię żonie.

Żywo porwał się z krzesła i ciągnął gościa do wspaniałej sali. Na chwilę znikł we drzwiach sąsiedniej komnaty i wyprowadził stamtąd żonę swoją, młodą, ładną, tłustą blondynę. Była w stanie odmiennym i to ją żenowało w chwili, gdy mąż przedstawiał jej Raduskiego. Zamieniła też z tym ostatnim kilka ledwie grzecznych frazesów i pod pretekstem przyrządzenia jakiegoś barszczu wielkanocnego wysunęła się z salonu.

— Nim się podzielimy święconem jajkiem, braciszku drogi, musisz mi wygadać o sobie wszystko,—od *a* do *z*,—mówił Koszczycki w tonie wielce przychylnym.

— Moje życie nie jest wcale ciekawe, nie interesujące. Całą historyę można zawrzeć w trzech, czterech zdaniach, ale tyś mi winien opis twego życia. Idzie ci, chwała Bogu, dobrze?...

— Nie mogę powiedzieć, — idzie nieźle... — rzekł Koszczycki, wjeżdżając na tor właściwy teraz dopiero. — Ożeniłem się... — mówił z nieporównaną swadą ludzi, którzy kochają się w malowaniu dziejów ich żywota bez względu na to, czy one choćby w części są tak bogate i godne przytaczania, jak życie tych, komu je prezentują.—Ożeniłem się, uważasz, pięć lat temu, wziąłem za magnifiką kilka tysięcy papierów, urządziłem budę. Oto jest główna sprawa. Dziś, braciszku, mam w Łżawcu tak zwaną śmierdzącą klientelę: żydów, chłopów, łapserdaków, ale za to... prawie wszystkich.

— Patrzajże!

— No, tak. Zgarnąłem z przed nosa starym

ananasom, palestrze osiwiałej i ołysiałej między tymi murami—wszystko, co się dało. Kiedym tu przyjechał i, po dwu latach dependowania u boku jednego augura, porwał się na otwarcie własnej kancelaryjki za pięćset rubli Mośka Jupitera, — oni mi włazili za pazurki... Hoho... nie masz wyobrażenia, com ja z nimi przeszedł! We łbie mi siedziały idee żakowskie, skrupuły, przeszkody, względy, sympatye i antypatye. To też miałem na kupie kilkadziesiąt rubli dochodu rocznego. Wlazłem w długi po kostki. Rozpacz mi się łba czepiała. Ale Bóg strzegł. Na dependzie i przez czas własnej praktyki zbadałem dostatecznie palestrantów i oświeciłem się cokolwieczek. Zacząłem ja, uważasz, inaczej rzecz prowadzić. Postanowiłem zrobić dwa kroki naprzód, a mianowicie: sypnąć odrazu groszem między agentów—to raz, a drugie—brać sprawy, jakie tylko są na placu. *Dictum—factum.* Wtedy właśnie trafiła mi się dosyć ślizka historyjka kryminalna. Pewien żydek miał nieszczęście przyspieszyć zbyt wyraźnie zgon swego wspólnika... Głośna heca... możeś nawet słyszał. Dowody były bardzo, bardzo skaczące do ślepiów. Przylazła do mnie żona tego Drejhafta, zaczęła molestować... Wziąłem ja tę sprawę. Wpatrywałem się w nią uważnie, ze wszystkich boków— i jakem ci, braciszku, wyrznął mowę w okręgowym, tak tego bestyę całkiem uwolniono. Absolutnie uwolniono! Od tej pory — drzwi się nie zamykają...

Raduski siedział uśmiechnięty, od niechcenia rysując palcem zagadkowe litery w cienkim pyle na powierzchni stołu.

— Prawdziwie... Ale to wpadłeś na doskonałą

myśl zdobycia klienteli... — rzekł zcicha. Dużo też rocznie zarabiasz?

— Zarabiać zarabiam tak... po trzy, cztery do pięciu...

— Tysięcy?

— No, przecie nie kopiejek.

— Bagatela.

— Widziałeś pod banhofem duże chałupsko na ukończeniu, ceglane, dwupiętrowe? To moje, uważasz pan... Tobiebym nie radził w tem gmerać. Ambarasu po dziury w nosie, a procent będziesz z tego miał licho wie kiedy...

— Ale rozumie się! No, a cóż na to wszystko palestra, osiwiała i ołysiała między murami?...

— Ba, ba! Mieliśmy z palestrą wojnę, śpiczaste wyjaśnienia, zerwanie stosunków, polepszenie stosunków... Teraz jesteśmy w stadyum cichego, acz uprzejmego kopania dołów. Naprzód, kiedym żył skrupułami i chodził ze srogą dziurą w bucie, traktowano mię z życzliwem współczuciem, jak miłego szczygiełka o ładnem upierzeniu. Po wygranej w sprawie Drejhafta rzucili się na mnie, jak na dzikiego tygrysa, z czem kto mógł: z oszczerstwem, z plugawemi kłamstwami, ze wzgardą, z udawaniem, że na świeżem powietrzu nie dostrzegają moich ukłonów, a w salonie wyciągniętej ręki. Rozumiesz to?

— Rozumiem. Dla czegóż nie miałbym?...

— Skoro zauważono, że u mnie pode drzwiami wystają tłumy żydów i chłopstwa, wezwano mię na „zebranie koleżeńskie“.

— Na zebranie koleżeńskie?... Jednakże!

— Tak! — mówił Koszczycki, z całej siły ści-

skając ramię przyjaciela i wysuwając na bok dolną wargę. Oczy jego świeciły się pod zsuniętemi brwiami zimnym, nie płonącym blaskiem, jak fosfor w ciemności; złowrogi uśmiech dźwigał krótkie wąsy i odsłaniał szereg białych zębów.—Wezwano mię na zebranie... A... poszedłem! Wdziałem czarny tużur, czystą koszulę, nowy krawat, uczesałem się i poszedłem. Najstarszy z palestrantów, moczynos Skórkiewicz, zwrócił się do mnie, jako przewodniczący, uważasz? — jako przewodniczący w imieniu „całego gremium“, uważasz? z braterskiem napomnieniem. Prosił, w imieniu tego gremium, o zaniechanie moich praktyk i mojego sposobu działania—w imię... etyki. Wiedziałem bardzo dobrze, iż owo słóweczko *etyka* wylezie staremu krętaczowi z gardła, żeby tam nie wiem co! Czekałem na nie. Skoro tylko dźwiękło wśród płynnego szeregu zdań wysoce moralnych, tudzież bezinteresownie dydaktycznych, z właściwą skromnością zapisałem się do głosu. Wówczas ja potrzebowałem mówić *parę kilkich* słowa! Jestem adwokat dobry i swojej własnej sprawy nie przegrałem, braciszku, wobec całego „gremium“, za to ci ręczę. Nie mam zwyczaju mówić pod wiatr ani jednego wyrazu, o tem ty wiesz nawet z tamtych czasów, więc i tu operowałem argumencikami pewnymi, jak tabliczka mnożenia. *Primo* — fakty, *secundo* — trafność. Wywlokłem z całego gremium jednostki, indywidua, figury za pomocą może nawet cokolwieczek ordynarnego wskazywania palcem, uprzytomniłem sławnym mecenasom sprawy, jakie to wtedy oni prowadzili, cytowałem z imienia i nazwiska środki, manipulacye, stosunki,

jakimi się posługiwali. Każdy mój argument uderzał i wywoływał niewątpliwy efekt, jak cegła, zlatująca wprost na ciemię. Mecenas *X* brzydzi się tem, że Mosiek Kropla sprowadza mi klienta za umówione kwantum kopiejek, ale sam nie brzydził się sobą, kiedy tyle a tyle lat temu, w sposób taki a taki, dziesięćkroć gorszy od moich, wkręcał się w łaski firmy fabrycznej Uhr, Nozdrzycki et C-ie przez takich a takich fagasów... I przykłady. Mecenas *Y* ciska na mnie kamieniami za to, że broniłem sprawy Drejhafta i mnóstwa innych w tym rodzaju. A czy też mecenas *Y* pamięta jeszcze sprawę *a*, *b*, *c*, *d*? I fakty, daty, szczegóły! Wszystko w zęby! Zaledwie tym porządkiem czterech zbliżyłem do światła, jużem coś ważył na szali sprawiedliwości, a w momencie przerwania tego konsylium sprawa moja wszystkim, bez różnicy wieku i zdolności oszukańczej, — wydawała się białą, jak papier welinowy.

— Cha, cha, cha...—zaśmiał się Raduski.

— Swoją drogą, uważasz, walka trwa, tylko cicha, cichuteńka. Jeżeli się gryziemy, to milczkiem, jeżeli psy na sobie wieszamy, to w głębokim sekrecie i wśród bardzo ciemnej nocy. No, a gdy zrobię dużego pieniącha, wszystko to ustanie i przyjdą mi jeszcze łapę lizać. Wierz mi!

— Ależ naturalnie!

— Oto tak się prezentuje moja sprawa z wierzchu. Uważasz, braciszku? Co się tyczy mnie samego, jak to mówiło się na Kruczej, „mnie samego w sobie“, to i to również warte jest paru słów ścisłej definicyi. Już mi się kilkakrotnie zdarzyło, że

mili ludzie, a szczególnie koledzy z budy, upatrywali we mnie strąconego anioła. Tę samą opinię czytam w twojem szyderczem spojrzeniu....

— W mojem spojrzeniu nic nie czytasz, mój stary, — rzekł Raduski.

— Być może bardzo, że się mylę... A gdyby nawet tak było, chętniebym z tobą o tem pogadał. Widzisz tak... Paru z naszych kolegów, między innemi ciebie, nie mogę uprzytomnić sobie inaczej, tylko jako pewnego rodzaju posągi, biusty, wizerunki.

— Masz teraz!...

— Jest to zapewne jakiś brak mojej wyobraźni, a nawet, kto ją tam wie,—inteligencyi... Mnóstwo ludzi z tej samej sfery dawnych współtowarzyszów rysuje się przedemną barwnie, jasno, mocno. Ten jest, bestya, taki, ten owaki, ten ma taką zaletę a taką wadę, taką nawet obskurną wadę. O was... nic nie umiem powiedzieć. Wy jesteście jacyś papierowi, płócienni, bronzowi, czy gipsowi, jacyś malowani ludzie. Wy nie macie wad, ale też dla mnie, daruj! — nie macie zalet. Człowiek zwyczajny jest to przedewszystkiem człowiek, wieczny poszukiwacz kawałka chleba dla siebie i swych dzieci, jest to mrówka, biegająca tu i tam. Geniusz, łeb w jakiejś dziedzinie nadzwyczajnej może sobie mieć wasze papierowe przymioty, gdyż on za to produkuje tyle, że setki, tysiące nim się żywią. Ale wy nic tak znowu szczególnego nie produkujecie. Jesteście pospolici młynarze codziennego ziarna, tylko nie zwijacie się przy tej maszynie życia. Sterczycie w naszej obecności z minami Arystotele-

sów, Giordano Brunów, czort zresztą wie kogo... Takiego naprzykład Staśka Laskońca, ciebie — ja nie przedstawiam sobie inaczej, tylko z twarzą bladą, z wieńcem laurowym na skroni, ale z jakiej racyi te wieńce mają się wam należeć, nie wiem, bo przecieście i tych wierszy nie pisali... Pamiętasz, naprzykład, starego poczciwca *Hezjoda?* Lubiłem tego chłopa ogniście, jako rozumiesz, kamrata, jako fujarę do bajtlu, do szachów, do sprzeczki o jaką tam... *logię*... Ale cóż to był, proszę cię, za człowiek? Z rady nie wiem już czyjej zwalił się tu do powiatowego miasta, do Pałąków. No!.. niema tam dużego terenu, ale jest sąd, można żyć, mając *kepełe* nad kołnierzykiem. Cóż się okazało? Ten kulfon brał sprawy o tyle, o ile były ten tego z etykami, ze sprawiedliwościami społecznemi... Zgadnij też, ile zarobił przez pół roku?

— Nie zgadnę.

— Rzeczywiście... to trudno. Zarobił siedmdziesiąt pięć kopiejek. Wyraźnie rubli srebrem siedmdziesiąt pięć kopiejek! No, żarł ci *podlissime*, mieszkał podle, w dziurawych krypciach łaził; przywiązała się jakaś brzuszna historya i poszedł ze swą etyką do Abrahama na lepszy wikt i na jakie takie piwo. Oto masz: jeden papierowy...

— O *Hezjodzie*, jak łatwo pojmiesz, słyszałem piąte przez dziesiąte. Niech śpi w spokoju... Co do mnie, to nie należy mi się, rzecz prosta, żaden wieniec, Staśkowi zaś, a właściwie jego świętej pamięci, jego, jak mówisz, malowanemu wizerunkowi należy się, ale cierniowy.

— Pamięci? A cóż to i ten umarł?

— Umarł, braciszku.

— Kiedyż to? bój się Boga! Nic nie wiem...

— To niema żadnej łączności z twojemi sprawami. Papierowy człowiek był, deszcze go rozmoczyły, burza go poszarpała na szmaty, a dziś niema zeń ani jednego włókienka — oto wszystko. No, gadaj dalej...

Koszczycki milczał przez chwilę. Twarz jego drgała i błądziły po niej ciemności. Wkrótce opanował się i mówił tonem, w którym czuć było pewność siebie:

— No tak, tak... Ja należę do tłumu, do szeregu ludzi pospolitych, ulepionych z tutejszej gliny, kierujących się w życiu wielce ordynarnemi, zgrzebnemi maksymami. Ale czy uwierzysz, że ja to właśnie jestem blizki tego życia, blizki jego duszy i serca? I nie tylko tyle... Ja mogę sprawić, żeby się w tem życiu działa minimalna, jedynie możliwa przemiana materyi, jakieś poprawki szelmowskiej duszy ludzkiej, niedostępne dla gołych źrenic dyletanta. Mogę, naprzykład, oddziałać, żeby jeden filister ustąpił drugiemu tam, gdzie może to zrobić bez szwanku swoich interesów, a tylko nie chce; żeby jeden drugiemu darował zemstę, odpuścił zniewagę; żeby bogaty nie zdzierał ostatniej skóry z biedniejszego... Ja nie jestem od cnót, ani od cnót głoszonych, ani od robionych, sam się z ochotą pożywię na drugim, gdy mogę, ale czasami urządzam sobie taki deser.

— Chwała cię za to nie minie...

— Ty zaś i twoi z wielkimi wyrazami, to cí pod słowem honoru mówię, szkodzicie tylko... wy-

razom, w śmiech je obracacie. Mój kochany Jasiu, czyż ty znasz ludzi, czy ty znasz świat, czy znasz życie? Widziałeś go tyle akurat, ile się, naprzykład, chwyta okiem przestrzeni w ciemną noc, przy świetle błyskawicy. Kiedy ja po upływie dziesięciu lat wpatrywania się w to życie człowiecze, wracam wolną chwilą do wyobrażeń młodości, które ty jeszcze piastujesz, to daruj, ale mi się nawet gadać o tem nie chce! Ja przecie, braciszku, nic innego nie robię, tylko docieram do prawdy, życiowej prawdy, esencyi zdarzenia: jak było, w jakim porządku się odbywało? Nic innego nie robię, tylko wywłóczę i rozpatruję cuchnące bebechy człowieka. Badam trzeźwo, bez odrobiny, bez cienia pesymizmu, bo z natury jestem sobie człowiek wesoły. Jak lekarz robi sekcyę truposza, znajduje przyczyny i powody śmierci, zwyrodnienia i zaburzenia organizmu, tak samo ja z tem życiem mrowiska ludzkiego: otwieram i roztrząsam. A czy wiesz, jaka jest suma i ostateczny wynik moich doświadczeń?

— Nie wiem, bo i skądże mógłbym wiedzieć...

— Oto, wierz mi, natura człowieka jest zła. Co więcej — jest podła. Człowiek — jest to skrytobójca i złodziej, tchórz i krzywoprzysiężca.

— „Pełne fałszu i chytrości krokodyle plemię..."

— Nie inaczej, mój złoty! Chciej tylko chociażby przez chwilę, wysiłkiem pociągnąwszy wolę, wspiąć się na pazury i zajrzeć bystro w bliźnich odmiennemi źrenicami, albo lepiej — wmyśleć się i wsłuchać w samego siebie, jakby to czynił obywatel z innej gminy i parafii. Czy rzeczywiście zobaczyłbyś tam aby jednę zdecydowaną cnotę w po-

staci czystej, aby jeden z pewników, jednę z prawd, jakie wysławiamy, nie myśląc wcale o treści słów naszych? Przypomnij sobie tych ostrowidzów, którzy śmiało badali tajemnice serca ludzkiego. Weź, naprzykład, Hamleta...

— E... Hamleta!...

— Był to wytrwały i sumienny podglądacz, jeden z tych, co to lubią włazić w krater wulkanu dla zobaczenia własnemi oczami, jak to tam robi owa natura... No, i nie możesz twierdzić, żeby taki Hamlet przychodził do refleksyi optymistycznych. Jako środek uniknięcia tego gada, który nazywamy sercem ludzkiem, rekomenduje metodę: „umrzeć... zasnąć...“ Inny badacz, nierównie zdolniejszy od królewicza Danii, Napoleon pierwszy, znał po królewsku stado ludzkie i zaczął je też gnać żelaznym kańczugiem według swojej woli...

— Ij... Czy to aby nie są jakie paradoksy?...

— To ci się tylko tak widzi, że paradoksy. Weźmy, proszę cię, takie tylko zjawisko, jak ludzką namiętność do pieniędzy. Czegóż to człowiek dla nich nie poświęci? Wskaż mi tę świętość, tę cnotę, to prawo... Przedstawię ci zresztą jeden kawał, który całą rzecz wytłumaczy. Był tu, może pamiętasz, na szosie warszawskiej farbiarz, stary Miller z Niemców, z Czechów, czy z jakichś tam dyabłów, dość, że miał gruby kapitał. Siedział tu nad rzeczką całe życie w swej nędznej budzie, gołemi kolanami świecił, a grosz do grosza ciułał. No, uważasz bracie, *sztyrbnął* ten Miller. Testamentu żadnego, familii ani na lekarstwo, a w samym tylko banku warszawskim leżało *gotiu* ośmdziesiąt ty-

sięcy rubli. Cóż się nie robi... Mamy tu w mieście rozmaite rybki, między innemi jest pewien pokątny doradca, istny geniusz, pan Kołpacki Hilary. Już go sądy wielokrotnie prosiły siedzieć, ale to nic. *Busines* precz robi. Pan Hilary, pan Siapsia Kirszenbaum, oraz pan Nuchym Poniedziałek zeszli się skromnie w handelku Gwaździckiego, ucięli małą radę i — cicho, sza. Zaraz następnego dnia zjawił się kuzyn nieboszczyka Millera, urzędnik, czy kolejarz. Skądś, bestyjka, wylazł, z Pabjanic, czy z Łodzi, słowem — ukazał się w żałobie. Przyjechał z wielkim płaczem oglądać jedyne pamiątki po stryjaszku. Towarzyszyli mu w tej smutnej procesyi dwaj panowie izraelici. Mecenas Hilary wcale się nie ukazywał. W stancyjce nieboszczyka stryja było trochę obskurnych gratów: łóżko żelazne, siennik, stoliczek... Bystrooki radca Kirszenbaum zaczął pilnie szukać testamentu i, wyobraź sobie, znalazł. Leżał testament, jak byk, w szufladzie, między zardzewiałymi gwoździami, testament pisany po niemiecku, w którym stryj Miller caluteńki swój majątek przekazuje bratankowi Millerowi z Pabjanic, czy z Łodzi. Ano — wszyscy czterej ogromnie się ucieszyli. Pan Kołpacki urżnął się przy tej okazyi z radości i wyciął pięścią w brzuch samego Gwaździckiego. Jazda do sądu, do formalnego stwierdzenia aktu! Wszystko zostało załatwione, jak się patrzy, i młody kuzynek podniósł pieniądze, gdzie tylko jakie były. Zebrało mu się w kieszeni, uważasz, około stu tysięcy rubli... Ale cóż się wtedy nie okazuje! Mecenas Kołpacki otrzymał nagły list z Wrocławia, czy skądś tam, że w takim a takim

punkcie przemieszkuje rodzona żona z dziećmi papy Millera. Ta żona grozi, że testament musi być unieważniony, że jej się wszystko należy. Pędzi, uważasz, mecenas Kołpacki do młodego Millera, który już był we właściwy sposób napoczął grajberów, i przedstawia mu całą grozę sytuacyi. Młody i lekkomyślny spadkobierca traci przytomność. Wtedy mecenas podejmuje się zamazać sprawę, babę uciszyć, otumanić jej głowę wykrętami prawnymi, wyłgać słowem urzędowy akt zrzeczenia się całej schedy. Na to trzeba, oczywiście, pieniędzy. Ile? Prosta rzecz, jakieś piętnaście tysięcy rubli. Lekkomyślny młodzieniec w strachu o całość sypie fajgle na stół, pan Kołpacki zgarnia je w kabzę i grzmi niby do Monachium, czy do Wrocławia...

— Szybkim sposobem zrobił pieniącha... Co?..

— Nieobecność Kołpackiego trwała kilka miesięcy. Wówczas rozmaici krewni farbiarza zaczęli szturmować listami do panów Siapsi Kirszenbauma i Nuchyma Poniedziałka, którzy se swej strony musieli na gwałt uciszać tych niebezpiecznych krewniaków funduszami spadkobiercy. W trakcie tego wraca z zagranicy główny mecenas i oświadcza, że baba nie zgodziła się na żadne ustępstwo, że jedzie do Łżawca z groźbami wdrożenia procesu. Z piętnastu tysięcy rubli nie została ani złamana kopiejka. Wtedy także wszyscy trzej mecenasi zaczęli straszyć ogłupiałego Millera szeptaniem, że testament rzeczywiście jest niepewny i że lepiejby chyba było zawczasu bryknąć w jakie miejsce. W istocie też wszyscy czterej puścili się do Austryi. W Wiedniu...

— Ślicznie... ale to wszystko miało czegoś dowodzić?..

— To wszystko i następne wysoce ciekawe perypetye aż do przymknięcia trzech inspicyentów i prośby o długie siedzenie — znakomicie pokazuje, że nasz świat łżawiecki składa się *mutatis mutandis* z takich oto Millerów, Kirszenbaumów, Kołpackich. Marzyć, że się tchnie w te instynktowne ruchy ślepego żywiołu ludzkiego jakąś ideę, znaczyłoby, według mnie, tyle, co dmuchać na morze z zamiarem powstrzymania jego przypływu. A czyż my sami nie stanowimy jego kropel? Czy nie tak samo rozwalamy obcasikami fizyognomie naszych bliźnich w gonitwie za pieniędzmi, ażeby mieć możność pielęgnowania pewnych cnót, niby kwiatów cywilizacyi? — Mówże, nie mam słuszności? W społeczeństwie dzisiejszem trza przedewszystkiem i koniecznie mieć na to, żeby można być uczciwym, nieskazitelnym, kultywować honor, — podobnie jak trzeba mieć fundusze na kolekcyonowanie numizmatyki, sztychów, czy malowideł. Jeden z młodszych kandydatów do posad sądowych ujął nawet to zjawisko w aforyzm bardzo, mojem zdaniem, udatny. Rzekł mianowicie, że szlachetność myślenia i postępowania znajduje się w prostej zależności od dochodów.

— Z młodych, mówisz? To widzę, skłonność do ścisłych definicyi ogromnie się krzewi wśród młodzieży, wstępującej w życie!...

— Mniejsza o ironię, bo tu, braciszku, idzie właśnie o to, czego chciałem. Kto nie korzysta z czasu, żeby w chwili szczęśliwej chwycić garścią

majątek, ten nie należy do szeregu ludzi rozumnych, a *eo ipso* godnych uwagi. Tak jest zbudowane nasze życie.

— Dla tego niby, że orzekł kandydat do posad sądowych?

— Nie! Dla tego, że właśnie życie mówi to samo. Nic nie pomogą twoje ironiczne uśmiechy. Chcesz mi dowieść, że ja jestem mało wart dla tego, że zębami i pazurami gromadzę majątek... Ty mi teraz wytłumacz, objaśnij mi, jaką korzyść przyniosła światu śmierć Laskońca!

Raduski spojrzał na niego dzikiemi oczyma i wstał ze swego miejsca, mówiąc:

— Nic ci już nie będę tłumaczył, gdyż wychodzę. Przeproś żonę i tego...

— Ale słuchajno, fujaro, może ja ci zrobiłem przykrość... Widzisz, ja szczerze gadałem, ja z pod serca... Zostań-że, nie rób mi tej przykrości! Proszę cię... słuchaj-że...

Raduski uderzył go kilkakroć po ramieniu, zaśmiał się i wyszedł z mieszkania.

IV.

W marcu i w kwietniu Raduski zajmował się gorliwie utrwaleniem egzystencyi swojej gazety. Wkrótce po przyjeździe słyszał stąd i zowąd, że przed kilkoma laty wychodziła współrzędnie z *Gazetą łżawiecką*, organem, bez którego nie było prawdziwie możności uzmysłowić sobie miasta, druga kierowniczka opinii, pod bezinteresownem i skro-

mnem zawołaniem *Echa łżawieckiego*, trzykroć w ciągu każdego tygodnia informująca Europę o losach gubernii, tudzież jej stolicy, a gubernię o losach wyż wzmiankowanej Europy. Na piętnaście miesięcy przed przybyciem Raduskiego *Echo łżawieckie* po dwuletniem wzywaniu do prenumeraty z takim skutkiem, jakby się rzecz odbywała w centrum pustyni Gobi czyli Szamo, chwiać się zaczęło w posadach, zniżać do upadku, a wreszcie z właściwym hałasem runęło w grób na czas bliżej nie oznaczony. Żeby też jeden promyczek wiary w przebudzenie oświecał mogiłę tego pisma! Tymczasem, ledwie upłynęło kilka tygodni ciszy, tak pożądanej przez miasto, znowu, niby błyskotliwy fajerwerk, wyleciały na Łżawiec numery ze zwoływaniem jakiejś kategoryi mieszkańców, stale tytułowanych „ludźmi dobrej woli", ażeby ci „materyalnie i moralnie" *et caetera et caetera.* Na tem się wreszcie skończyło. „Ludzie dobrej woli" uspokoili się i odetchnęli. Ustało wzruszanie ramionami. Koncesyę piastował niejaki pan Okładzki, urzędnik jednego z biur gubernialnych, sławny w mieście z tak zwanej ostrości pióra. Ta ostrość przejawiała siłę swą głównie w trawestacyach utworów literatury romantycznej na modłę specyficznie łżawiecką, nie tyle dowcipną, ile pornograficzną, oraz w majstrowaniu cichych paszkwilów i karykatur, wysyłanych do pism humorystycznych warszawskich w celu zgnębienia heretyków, którzy w jakikolwiek sposób obrażali czułość opinii gubernialnej. Redaktor *Echa* starał się na wsze strony o „rzutkiego a głupiego" wydawcę, któryby chciał cisnąć w walkę dziennikarską z *Gazetą* jakąś ilość

tysięcy rubli, ale o takiego nie było wówczas łatwo. Ludzie spali. Udało się, coprawda, podmówić kolegów i przyjaciół do składki na wydawnictwo. Dzięki temu *Echo* wstało z letargu, nie mogła jednak taka wegetacya zbyt długo się przewlekać. Nim czytelnicy namyślili się, którą z gazet prenumerować, już *Echo* z braku „poparcia materyalnego i moralnego“ zapadło w nowy somnambulizm.

W tym samym czasie *Gazeta* szła doskonale. Liczyła tysiąc z górą abonentów. Prenumerata, wynosząca pięć rubli rocznie, dawała jej pięć tysięcy rubli dochodu, a ogłoszenia pokrywały koszta bibuły i druku. Innych wydatków prawie nie było, gdyż cały zapas artykułów, przerobionych z gazet warszawskich, wklejał pracowicie w „łamy“ sam redaktor, a raczej sam trzymający pierwsze nożyce, feljeton zaś wypełniały tłumaczenia powieści angielskich, na przestrzeni wiorst i mil stębnowane w kółku familijnem tegoż redaktora. *Gazeta* była silnie, trzebaby powiedzieć, monstrualnie szlachecką, chociaż i zamożniejszemu mieszczaństwu nie odmawiała praw bytu i prenumeraty.

Wiadomości prowincyonalne czerpała dziewiczo z raportów, składanych w urzędzie gubernialnym, co ją zabezpieczało nietylko od kłamstw reporterskich, ale także od zbytecznego wścibiania nosa; wypadki kościelne kreśliła bezpośrednio w przedpokoju władzy duchownej. „Tydzień polityczny“ robiły nożyce, a plotki brukowe całymi koszami znosili usłużni moszterdzieje, częstokroć w nadmiernem mnóstwie, a całkiem, bezpłatnie, bo tylko za cenę możności gadania, ile się zmieści.

Laury i okrągłe zyski *Gazety* nie dawały zdrzemnąć się redaktorowi *Echa*. Dzięki tej czułości, w parę dni po przyjeździe do Łżawca, Raduski zaszczycony został wizytą Okładzkiego. W pierwszej chwili wędrowiec nasz stanowczo uchylił propozycyę wskrzeszania pisma, które i t. d. Jednakże po wyjściu ex-redaktora, ze szczególną przenikliwością wiedzącego wszystko, co się tyczyło funduszów, — zaczął myśleć o tej kwestyi. Następnego dnia roztrząsnął ją uważnie, ze wszech stron i wezwał publicystę do siebie. Ostre pióro stanęło w hotelu niezwłocznie i zgodziło się na wszelkie warunki, jakie mu Raduski przedstawił. Warunki te średnicowo zmieniały ton gazety. Miała ona stracić wszelką dotychczasową barwę, unikać polemiki z towarzyszką, a natomiast miała wytknąć sobie cel bytu i do tego celu zdążać bezustanku. Raduski proponował dwie rzeczy: *primo*, żeby gazetka była przedewszystkiem organem Łżawca i gubernii; powtóre chciał, żeby z niej uczynić informatora dla piśmiennictwa krajowego o bycie, stanie, losach, pracach i mocy produkcyjnej zakątka, którego wyrazem być miała. W rozumieniu jego gazeta w ten sposób prowadzona, a raczej na taki tor stale a niepostrzeżenie wpychana, musiałaby z czasem przybrać charakter jakby umiejętnego wykładu o prowincyi. Miał tam być przedstawiony kolejno w dobrych opisach, któreby w feljetonie zastąpiły czcze banialuki angielskie, stan przemysłu fabrycznego i kopalń, rolnictwo w drobnej i wielkiej jego postaci, rzemiosło w miastach i na wsiach, handel wielki i drobny. Miały być podawane w formie,

naprzykład, wesołych i dowcipnych wspomnień z wycieczek à la Heine opisy życia, mieszkań, dworów, chat, ruin, kościołów, cmentarzy, lasów, dróg, pól. Artykuły takie musiały być pisane jasno a pięknie, żeby je wybornie zrozumiał i żeby się w nich rozkochał czytelnik. A czytelnikiem owym byłby szary, przeciętny człowieczyna „ze Łżawca", „zpode Łżawca", czy to z tamtej strony, od Sapów, czy choćby aż od samego, *hań* Obrzydłówka. Feljeton barwny miał być z czasem zamieniony na poważny. Miał traktować o kwestyach najżywotniejszych, o kromce chleba czarnego i szczypcie soli, proponować wytwórczość rozmaitych rzeczy, dla których rynek zbytu gazetka miała poprzednio, specyalnie dla Łżawca, wynaleźć i wiarogodnie opisać. Jednę z głównych rubryk miało stanowić wyjaśnienie zjawisk ekonomicznych w sposób umiejętny i podnoszenie z naciskiem tych, które byt ekonomiczny Łżawca i całej prowincyi dźwignąć niewątpliwie mogły. Ponieważ istniała w mieście druga płachta, dająca wszelkie wiadomości brukowe i gubernialne, więc *Echo* winno było, według Raduskiego, mniej „łamów" przeznaczać na sensacyjne wypadki, wiadomości polityczne referować w treściwych i jasnych zdaniach, awantury zaś i bajdy tylko co ważniejsze i ciekawsze. Tym sposobem *Echo łżawieckie* miało stać się istotnym organem życia i wizerunkiem tego kąta kraju.

Pan Okładzki zaakceptował program, jak to mówią, z pocałowaniem ręki, a nawet z kilkakrotnem ucałowaniem obu, chętnie przyjął pensyę redaktorską, wynoszącą kilkanaście rubli miesięcznie,

tudzież warunek, że utwory swoje, zarówno trawestacye, jak cięte satyry pomieszczać będzie w innych pismach. Raduski, jako główny współpracownik *Echa*, musiał obejrzeć się za pomocnikiem literackim, któryby program jego wcielał w życie, gdyż sam nie miał żadnych talentów, aspiracyi i umiłowań dziennikarskich. Ex-redaktor, znawca ludzi, miejsca i stosunków, wskazał mu, dość zresztą niechętnie, pewne indywiduum, urzędujące w sądzie, które jakoby płodziło na papierze „kawały", nie odznaczające się niczem, bo ani zadzierzystością pióra, ani dowcipem pieprznym.

Jednego z ostatnich dni kwietnia, gdy już sprawy formalne, ugoda z drukarnią, a nawet wydzierżawienie lokalu redakcyjnego, załatwione zostały, Raduski udał się wprost do mieszkania młodego człowieka, który miał być główną osobą redakcyi. Kiedy wszedł na ulicę Zasobną i myślał, jaki też ten człowiek być może, doświadczał prawdziwej trwogi. A nuż nie będzie można z nim się porozumieć, a nuż trzeba szukać kogoś w Warszawie, kogoś, kto nie zna miasta i okolicy, ani stosunków, ani ludzi...

Snując niecierpliwe rozmyślania na taki temat, Raduski zatrzymał się przed posesyą pani Brenerowej. Była to miejscowość sławna, jeśli nie na całą gubernię, to z wszelką pewnością na cały powiat. Tyłami sięgając przedmieścia, frontem zwrócony do ulicy Zasobnej, krył się w cienistych ogrodach szereg drewnianych budynków, a właściwie jeden dworek parterowy nadmiernej długości i niesłychanego kształtu. Od ulicy stał dom fundamentalny, na któ-

rym jeszcze można było wyróżnić samoistną figurę ścian i granice strzechy. Do tego pierwotnego dworku przybudowano z czasem drugi, mniejszy, tak chytrze i podstępnie, że obadwa zczepiły się węgłami, ścianami, dachem i zbutwiałością sosnowych rynien. Za drugim szedł trzeci kilka stóp na prawo, jakby się obawiał wleźć w kałużę ścieżki, która w tem miejscu właśnie się wyginała. Dalej krzywiła się kleta do niczego niepodobna, koślawa, nizka, cofnięta w tył i wlokąca za sobą dachy dwu sąsiadów. Od tego punktu domostwo znowu się bakierowało ku drodze, raptem szło w ogród i, tworząc w nim kąt prosty, urywało się w postaci murowanej kamieniczki. Naokół pachniał sad, czeremchy, zapomniane przez wszystkich, rosnące same dla siebie, dziko, bujnie, wolno i rozłożysto. Długie gałęzie zwieszały się z poza parkanu nad wązką dróżką, moknącą jeszcze w rzetelnem błocie. W środku obszerniejszego podwórza, przed obórką, chlewem i drwalniami stało kilka fur chłopskich. Wyprzężone szkapięta zajadały garstki siana, rozłożone między deskami wozów, na których siedziały kobiety w chustkach i wełniakach. Trzech włościan rozmawiało z nizką babiną miejską, ubraną w ogromne kalosze, wysoko ugiętą spódnicę, męskie palto z długimi rękawami, świecące się, jakby je na ten dzień wyczyszczono szuwaksem, i duży czarny czepiec. Gdy Raduski stanął w podwórzu i zaczął wędrować z kamyka na kamyk, jejmość osaczyła go swoją uwagą, ścigała nieufnymi ruchami, a koniec końców krzyknęła głosem, w którym było daleko mniej uprzejmści, niż zakatarzenia:

— A czego to?

— Czy tu mieszka pan Grzybowicz, urzędnik? Pan Grzybowicz.

— *Miszka*, kochany pan Grzybowicz w tamtych drzwiach.

— Dziękuję pani dobrodziejce.

— Aha... Dziękuję... Grzybowicz! Możebyś mu pan powiedział, że to dziś dwudziesty szósty, dwudziesty szósty!

Raduski zapewnił tę niewiastę, że bezwarunkowo uwiadomi pana Grzybowicza o przemijaniu daty dwudziestego szóstego kwietnia — i wszedł do sieni wskazanej. Znalazł się w przejściu, obitem spróchniałemi deskami, a stamtąd wkroczył do kuchni. W sieni, w kuchence, w otwartej śpiżarni nie było żywego ducha, to też rezolutnie uchylił drzwi spotkane na drodze i, minąwszy trzy schody, trafił do stancyjki, jasno rozwidnionej dwoma oknami. I ten pokój był pusty. Raduski zatrzymał się mimowoli. Okna były zamknięte, a wychodziły wprost na parkan wielki, spróchniały i dziwnie smutny. O krok przed szybami stał, niby nieubłagana, zazdrosna okiennica. Nad czarnym daszkiem, z którego większość gontów odpadła, rozpościerały się gałęzie drzewa jabłoni, rosnącej w ogrodzie sąsiednim. Raduski uśmiechnął się, nie wiedzieć czemu, do cudnej, lśniącej, soczystej, jasnozielonej smugi liści, która, niby pozdrowienie przyrody, zaglądała do tego mieszkania. Sprzęty w pierwszej izbie były skromne nad wyraz. W drugiej widać było poręcz starej kanapy i róg stołu, zawalony plikami papie-

rów. Gdy Raduski postawił krok jeszcze, dał się stamtąd słyszeć okrzyk:

— Hela, to ty?

— Czy pan Grzybowicz jest w domu?—zapytał gość z bezwiednym ukłonem.

We drzwiach stanął człowiek młody, nizkiego wzrostu, krępy i czupurny. Idąc ku Raduskiemu, prawą ręką wpychał machinalnym ruchem na nos binokle, a drugą osłaniał gors koszuli.

— Czy pan Grzybowicz? — zapytał przybyły.

— Tak jest.

— Nazywam się Raduski. Mam do pana interes, pewną prośbę, o której chciałbym pomówić. Czy ma pan wolną chwilę czasu?...

— O... ależ... Natychmiast!

Mówiąc to, pan Grzybowicz cofał się szybko do drugiej stancyi i znikł w niej na czas bardzo długi. Słychać było stamtąd szelest, łoskot, a nawet szczęk błyskawicznie dokonywanego stawiania pokoju w figurze wizytowej. Raduski skorzystał z tej chwili czasu, ażeby wznieść oczy ku pięknej gałęzi. Myśl jego nagle uciekła od rzeczywistości, od sprawy, z którą tu przyszedł, od wszelkich wreszcie interesów życia i zawisła nad czemś tak nieuchwytnem i dziecinnem, jak pytanie, czy prace przyrody, czy nieobeszłe myślą czyny jej mają cel jaki, czy pracują dla kogo. Po co rośnie zielony krzew, dla czego zagląda przez płot na człowieka, czemu tak go kochają nasze oczy?...

— Służę panu dobrodziejowi... Uprzejmie... Bardzo mi... Uprzejmie... — mówił pan Grzybowicz, odziany w surdut daleko mniej zniszczony, w kra-

wat i kołnierzyk. Raduski wszedł do sąsiedniego pokoju i siadł w kącie wybrzeża rozległej kanapy.

— Ma tutaj,—zaczął mówić, wpatrując się badawczem okiem w twarz swego interlokutora,—ma tutaj w Łżawcu powstać drugie czasopismo, *Echo łżawieckie.*

— *Echo łżawieckie?*

— Ja należę do składu redakcyi, a raczej do grupy wydawców. Ponieważ słyszałem, że szanowny pan zajmuje się literaturą...

— Ja?... Ależ... Proszę pana... — mruknął pan Grzybowicz, rumieniąc się, jak dzieweczka i zwijając skrawki papieru.

— Ponieważ pan zajmuje się literaturą, chciałem prosić o współpracownictwo stałe. Moglibyśmy zaraz umówić się co do honoraryum miesięcznego.

— Miesięcznego?

— Nie potrzebowałby pan chyba opuszczać swych zajęć biurowych. Moglibyśmy naznaczyć godziny redakcyjne popołudniu i opracowywać artykuliki w tym czasie...—mówił pan Jan szybko, zły na siebie, że wyjawia całą propozycyę, nie zbadawszy człowieka.

Pan Grzybowicz mrugał prędko powiekami i wciskał co chwila swe binokle z taką zapamiętałością, jakby miał intencyę wydłubać sobie na raz obiedwie gałki oczne. Po chwili dopiero rzekł głosem zmienionym:

— Panie dobrodzieju... Ja nie rozumiem... Ależ... i owszem! Słyszane rzeczy!

— Czy pan pracował już w jakiej redakcyi?

— W redakcyi? Nie. Stale—nie. Zawsze pali-

łem się do tego, jak trociczka... Cóż, kiedy nie! Pisywałem stale na kursach do jednego pisma... tam... Ale to, proszę pana, to inne sprawy.

— Inne sprawy?... No, a później?

— Z drugiego kursu prawa wymydliło mię...

— Co pana wymydliło?

— E... nic... drobnostka... brak dochodów. Ożeniłem się. Tu człowieka wiatr zaniósł — i koniec. To jest ja pisywałem oddawna, no, ale to prywatnie...

— Niby jakto, prywatnie?

— Uważa pan, bez czyhania na druk. To tam literackie różne, rozmaite...

— Wiersze?

— Tj... Ale teraz ja nie waham się ręczyć, że opracowywałbym z całą sumiennością!...

Raduski zaczął objaśniać mu swój pogląd na gazetę i wyłuszczał w skróceniu projektowane artykuły. W miarę, jak mówił, twarz Grzybowicza bladła i jaśniała przedziwnie, jakby na nią blask padał. Z warg jego uśmiechało się uczucie tak bezmierne, z oczu strzelał taki błysk namiętności, że aż w piersi Raduskiego zatlił westchnienie.

— Tym sposobem,—prawił wydawca,—możnaby prowincyę tutejszą prezentować krajowi, niby w dokładnem lustrze odbitą, interesy jej wiązać z interesami całego czynnego u nas ogółu, a, co jest rzecz pierwszorzędna, otwierać oczy, wskazywać niewyzyskane ugory wszelakiej pracy, wystawiać strony głupie, podłe, złe i zmuszać nie zapomocą napaści, lecz siłą argumentu — do reformy.

— Tak, tak, tak!—szeptał z cicha Grzybowicz,

kiwając głową i wykonywując lewą ręką taki ruch, jakby kręcił procę. — A co się tyczy opisów, to ja gotów jestem zadarmo, zupełnie zadarmo! Ja to sam pragnąłem robić. Bazgrałem stąd do pism warszawskich podobne szkice życia przemysłowego i obywatelskiego ze Łżawca. Pisałem tak i owak. Próbowałem w kształcie feljetonów. Ale zazwyczaj redaktorowie odrzucali wszystko z wyjątkiem takich rzeczy, jak gradobicia, powodzie, teatry amatorskie, „zderzenia“ wagonów etc. Jeżeli się nie trafił wielki pożar, bal publiczny, wybory w towarzystwie kredytowem ziemskiem, wizyta pasterska, to korespodencyi wcale nie zamieszczano. To, co pan mówił, usiłowałem w pismach popularnych. Ale i tam na nic. Pisma takie muszą mieć na oku rozległy i różnorodny teren, czytelnika z tylu prowincyi odmiennych, nie można tedy zapychać gazetki wiadomościami z jednego ustronia, traktowanemi tak szeroko. Zbierałem dane etnograficzne, pieśni, podania, legendy... Cóż z tego? Wszystko dorywczo, dorywczo... Ja mam trzydzieści pięć rubelfajgli miesięcznie. Resztę muszę dorabiać kopiowaniem papierów...

— Łaskawy panie...

Grzybowicz podniósł się z krzesełka, nieśmiało ujął rękę Raduskiego, zaczął ją śmiesznie a mocno wstrząsać i mówić:

— Teraz pan zwiastuje mi taką rzecz... Proszę pana, ja nie jestem w stanie wypowiedzieć, nie jestem w stanie wypowiedzieć...

W pierwszej stancyjce dał się słyszeć łoskot drzwi szybko roztwartych i weszła przez nie kobieta

młoda jeszcze, prawie podlotek, niełądna, w sukni starej, zniszczonej, ale bardzo sympatyczna. Wstrzymała się raptem na widok gościa i mierzyła go ciekawem, zdumionem spojrzeniem. Pan Jan wstał i złożył jej ukłon. Grzybowicz, jąkając się, wymówił cichym głosem jego nazwisko, potem ustąpił żonie miejsca, a sam, stojąc przy jej krześle, zaczął opisywać całą historyę propozycyi, którą mu przed chwilą zrobiono. Wykład ten urywał co moment i o czemś rozmyślał. Niespodziewanie zaczął mówić do Raduskiego:

— Żona moja jest córką tutejszego urzędnika z gubernii. Zapalaliśmy się do siebie jeszcze w sztubie. Pomagała mi, gdy byłem na kursach i gdym patrzał głodowi prosto w ślepie...

— Antoś... — szepnęła żona.

— Nic, nic... Czekajno! Byliśmy w sekrecie zaręczeni. Rodzicom jej wcale to nie smakowało, gdyż odrzuciła kilku starających się, konkurentów z „pozycyą socyalną“. Tymczasem trafił się konkurent z nadzwyczajną „pozycyą“: profesor gimnazyalny, młody elegant i z dobrej familii. Wtedy ją papa i mama zaczęli namawiać argumentem postronkowo-rzemiennym...

— Antoś!

— A więc do bata rodzicielskiego W mieszkaniu było dzieci stadko, a ta sobie miłość długoletnią ze studentem!... Trza było sytuacyę ratować, uniwersytet puszczać kantem. Łatwo postanowić... Ale o miejsce w hierarchii ludzkiej nie tak łatwo! Wkręciłem się na trzydziestorublówkę i wzięliśmy ślub między ulewą łez a grzmotami wyrzekań

ojcowsko-macierzyńskich. Bieda nas zżerała nie byle jaka! W rok po urodzeniu się Władziunia (mamy syna, proszę pana, Władek się wabi), w rok po urodzeniu się... *uuu!*... była bryndza, tak węgierska, że dalej nie idzie...

— Tak źle nie było, mój mąż przesadza! — zaczęła mówić szybko pani Grzybowiczowa.

— Wtedy odchodziło kopiowanie papierów... hu-ha! Gdy tylko wyzdrowiała, wnet się wzięła do tych lekcyi muzyki. Proszę pana... piętnaście kop lekcyjka, deszcz nie deszcz, zima nie zima! Musieliśmy nająć do malca służącą. W tych izbach, prawdę mówię, przeżyło się... Żona była bardzo chora, puściły się deszcze jesienne, chłody i jakieś wielkie smutki... Ach, Boże! Dach tu przecieka, proszę pana, leje się, jak z rynny, wprost w łóżko. A ponieważ, *entre nous soit dit*, zalegałem cokolwieczek w opłaceniu czynszu mieszkalnego, więc nasza gospodyni nie raczyła słuchać o reparacyi dachu. Podstawialiśmy na górze wszelkie szkła i fajanse, jakie tylko były w domu. Ale nic z tego: piękny Staubbach lał się swoim trybem do łóżka. W drodze łaski gospodyni przysłała tacę na dwadzieścia cztery szklanki, zabytek familijny i klejnot wielce szanowany w tym dziedzińcu, i pod tą tacą moja żona musiała leżeć całemi dniami dla osłonięcia się od kapiącej wody... I oto teraz pan proponuje...

Zwrócił się nagle do żony i objaśnił jej szczegółowo cały plan wydawnictwa. Raduski wodził oczyma po stole przywalonym aktami, stosem książek i gazet, po gratach dawnych, zniszczonych i biednych. Wtem drgnął i z niepokojem przyjrzał się

pani Grzybowiczowej. Siedziała sztywnie wyprostowana i lewą ręką cisnęła do ust chustkę, której koniec gryzła mocno zębami. Czoło jej marszczyło się coraz bardziej, brwi zbliżały jedna ku drugiej. Raptem trysnęły z oczu jej łzy strugami i łkanie wydarło się z piersi. Siedziała nieruchoma, wciąż patrząc przez te łzy na Raduskiego szeroko rozwartemi źrenicami w sposób tak żałosny, tak głęboko dziękczynny, że nie mógł usiedzieć. Zerwał się na równe nogi, strzepnął palcami, zaczął sykać, machać ręką i, wykonywując dzikie ukłony w kierunku różnych sprzętów mieszkania, co tchu stamtąd umknął.

V.

W połowie maja ukazał się pierwszy numer wznowionego *Echa* i wywarł niejakie wrażenie doborem artykulików. Okazało się, że Grzybowicz, szumnie zwany sekretarzem redakcyi, był dzielnym literatem. Pisał swoim własnym, wesołym stylem, zdradzającym dziennikarza, a raczej poetę gazety z daru i użyczenia łosu. Numer pierwszy nie zawierał jeszcze ani śladu tego, co miały przynieść następne, a jednak uderzył ludzi czytających żywotnością swoją. Bardzo silnie interesował się nową redakcyą współzawodnik, właściciel *Gazety ławieckiej*, p. Olśniony. Pewnego dnia w godzinach przedpołudniowych zjawił się u drzwi tymczasowej redakcyi i administracyi, którą stanowiły dwie ciasne izdebki Raduskiego, i zaznaczył, że przychodzi

opłacić prenumeratę, a także, jako stary na tutejszej glebie gazeciarz, życzyć tysięcy i tysięcy abonentów redaktorom i wydawcom nowego pisma. Raduski, jeszcze w negliżu, serdecznie powitał i usadowił na krześle redaktora Olśnionego, a sam co tchu zaczął się ubierać. Stary publicysta był mężczyzną dziwnie suchym i wysokiego wzrostu. Gęste, szpakowate włosy strzygł przy samej skórze. Na górnej wardze nosił mały wąsik, niepodkręcony do góry. Rysy twarzy miał piękne, czysto polskie, a oczy żywe, z wejrzeniem mądrem, przeszywającem i pańskiem. Gdy dłużej mówił, lewą ręką osłaniał swoją kształtną, niebieskawą, wskutek ogolenia, brodę, przymrużał i roztwierał oczy, a cały korpus miarowo nachylał i cofał. Mówił wolno, z precyzyą, powagą, a stanowczo i kategorycznie. Z paru zdań jego Raduski wywnioskował, że ma przed sobą człowieka z erudycyą i oczytaniem, jakich sam nie mógł sobie w żaden sposób przyznać. Redaktor Olśniony przepraszał go kilkakrotnie za zrządzoną subyekcyę, ale tłumaczył się tem, że ma robót w swej redakcyjce tak dużo, a tylko tę chwilę czasu, z okazyi święta, wolną... Wizyta nie trwała długo, a ucięła się jakoś na niczem, chociaż Olśniony miał coś, jak to mówią, na końcu języka. Wychodząc i ściskając w chwili rozstania dłonie Raduskiego, przymykał powieki, a otwierał już usta dla wygłoszenia czegoś, a mimo to, nic nie rzekłszy, odszedł. Gdy pan Jan sam został w pokoju, doświadczył szczególnego udręczenia i niesmaku. Żal mu było gentlemana, któremu wchodził w drogę, a właściwie w prenumeratę, ale z drugiej strony spojrzenia tamtego,

pełne głuchej i skrytej nienawiści, budziły w nim bardzo dawną i zardzewiałą energię. Pragnąc zniweczyć przykre wspomnienie, ubrał się w nowe paletko, nowy kapelusz, zawiązał jasny krawat, wziął w rękę parasol i ruszył wprost do ogrodu miejskiego. Młode liście kasztanów nie kryły jeszcze całkowicie głównej alei, formowały z niej jakby prześliczną nawę z ostrymi łukami prawdziwej piękności. Tu i tam strzelały przez jasną zieleń złote krople światła, niby owe gwiazdy, rozsiane po sklepieniu, naśladującem firmament, w starych tumach gotyckich.

W parku było mnóstwo osób. W alei głównej chodziły, wziąwszy się pod ręce, młode i starsze panny, tłumy uczniów, kawalerya i starcy. Raduski witał ukłonem w tej całej gromadzie zaledwie parę osób i to przeważnie świeżo poznanych.

Gdy oglądał mijające go twarze, dopiero co, jak wiosna rozkwitłe, gdy chwytał wstydliwe a promienne uśmiechy, spojrzenia oczu, ciskane na tego lub tamtego ósmoklasistę, gryzł mu serce szczery żal i rzeczywista zazdrość. Prostował się, jak mógł, żeby pokazać, choćby tylko samemu sobie, jako ma przecie dopiero lat trzydzieści sześć, a mimo to czuł, że już ani jeden taki płomień czystego wejrzenia serca jego nie oświeci...

Minął park i wyszedł za miasto. Na wschodniej stronie gromadziły się chmury czarne, jak żelazo, i szły wolno, niby kolosalna pokrywa, gotowa lada chwila runąć i przytłuc ziemię. Kiedy niekiedy pędził stamtąd zimny wiatr, herold rzeczy straszliwych. Gdy gnał przez pola, młodziutkie pióra zbóż

gięły się, migocąc, i warowały przy samej ziemi, dopóki nie odleciał ku swoim tajemniczym mocarstwom. Od czasu do czasu stare topole przy drodze zaczynały bełkotać grubymi liśćmi, ale i one cichły, jakby w strachu wyglądając na inne cuda. Pan Jan, przeszedłszy duży kawał drogi, wrócił do parku. Było tam już osób daleko mniej. Wiatr się zrywał coraz ostrzejszy, kiedy niekiedy słychać było ponury, urwany grom, jakby jęk struchlałej gleby. Krótkie błyskawice migały się między pniami drzew. Pewna ilość spacerujących obsiadła tak zwane *Trianon*, czyli werandę cukierni ogrodowej. Pan Jan znalazł tam jeszcze miejsce przy stoliczku i licho wie po co wypił szklankę ohydnej kawy. Gdy na werandę wchodziły coraz nowe osoby, nie chcąc zabierać miejsca, opuścił zdobyte krzesełko, zapłacił i wyszedł. W alei nie było już prawie nikogo. Wiatr, wiatr baszybuzuk, z rykiem przelatywał aleje i ścieżki, giął do ziemi całe zarośla bzów, zgarniał na dróżkach wszystek piasek i rozdmuchiwał go słupami. Jakieś pióro kurze latało samo jedno w powietrzu. Ilekroć się zniżało, nowy podmuch ciskał je w górę. Kołysało się tak, ciążąc ku ziemi i nie mogąc jej nigdy dosięgnąć, niby płanetnik, wichrem porwany. Raduskiemu przywidziało się, że gdzieś, w głębi parku stoi budka „sodowego wodziarza". Tam zamierzał schronić się w razie deszczu. Liczył zresztą, jak na Zawiszę, na swój parasol. Tymczasem budki jakoś nie było widać, pomimo że *Trianon* zostało daleko. Nagle sypnął deszcz ogromnemi kroplami. Siarczysta ulewa, niby olbrzymi wodospad, zwaliła się na park i zalała go w mgnie-

niu oka. Aleja główna i dróżki boczne przemieniły się w łożyska potoków. Liście drzew ociekały wodą i bezsilnie zwisły ku ziemi, jakby się lada chwila wszystkie miały oderwać. Deszczówka płynęła strumieniami nawet po pniach wiązów i lip, zupełnie osłoniętych liśćmi, szorowała wszystkie sęki i myła skaleczenia kory. Przestwór tak dalece pełen był wody, że w odległości kilkudziesięciu kroków, za trawnikiem najbliższym krzewy i drzewa wydawały się mdło-zielonemi, a kształty ich tonęły w wilgoci. Szelest spadającej wody zagłuszył zupełnie i wchłonął w siebie wszelakie dźwięki. Raduski schował się pod rozłożysty kasztan, wstąpił na ławkę z piaskowca i, ukryty w czeluści swego parasola, zaczął w sposób nieinteligentny gapić się na płynącą wodę. Zmysły jego, ukołysane przez szmer deszczowy, trzymały się, jak pijany płotu, jedynej lokucyi: *pánta rej... pánta rej...*

Wymawiał te słowa drzemiącemi wargami, nadaremnie usiłując przypomnieć sobie kto i kiedy taką mądrość sfabrykował.

— Wszystko płynie... *Pánta rej...* Czekajcie no, wielebni prorocy i doktorowie! Czy to czasami nie ten kawalarz, Heraklit z Efezu. To na niego patrzy!... Heraklit... Co znowu za Heraklit? Z jakiego Efezu?

Senna myśl od tej nazwy przeniosła go do klasy drugiej, czy trzeciej... Cisza, cisza, tylko w niej szemrze gwar mowy towarzyszów... Czy to deszcz bije w szyby, czy to skrzypią buty starego Greka? Gwar zamiera, ucicha... *Pánta rej...* Gdy tak

w najlepsze filozofował w języku Sokratesa, uderzyło słuch jego głośniejsze chlupanie błota. Zwrócił głowę w kierunku bramy i zauważył, że ktoś biegnie od drzewa do drzewa, szukając schronienia. Tym nieszczęsnym zbiegiem była kobieta. Krew przodków, a może nawet własna, zakipiała w Raduskim. Skoczył z rycerska w błoto i pędem wybiegł na spotkanie uciemiężonej przez burzę. Gdy już rozciągnął nad nieszczęśliwą jej głową opiekuńczy parasol, dopiero się wstrzymała. Raduski osłupiał. Zobaczył tuż przy sobie damę niewymownie piękną. Kapelusz jej, ozdobiony ślicznym kwiatem, był w położeniu Kartaginy, kiedy los jej opłakiwał Maryusz, włosy rozplątane, mokremi pasmami lepiły się do twarzy i szyi. Jasnozielony stanik z wątłej, cieniutkiej materyi przemókł zupełnie, przylgnął do ramion i piersi, pokazując szczegółowo nie tylko te miejsca, gdzie się urywał gorset, ale nadto haft szlaku koszuli. Z pod sukni, którą trzymała w rękach, widać było złotawe buciki o wiśniowej cholewce, wyżej kostek w szarem błocie unurzane.

Piękna pani przyjrzała się Raduskiemu przecudnemi oczyma, gdy ją parasolem zasłonił, i, splatając bezsilnie ręce, rzekła:

— Widzi pan...

— Widzę, niestety! Czy pani nie zimno?

— Mniejsza o zimno!

— O, nie! Daruje pani, ale, jako mężczyzna, muszę roztoczyć opiekę... Bez względu!... Jako mężczyzna!... Pani wybaczy...

— Co pan zamierza robić, jako mężczyzna?

— Zamierzam okryć panią moją peleryną.

— Ależ, panie! Za nic na świecie! Pańskie okrycie nie uchroni mię od przeziębienia, a może nabawić posądzeń o to, że umyślnie chciałam wplątać pana w chorobę. Za nic!

— Mniejsza o posądzenie, gdy wilgoć przejmuje ostatnią niteczkę!

— Nie, nie! Dziękuję panu... Może jakoś nacichnie...

Deszcz ani myślał nacichać, lecz owszem coraz szerzej odkręcał swe krany. Raduski umieścił towarzyszkę pod drzewem i trzymał nad jej głową parasol. Oczy jego mogły nasycać się widokiem tej postaci i czerpać szczególne wrażenia. Rysy twarzy przypominały mu jakiś obraz, nie wiadomo kiedy i gdzie widziany. Oczy błękitne, zamglone patrzały wiecznie w próżnię, jakgdyby nawet wśród tak zmiennych kolei losu nie spostrzegały towarzysza rozmowy. Czoło, prosty nos, brwi, usta, kształt brody i szyi były nad wszelki wyraz harmonijne, jakoś szczególnie urocze, składały niby przedziwny utwór, wprowadzający uczucia i myśli widza do kraju marzeń. Stojąc tak blisko, pan Jan wchłaniał nozdrzami zapach ramion, w niewidzialnej parze od zetknięcia wilgotnej sukni z żywem ciałem ulatający wraz ze słodkim odorem perfumy; mógł niespostrzeżenie rozmarzać się widokiem ruchu piersi w osłonie mokrego stanika.

— Panie, ten deszcz nie ustaje...

— Nie ustaje... jakoś... nie ustaje...

Raduski tyle lat nie widział kobiet subtelnych,

tak dawno nie prowadził z nimi rozmowy, że w owej chwili był całkowicie zbity z tropu, wstydził się swoich słów, ruchów, swoich rąk i nóg. Spojrzenia i uczucia swoje uważał za tak haniebne, że byłby się z satysfakcyą wysłał na odwach. Kiedy przychodził do refleksyi tyle stanowczych, piękna pani spytała go bez owijania rzeczy w bawełnę:

— Pan nie mieszka w Łżawcu stale?

— Owszem, mieszkam tutaj kilka tygodni.

— Tak?

— Nazywam się Raduski... — rzekł z pośpiechem, przekładając niezdarnie rączkę parasola z prawicy do lewicy dla wykonania kapeluszem ukłonu.

— A... pan Raduski... wydawca nowego pisma... — rzekła nieznajoma, uśmiechając się z odrobiną zalotności. Mój mąż miał przyjemność znać pana dawniej, w uniwersytecie.

— Mąż pani?

— Tak, mąż mój, Zygmunt Poziemski...

— Co do mnie, — rzekł pan Jan, mrużąc oczy, to nie przypominam sobie tego nazwiska... Zupełnie... To już tak dawno.

— Bardzo być może, bardzo, że go pan wcale nie znał. On pamięta... Mówił mi wszystko...

— A... Państwo tu dawno mieszkają, w Łżawcu?..

— Pięć lat, proszę pana, pięć lat. Mąż jest lekarzem. Ach! — zawołała nagle, — czy pan nie widział mojej Elżbietki? Prawda! nie zna jej pan wcale... Mały, sześcioletni dzieciak z jasnemi lokami .. Szła ze służącą. Właśnie miałam zamiar posłać

obiedwie do mieszkania, gdy ten przeklęty deszcz zaczął padać. Co tu teraz! Leje i leje...

— A gdybyśmy też spróbowali wędrować ku miastu? Czy tu stać, czy iść, to prawie wszystko jedno. Córeczka jest z pewnością na werandzie. Widziałem tam dzieci mnóstwo.

— Tak pan myśli? A więc chodźmy.

Wzięła Raduskiego pod ramię, lewą ręką uniosła suknię i, ostrożnie stając na kamieniach rynsztoka, dała się prowadzić ku bramie głównej. Zimny wiatr uderzał w deszcz z boku i smagał nim liście, krzewy i trawy to z tej, to z innej strony. W pobliżu furty ogrodowej utworzyły się całe jeziora bez upustu i grobli, któreby umożliwiły przedostania się na trotuar kamienny. Raduski proponował swej towarzyszce, że ją tam odniesie, ale tylko na gniew jej zasłużył. Stał więc u brzegu bajora i głęboko deliberował co czynić. Pani Poziemska nie namyślała się tak długo i przebyła kałużę wbród, z wielką szkodą sukni, której, widać z umysłu, nie chciała podnosić wysoko. W ślad za nią Raduski mężnie wtargnął na chodnik marmurowy. Przyległe ulice zalane były wodą. W miejscu otwartem deszcz nie tylko padał, ale prał strugami wody, jak biczem. Na szczęście w uliczce sąsiedniej dał się słyszeć leniwy turkot dorożki. Raduski zaczął ją przywoływać iście wilczym głosem i ku wielkiej radości osiągnął skutek: drynda z hałasem i trajkotem podjechała. Doktorowa wsiadła co tchu i umieściła się w rogu siedzenia. Opiekun uważał misyę swą za skończoną, uchylił tedy kapelusza...

— Panie! — rzekła Poziemska, — wehikuł zdo-

byliśmy wspólnemi usiłowaniami. Nie przystaję na to, żeby się pan miał z mojej winy zaziębić! Proszę...

Mówiąc tak, wskazała mu ręką miejsce obok siebie. Usiadł natychmiast i dorożka poczęła walić swemi kołami w bulwy bruku łżawieckiego. Raduski nie mógł przyjść do siebie. W pewnej chwili zbudziła się w nim raptem refleksya: trzeba korzystać z czasu! Sam na sam w zamkniętej budzie z taką niewiastą! Co czynić? A gdyby też à la Bonaparte!.. Właśnie pod wpływem genialnej decyzyi wyciągnął rękę o dwa cale na bok i, przymknąwszy oczy, przebierał palcami w poszukiwaniu dłoni doktorowej, gdy, jak na złość, drynda stanęła. Piękna kobieta wyjrzała i rzekła:

— Otóż i cel...

— Co za cel?

— Nasze mieszkanie...

Raduski pomógł jej wysiąść i odprowadził zmokniętą do bramy kamienicznej. W chwili rozstania mówiła, wpatrując się weń swemi dziwnemi oczyma:

— Mój mąż kilka miesięcy już leży w łóżku...

— Jakto?

— Kilka miesięcy choruje... Gdyby tylko mógł podziękować panu za jego dobroć...

— Proszę pani...

— Może pan będzie łaskaw odwiedzić nas kiedy... Zygmunt, mój mąż byłby panu bardzo, bardzo wdzięczny.

Wydawca „*Echa*“ był ciągle tak zdumiony temi wiadomościami, że nie mógł zoryentować się, co ma w danej chwili czynić i mówić. Pani Po-

ziemska uśmiechnęła się do niego życzliwie i znikła w ciemnem zagłębieniu schodów. Medytował w bramie jeszcze czas pewien, potem zapłacił dorożkarzowi należność i piechotą udał się w swoją stronę. Deszcz już był ustał i rozsiewały się tylko lekkie pyły wodne. Chmury przeszły daleko i odsłoniły błękit nieba. Znalazłszy się w swem mieszkaniu, Raduski zrzucił mokre odzienie i przebrał się w garnitur wizytowy. W chwili, kiedy już w zupełności dokonał tego dzieła, siadł na krzesełku i myślał, co czynić dalej. Paliła się w nim jakaś gorączkowa wizya, niecierpliwość, podobna do bardzo dawnej, kiedy w dzieciństwie miał nadzieję być w teatrze i usiłował przewidzieć, odgadnąć, co tam zobaczy. Teraz owa wyostrzona ciekawość splatała się mocno z jakimś zabobonnym pewnikiem, który leżał w głębi duszy, jak mała pruszynka na źrenicy, patrzącej w daleki krajobraz. Czasami bolesne ściśnienie serca dosięgało takiego stopnia, że z niego rósł ból szczery. Oczy pani Pożiemskiej patrzały ciągle, piękne oczy, w których nic się nie maluje... Jakże szczęśliwym ten człowiek być musi, na kogo te oczy patrzą z miłością, kogo witają i żegnają... Raduski nie pragnął już takiego szczęścia. Życie jego zostało zamknięte, a klucz dawno rzucony w niezgruntowane wody. Szczęście osobiste jest to razowy chleb, którym się karmi siła i młodość. Jego siłę pochłonął inny, jedyny romans całej młodości, romans zawodny, namiętność niewzajemna, nieszczęsna, chodząca brzegiem przepaści, górna i chmurna. Tamta wszczepiła się w krew i nerwy tak zażarcie, że prawie nie było możności

przyjść z nią do ludzi tego padołu i jąć się życia ich nanowo...

Około godziny drugiej Raduski szedł z wizytą do pięknej pani. Na spotkanie gościa nikt nie wychodził, aczkolwiek służąca, która drzwi otwierała, poszła uwiadomić kogo należy o jego przybyciu. Dom był w nieładzie. Gabinet lekarski wyglądał, jak sypialnia: szezlong zawalony był kupą pościeli zwiniętej od jednego razu w gruby rulon, — na biurku między emblematami sztuki medycznej stała misa z wodą, gąbki, szklanki, noże, widelce. W salonie małe kanapy, etażerki, konsole, stoły pełne były zwojów czystej waty, wałków gazy, bandażów, słoików i dużych gąsiorków z wodą. Powietrze przesycał jodoform i karbol. Raduski żałował, że przyszedł, ale nie było już czasu o tem rozmyślać. Pani Poziemska wyszła do niego w szarej, prostej sukni. Na twarzy jej nie było ani cienia wesołości, ani jednego z czarujących uśmiechów. Włosy miała zwinięte w zaniedbany węzeł. Patrząc na te włosy złociste, o barwie i połysku, jakie oglądać można w miejscu złamania płyty czystej miedzi, Raduski zapomniał o wszystkiem i marzył tylko, niby o wielkiem szczęściu, żeby się te pukle rozwiązały i żeby cała ich kaskada spadła na ramiona, plecy, aż do kolan. Doktorowa przyjęła go życzliwie, ale z pewnem roztargnieniem, niby osoba, wsłuchująca się ciągle w jakieś szmery. Mówiła szeptem, zdaniami urywanemi, z wyrazem niepokoju, jakgdyby ten gość był znajomym z przed lat dwudziestu, którego wizyty nie oczekiwała nigdy w życiu. Prosiła, żeby usiadł i sama zajęła miejsce obok

na fotelu. W pewnych chwilach podnosząc oczy, uśmiechała się, ale przez jakiś wielki smutek, przez głębokie zmartwienie. Uśmiechy te spływały na jej oblicze, jak pełganie wesołego światła w nocy ciemnej i burzliwej, które jeszcze grubsze wywołuje mroki.

Do salonu wbiegła za panią Poziemską dziewczynka sześcioletnia z długimi blond włosami, rozsypanymi na barkach. Nie miała oczu matki. Tylko po rysach twarzy można było zgadnąć, że to infantka, Elżbietka. Wbiegła prędko, kiwnęła na matkę i rzekła:

— Zygmuś woła...

Piękna pani weszła bez szelestu do sąsiedniego pokoju i wkrótce ukazała się znowu, mówiąc:

— Panie redaktorze, czy nie zechce pan odwiedzić mego męża? Prosi uprzejmie...

Raduski wsunął się tam na palcach. Był to salon duży i prawie pusty. Okno zasłaniała zielona stora. Pod niem, wprost drzwi, na środku mieściła się szeroka otomana. Tam leżał chory. Biała jego twarz, koszula i jej rękawy odcinały się żałobnemi pręgami na tle kołdry w ciemne pasy, przykrywającej całe niemal posłanie. Doktór był mężczyzną lat trzydziestu dwu, może trzech. Włosy miał krótko ucięte, zarost rzadki. Twarz jego była straszliwie wychudzona. Oczy czarne, zupełnie takie, jak u córki, bez władzy leżały w głębi sinych dołów, okrążone szerokiemi smugami. Powieki były ledwo, ledwo uchylone, zda się na to tylko, żeby się tamtędy mogła przeciskać sama rozpacz, a nieprzykryte części jabłek ocznych były suche, jak pergamin.

Zaostrzony nos daleko występował spomiędzy kości oblicza. Chude, białe, przezroczyste dłonie złączone były palcami i leżały, jak martwe rękawiczki.

— To pan Raduski... — wyszeptał, wcale nie dźwigając głowy, gdy żona przyprowadziła gościa do łoża, — poznałbym pana odrazu, Pan mnie zapewne nie pamięta, ale...

— Owszem, teraz sobie przypominam. Nie znałem pana z imienia, ale twarz pamiętam. Mieszkał pan ze Sworzniem, Smolna... prawda?

— Ze Sworzniem...—szepnął doktór. Usta jego przymknęły się i wnet spadła z oka na poduszkę jedna łza...

— Możebyś nie rozmawiał, Zygmuncie? — rzekła do chorego pani Poziemska głosem takiego brzmienia, że Raduski w tej minucie coś w sobie jakgdyby złamał, czy zmiażdżył.

— Będę mówił z panem Raduskim! — zaskrzeczał chory, wyszarpując z kołdry nitkę bezsilnymi palcami.—Jedyna moja frajda i ta zawadza... Precz!— syknął przez zęby, dziko błyskając oczyma.

— Może to szkodzi, doktorze? — cichym głosem wtrącił Raduski.

— A więc pan nie mów ze mną do wszystkich dyabłów!

— Ależ...

— Uciekli przecie wszyscy, gdym zaczął śmierdzieć. Co do jednego. Pies się o mnie od sześciu tygodni nie dowiedział. Uważasz pan! Kiedym stawiał wino przy obiedzie, to było współbraci, towarzyszów, ilu kto chciał!

— Zwykła kolej...

— Zwykła kolej! We wszystkiem zwykła kolej... Dawno pan tu mieszkasz?

— Parę tygodni.

— Słyszałeś pan o moim przypadku?

— Nie, nic a nic.

— Uważasz, Marta? Już o mnie zapomnieli nawet w tym parszywym Lżawcu... Nawet tu!...

— Doktorze! ja tu jestem zupełnie obcy... Nic dziwnego, że mi się o panu rozmawiać nie zdarzyło...

— Co mi tam pan gadasz! To taka na świecie kolej... Sam przecie... Wczoraj szanowany, wzięty. głośny, a co najważniejsza wyzyskiwany, leczący za darmochę, doktór Poziemski... a dziś... upadł... i już go niema. I to bydło, ta gawiedź, którą leczyłem bezpłatnie, do której łaziłem po nocach, już z pewnością innego nabiera i zasypuje czułościami. Usiądź no pan tutaj, wszystko panu opowiem, jak było...

— Zygmusiu...—znowu mężnie wymówiła pani Poziemska.

Doktór milczał przez chwilę ze ściągniętemi brwiami i przygryzioną wargą. Rzuciwszy na żonę jadowite spojrzenie, zaczął mówić na złość widocznie, głośno, z wysiłkiem:

— Uważasz pan, ja tu byłem lekarzem wolnopraktykującym. Miałem dochody, pracę dużą, za dużą, jak na moje siły, ale orało się, człowiek był pełen animuszu. Proszę pana... co się nie robi... Chodziłem po przedmieściu, jak zwykle, tu na Kamionkach, nie wiem, czy pan... Wezwany, nie pamiętam już przez kogo, do nędznej chałupy, posze-

dłem na swoją zgubę. Chałupsko stoi u samego końca przedmieścia, niedaleko folwarku, jeśli pan widziałeś tę okolicę. Siedział tam na komornem u faceta, wykuwającego pomniki...

— A...—szepnął Raduski.

— Znasz pan może tę budę?

— Nie, nie, nie.

— Otóż mieszkał tam jakiś parobek, wyrzucony ze służby. Zajmował się, jakem później doszedł, rozmaitymi przygodnymi interesami, np. obdzierał ze skóry zdechłe konie i krowy, nosił żydom wodę, czyścił miejsca ustępowe. Wszedłem, panie, i zastałem tego *drania* w śmierdzących gałganach. Ach, Boże! Pobieżnie, bo czasu był brak, za darmochę, rozumie się, obejrzałem świniarza i nie mogłem zrozumieć, co mu jest. Zdawało się zrazu, że to przymiot, bo miał po sobie rany z paskudnym wyglądem, o dnie gnojącem się, lepieże płaskie. Babrałem się w nim długo. Tymczasem on sobie gadał ze mną, a że był mocno zakatarzony, więc parskał co chwila prawie na twarz moją. Bajtlowaliśmy tym porządkiem dosyć długo, aż raptem wyznał mi, ścierwo, że on koniska obciąga. Przyszła mi myśl, że to może być nosacizna, ale nie miałem czasu zajmować się tem dłużej. Zostawiłem... Chory leżał w podłym stanie i trudno było głowę sobie nim zawracać. Umyłem ręce i wyszedłem. Minęło kilka dni. Rzecz działa się w sierpniu zeszłego roku. Mieliśmy tu majówkę towarzyską, tańce w lesie, następnie wieczór u adwokata Koszczyckiego. Było to coś we cztery dni po tej wizycie. Na majówce czułem w sobie jakieś dreszczyki, ja-

kieś coś w rękach i w nogach, alem uwagi nie zwracał. Dopiero w nocy u Koszczyckiego przy wincie zastanowiłem się, co to być może. Czyżby tyfusik? W głowę mię czasem uderzał dziwny jakiś żar, miałem duszenie w okolicy serca i nie to że bolesne, bo prędzej zabawne dławienie w mięśniach i stawach. Uważasz pan, co ja mówię? Wyszedłem wtedy, pamiętam, do sąsiedniego pokoju, chcąc zebrać myśli. Byłem we fraku, więc mię trapiło pytanie, czy mi poprostu nie zimno. Jedna z ładnych kobiet zbliżyła się do mnie i zaczęła, jak to mówią, flirtować na złość Marcie. A kiedy tak plotła mi jakieś miłe trzy po trzy, nagle mię, jak drągiem, zwaliła myśl: a nuż to jest soczek z tego zgnilca? Panie, dużom później przeżył, ale nigdy i nic gorszego nad tamtę chwilę, kiedym się uśmiechał do owej damy. Rozumiesz mię pan? — zapytał, wyciągając ku Raduskiemu skurczoną rękę ze zgiętymi palcami, straszną w istocie, jak myśl, o której mówił.—No, a w tydzień później wiedziałem już dokumetnie, że to jest *malleus humidus*, *farciminosus*... nosacizna. Koledzy, eskulapia tutejsza, rada w radę. Wysłano mię do Warszawy. Tam także... Dziś, panie, oto co jest...

Z trudem odsunął kołdrę i ukazał gościowi swe nogi. Lewa ręka była spuchnięta, brunatna, pokryta paskudną wysypką, jakgdyby ospą. Tu i owdzie formowały się wzdęte, ciemne abscesy. Chory przyglądał się tym swoim ranom przez chwilę, następnie odkrył piersi, a raczej grube powijaki, zakrywające widok bolesny...

— Widzisz pan, — mówił z uśmiechem, — jak

to matka przyroda nagradza lekarza, tego, co za bylejakie honoraryum latami dusi się wśród fetoru trupów, a później przez całe życie swoje wącha, ogląda, rozpatruje, maca rękami wszelkie wrzody, rany, najwstrętniejsze choroby, smrody i kały człowiecze. Gdzie każdy parobek, każdy lokaj, ostatni sługus cofnie się ze wstrętem, tam idzie lekarz. Musi nie tylko uprzątać, ale nadto uzdrowić... Widzisz pan, jaka to jest sprawiedliwość...

— Panie Poziemski...—zaczął mówić redaktor.

— Czekajno pan, nie tak prędko! Życie się do mnie uśmiechnęło, gdym sobie tu osiadł. Elżbietka chowała się zdrowo, a teraz co, a teraz co! Marta!— wrzasnął nagle,—Marta! boli, boli! Psiakrew jedna, boli, suko ty... boli, boli!...

— Gdzie, koteczku, gdzie, maleńki mój?...

— Prawa, małpo... Ja ci dam!.. Prawa koło *patelli*... Marta, Marta!

— No, cicho, mój biedny, mój najbiedniejszy, mój skarbie jedyny... Cicho, cicho... Teraz jeszcze nie można przewinąć... Może ustanie, może ustanie, może... — szeptała, zapomniawszy całkiem o gościu. Wtedy dopiero Raduski zobaczył, jakie to było spojrzenie tych oczu cudownych i co znaczyła w nich mgła zadumy.

Doktór jęczał i mlaskał ustami. Po twarzy jego ściekały dwiema strugami łzy bólu. Pani Marta delikatnie przytknęła chustkę do twarzy chorego i osuszyła mu powieki.

— Możebyś ty teraz troszeczkę zasnął...—szepnęła cicho, nieulęknionym, kochającym głosem.

— Jużem ci kazał, żebyś poszła do cholery!—

jęknął. Będę rozmawiał z panem Radwańskim, czy jak tam, bo chcę odpocząć, odpocząć... Wyobraź pan sobie, miałem już tysiąc rubli uciułanych. Wszystko poszło, jak dym z papierosa. Teraz przecie nic nie zarabiam sześć miesięcy! Rozumiesz pan, co ja mówię? Oto masz pan dolę eskulapa wolnopraktykującego...

— Panie Raduski, on zadużo mówi... — rzekła doktorowa, spoglądając na gościa nieśmiało. Musimy go ubezwładnić...

— Ani mi się waż ty! Będę prał po pysku!

— Chodźmy, panie, chodźmy... — mówiła, kiwając ku choremu głową. Na wargach jej trwał nieopisany, zgubiony uśmiech, o którego spędzeniu jakby zapomniała. Gdy się znaleźli w salonie, Raduski usiadł naprzeciwko doktorowej i, miamląc zdania, począł ją rozpytywać o tryb życia. Przepraszał tak ciągle za swoją ciekawość, że nie była w stanie zrozumieć, o co mu chodzi,

— Chce pan wiedzieć, ile mamy służby? Są jeszcze dwie służące. Jedna z nich pilnuje Elżbietki, gdyż ja nic już prawie o tej małej nie wiem, a kucharka gotuje, sprząta i czasami pomaga mi w doglądaniu Zygmunta. On ciągle musi kogoś mieć obok siebie,

— Kogoś?

— Tak, mnie najczęściej. Słyszał pan jak, hałaśliwie przypisuje mi krew, to psią, to inną. Kucharka to rzeczywiście dobre babsko, ale długo nie może siedzieć, bo zaczyna ciskać na nią rękami, pluć...

— A lekarze, felczerzy?

Pani Poziemska uśmiechnęła się blado.

— Dawniej,— mówiła,— przychodził to ten, to ów na noc, na część nocy. I teraz, owszem, ktoś sobie wspomni, ale rzadko. Pieniądze nam wyszły, a raczej prawie wyszły, każdy boi się przedewszystkiem prośby o pożyczkę.

— A czy zgodziłaby się pani, żebym ja, aczkolwiek nie lekarz i nie felczer, miał prawo zaglądać tu kiedyniekiedy, przeczytać co choremu, może w nocy posiedzieć...

— Śmiałażbym zabronić? Ale co na to... Łżawiec, tutejsza cnota? Ja gorąco proszę...

Za chwilę podniosła oczy i blady rumieniec mknął przez jej twarz, niby różowy, ranny obłoczek.

— Marta, Marta! — dał się słyszeć krzyk z sąsiedniego pokoju.

VI.

Nazajutrz rano pan Jan udał się z odwiedzinami do chorego lekarza wcześniej, niż zezwalał obyczaj. Wpuszczony do mieszkania, zastał je w daleko większym nieładzie, niż dnia poprzedzającego. Sala i gabinet zarzucone były mnóstwem sprzętów i mebelków, przyniesionych z innych okolic lokalu, a nawet bodaj ze składu i śpiżarni. Minąwszy je, Raduski wszedł zcicha do pokoju sypialnego. Chory spał dziwnym snem, więcej przypominającym śmiertelne wyczerpanie się samych cierpień, niż szczęśliwe zapomnienie o nich. Strasznie blada i chuda

twarz jego leżała na poduszce bez władzy, jak głowa trupa, doły oczne czerniały, niby jamy, i tylko jęk, wydzierający się z ust otwartych razem z oddechem, świadczył, że w tem ciele życie jeszcze nie ustało. Przy sofie doktora, z tej strony, w którą zwrócona była twarz jego, leżał na ziemi materac nieokryty prześcieradłem. Górny brzeg poduszki dotykał prawie brody chorego. Jasno niebieska, lekka, atłasowa kołdra leżała obok.

— Któż to śpi tutaj? — cichym szeptem spytał się Raduski służącej, która na palcach szła za nim.

— Pani, — odrzekła dziewczyna równie cicho.

— Zawsze tu sypia?

— Zawsze. Czasem to nawet nie śpi, tylko w krześle siądzie przy panu i ucisza go, jak weźmie bardzo wyklinać i krzyczeć...

— A gdzie pani?

— W ogrodzie...

Nie chcąc budzić chorego, Raduski, jak mógł najciszej, zbliżył się do zielonej firanki w oknie, uchylił ją i wyjrzał. Był tam kwadratowy wirydarzyk między starymi domami, zamknięty ze strony bardziej odkrytej grubym murem, małe więzienie dla drzew, które na swe nieszczęście tam wyrosły. Wązki trawnik, poprzecinany dróżkami żwiru, zaścielał go tu i tam. Jasnobiały blask padał na jeden tylko klinik murawy i na róg starej kamienicy. Doktorowej nie było tam widać. Raduski wysunął z okna głowę i wówczas dopiero zobaczył ją, siedzącą pod cieniem dużego wiązu, tyłem do mieszkania, na starej, z odgniłemi nogami ławce drewnianej. Poręcz tej ławki zrośnięta prawie była z odziem-

kiem drzewa. Pani Marta siedziała bez ruchu, jakby spała. Nogi jej były wyciągnięte, ręce rozkrzyżowane na oparciu ławy, głowa w tył odrzucona, niby jakiś ciężar, jakieś brzemię dokuczliwe i bolesne...

— Śpi...—myślał Raduski. Po chwili, wpatrzywszy się w tę twarz bystrzej, zauważył, że oczy były uchylone i obserwowały konary, liście drzew, czy ptaki, śpiewające wśród zieleni. Czoło pani Marty, odkreślone równemi brwiami od reszty twarzy, ukrytej dla wzroku, widać było niby białą, podłużną plamę słoneczną. Na jednej z rąk leżał ruchomy błysk, który czasami wahał się w prawo i w lewo, błądząc na powierzchni dłoni, to znowu zstępował na spróchniałe drewno, jakby w usiłowaniu wyważenia i dźwignięcia bezwładnych, rozstawionych palców. Takież światełko obrało sobie miejsce we włosach siedzącej, na jasnym puklu w tyle głowy. Zdawało się, że promień słońca, wpuszczony do tego cichego miejsca przez liście, rozgarnia bujne włosy pani Marty, usiłuje rozwiązać pasma niedbale zwinięte i roztrzepane nieco wskutek zetknięcia się z szorstką korą, jakby składał na jej głowie nieskończony pocałunek.

Wtem chory doktór jęknął znagła i, nie otwierając oczu, jął wołać żony wyrazami już to gminnemi, już pełnemi czułości. Raduski zbliżył się do jego wezgłowia i schylony mówił zcicha:

— To ja tu jestem, Raduski. Żona pańska jest w ogrodzie. Zaraz tu przyjdzie. A możebym ja panu mógł w czemkolwiek usłużyć?...

— Co mi tam pan możesz usłużyć?... — mówił

doktór, parskając ciągle. — Daj mi chustkę czystą. Tu leżą w szafie, na drugiej półce od góry. Żona w ogrodzie... Wypoczywa... Żona jest od tego, żeby tutaj... Płacimy za nie, stroimy je, oddajemy im cały zarobek, a gdy którego los zwali, to taka... wypoczywa... Wiedz pan, że mam w nosie rany. Wydzielina jest krwista i cuchnąca. Uważasz, co ja mówię? Na błonie śluzowej formują się węzełki, wielkości mniej więcej ziarnka prosa. Wskutek rozpadania się tych węzłów tworzą się ranki, zwolna zbliżają ku sobie grupami, łączą i pokrywają całą błonę. Coraz większy rozwój węzłów i ciągłe ich rozpadanie się na dnie i w okolicach ran prowadzi procesy zniszczenia głębiej. Obnażają się więzy, kości... Potem to martwieje, kruszy się, odrywa. Uważasz pan, co ja mówię? W wydzielinie z nosa mieszczą się zmartwiałe tkanki. Strzeż się pan...—rzekł z okropnymi uśmiechem, wznosząc głowę o jaki cal nad poduszką i przez chwilę mierząc Raduskiego wzgardliwem wejrzeniem. — Strzeż się pan, z nosacizną niema żartów!

— Będę się pilnował, doktorze... — mówił Raduski, podając chustkę w momencie, gdy plecy jego przenikał zimny dreszcz tchórzostwa.

— U mnie, — ciągnął chory, — proces niszczący, zapalny rozszerza się już wolno na sąsiednie błony, nie mówiąc o caluteńkiem ciele, na jamę ustną, dziąsła, oczy, krtań i oskrzela. Boli mię już gardło i płuca. Uważasz pan, co ja mówię?

— A możeby doktorowi przeczytać cokolwiek? — zapytał Raduski z uśmiechem, wywołanym na usta całą mocą.

— Przeczytać? A przeczytaj pan. Cóż to niby masz zamiar?

— Może powieść jaką, wesołą? „Klub Pickwicka?“

— Wesołą powieść? Nie! Daj mi pan święty spokój! Zapomnę się na trzy, cztery minuty, a gdy przyjdzie wracać do siebie... Daj mi pan pokój!

— Może historyę, opis jakiej wyprawy?

— Co mnie to wszystko!... A zresztą czytaj pan... Masz tu ze sobą?

— Nie, właśnie myślałem, że trzebaby poszukać takiej ciekawej książki. Ja teraz wyjdę na miasto i wrócę za godzinkę. Dobrze?

— Dobrze, wróć pan... — rzekł chory, z wyrazem lodowatej drwiny patrząc swem suchem okiem na jego buty.

Raduski oddalił się nie po to nawet, żeby szukać „właściwej“ książki, lecz prędzej dla rozstrzygnięcia zagadki, która go dręczyła w obecności chorego doktora. Jak dziwnym, ciekawym, a tak do okrucieństwa niepojętym trybem łączą się ze sobą wypadki i splatają uczucia ludzkie! W myślach, a raczej w wyobraźni jego stała izba, oświelona lampką naftową, starzec z łysą czaszką i człowiek, leżący w kącie pod gałganami. Dla czegóż ja to widziałem, — marzył, — dla czego znowu tu jestem u tego doktora? Co to za sens, jaka logika? Pod ciężką i szczelną przykrywą racyonalistycznego myślenia roiły się, niby kłęby sprężystego gazu, niepokonane uczucia, pewniki zabobonu, trwogi, westchnienia i jakieś głupie uciechy. Czasami na mgnienie oka wcielały się w kształt, który można-

by określić zapomocą trwałego sylogizmu — i wnet przewiewała je idąca chwila w coś zupełnie obcego, w jakieś prawie nic, rozproszone, jak szezoga.

Zatopiony w myślach pan Jan stanął przed księgarnią łżawiecką pana Saula Głockego. Kiedy już otwarł drzwi i przekroczył próg, dopiero zoryentował się, że nie wie, po co przyszedł, co ma kupić, o co zapytać... Młody, ryżawy subjekt z ogromnymi wąsami, zadartymi w sposób modny ku górze, co nadawało jego twarzy cechę suprasarmacką, schylił rozczesaną głowę z giestem wielkiej uprzejmości i, mrużąc oczy, spytał:

— Co pan dobrodziej każe?

Raduski zarumienił się, rzucił okiem po półkach i najniespodziewaniej dla samego siebie rzekł:

— Proszę o sto arkuszy papieru listowego i pięćdziesiąt kopert.

Miał, jak to mówią, na końcu języka pytanie, jakąby książkę trzeba kupić dla osoby chorej, dla bardzo chorej, ale widok modnie uczesanego subiekta był tak daleki od treści jego myślenia, że pytanie wydało mu się wprost śmiesznem i niemożliwem. Wyliczył pieniądze za papier, oddał winne ukłony księgarzom i, wewnętrznie rozłoszczony na siebie o to, że się dobrowolnie skazał na kupno i dźwiganie zbytecznego sprawunku, jął przyglądać się półkom z książkami. Oczy jego biegły po tytułach, umieszczonych nu grzbiecie niektórych druków, ale to bezcelowe błądzenie wzmagało tylko irytacyę. Skłonił się modnym żydowinom raz jeszcze i wyszedł.

Trzymając w ręce sznurek pakietu z koperta-

mi, szedł teraz ulicą bez jasnego pojęcia, co robić dalej. Przyszła mu do głowy myśl, żeby nająć ze dwudziestu małych łobuzów, ustroić ich w dziwaczne kostyumy, wyuczyć byle jakiej roli i odegrać teatr przed oczyma chorego,—ale i ten projekt odsunął. Czuł to jedno, że musi rozradować tego człowieka za jakąbądź cenę i w jakikolwiek sposób. Wtem, rzuciwszy oczyma na jedną z wystaw sklepowych, ujrzał za szybą dwa stare, zżółkłe autografy hetmańskie, jakiś bardzo dawny pieniądz, kilka rycin...

— Prawda, toż tu siedzi stara mumia... Do niego! — zdecydował się Raduski, otwierając z trudem drzwi sklepu.

Znalazł się w dużej sali, od podłogi do sufitu zastawionej szafami, pełnemi książek. W głębi widać było drugą, mniejszą salkę, również naładowaną drukiem. Prowadziły do niej dwa otwory bez drzwi, w kształcie nisz z gotyckimi łukami. W środku pierwszej stały rzędem w pewnej odległości jedna od drugiej trzy gabloty oszklone ze wszech stron, pełne autografów i starych ksiąg, poroztwieranych na pierwszej karcie. W rogu tej sali przy oknie mieściło się duże biurko, za którem siedział wiekowy jegomość w czapce i ciekawie patrzał na wchodzącego.

Raduski ukłonił mu się i z jąkaniem wyjawił cel swego przybycia.

— Chciałem — mówił — znaleźć książkę, którą mógłbym czytać człowiekowi śmiertelnie choremu...

Antykwaryusz wstał ze swego miejsca, oparł się szerokiemi dłońmi na biurze i spoglądał Radu-

skiemu prosto w oczy z wyrazem niby dobroci, niby ironii.

— Czyż ja wiem?...— mówił, wysuwając dolną wargę.—Jeżeli to człowiek religijny... Pismo święte, Ewangelia, Żywoty Świętych...

— Nie, nie...

— Nie? — spytał księgarz i ponury błysk mignął w jego szarych źrenicach.

— Uważasz pan,—mówił Raduski śmiało i dumnie,—jest to człowiek, który życie strawił na badaniu przyrody, na chwytaniu jej sekretów. Mogłoby go zająć coś z tej dziedziny...

Mina starego móla biblioteki złościła go, wejrzenie i skryty uśmiech podpowiadały mu ostre słowa, których jednak nie chciał wymówić. Czuł w tym zasuszonym szczurze twardego bigota, z którym daleko prędzej można przyjść do kłótni, niż do jakiejkolwiek tranzakcyi.

— Może pan zobaczy katalog?—mruknął antykwaryusz.

— Drukowany?

— Nie stać mię na drukowany. Jest tu cały alfabetyczny, kartkowy...—mówił, prowadząc Raduskiego do skrzynki drewnianej i otwierając jej wieko.

Podłużna, wązka i płaska skrzynka rozdzielona była wewnątrz na kilkanaście jednakich przedziałów, a każdy z nich pełen był twardych, stojących kartek z szarej tektury.

— Oto *A*, oto *B*, *C* i t. d. — mówił stary. — Białe kartki to są odsyłacze z grupami miejscowości, tytułami wydawnictw zbiorowych, pseudonimami etc.

Raduski przeglądał kartkę za kartką i odczytywał wypisane niezmiernie jasno tytuły całkowite. Nazwiska autorów mieściły się w osobnym inicyale, daty i szczegóły o druku w osobnej przegrodzie, wartość książki z boku, numer katalogu, pisany czarnym ołówkiem, w specyalnej obwódce. Przeczytawszy kilkanaście kartek z litery *A*, parę z *B*, *C* i *D*, Raduski zauważył, że nic z tego nie będzie. Trzebaby czytać cały katalog. Mnóstwo imion i tytułów pociągało jego myśli w najrozmaitszych kierunkach i do przeróżnych dziedzin. Daty świadczyły, że zły pan zgromadził książki przeważnie stare, z XVI, XVII i XVIII wieku, i że trafiały się wśród nich inkunabuły.

— Cóż ja tu mogę wyczytać? — pomyślał Raduski i zwrócił się do jegomości, który z głową schyloną nad samem biurem pracowicie i wolno przepisywał sążnisty początek jakiegoś odwiecznego kulfona. Antykwaryusz dostrzegł ruch jego twarzy, wstrzymał lewą ręką wędrujące okulary i zmarszczył czoło.

— Nie trafia się nic odpowiedniego, nic z zakresu chwytania przyrody na gorącym uczynku? — spytał grzecznie z ledwo, ledwo dającemi się wyczuć kpinami w tonie mowy. Raduski udał, że ani słyszy, ani rozumie tego tonu i rzekł oschle:

— Trzebaby czytać pozycya za pozycyą cały pański katalog. Jest to nudne, jak flaki z olejem. Nie będę czytał.

— A może pan dobrodziej jak oto z grzbietów coś sobie upodoba?...

Mówiąc tak, wylazł zza swego biurka i szedł

obok szaf, wskazując ręką książki, ale takim gestem i z taką miną, jakby wcale nie miał chęci sprzedawać którejkolwiek. Później zbliżył się do gablot i ruchem głowy wskazał druki za szkłem rozłożone. Były to przeważnie rarytasy bez kart tytułowych. Antykwaryusz spoglądał na nie z dziwnym wyrazem oczu...

— To jest—mówił—*Malleus maleficarum*, owoc trudów wielebnego jezuity, inkwizytora, księdza Jakóba Sprengera, wydany w Kolonii 1489 roku. Zaleca tu dla dojścia prawdy szczególnie tortury, radzi przeszkadzać wszelkimi sposobami apelacyi do wyższego sądu, albowiem procedura ma na celu nie wykrycie niewinności, lecz udowodnienie zbrodni. Pierwsza część, składająca się z ośmnastu rozdziałów, mówi o czarodziejstwie w ogólności, o działaniach dyabła zapomocą czarownic, o różnych sposobach szkodzenia ludziom, głównie przy współudziale akuszerek. Część druga, rozdziałów szesnaście, obejmuje środki unikania dyabłów i czarów, czyli leczenie się z uroków. Trzecia wreszcie, rozdziałów trzydzieści pięć, zawiera procedurę. Na początku były zamieszczone, jako aprobaty: bulla Inocentego VIII, papieża, dyplomat Maksymiljana I i pochlebne zdanie wydziału teologicznego w Kolonii. Rzuć no pan okiem, rzuć no pan okiem: ten wstęp ktoś później wystrzygł... Uważasz pan? Ktoś go wystrzygł! Ale my go znamy doskonale, my go umiemy na pamięć, przepisaliśmy go starannie i wkleili w miejsce właściwe... Ba! a to nic? — wołał starowina, prostując okulary i wydobywając książkę,—to nic, ten przypisek polski z wieku XVII-go,

inkaustem: „Nie godzi się tem pismem parać nie tylko katolikowi, ale i kapłanowi...“ Cóż pan powiesz? Nie godzi się już tem parać... Już przyszedł promień kultury i uderzył w zgniłe mroki! I ktoby to był, co pisał te słowa, ktoby to był?... — szeptał z cicha antykwaryusz, wpatrując się swym ostrym, natrętnym, drwiącym wzrokiem w stare, wyblakłe litery.

Raduski wziął z rąk jego książkę i oglądał ją, niby cacko, które się może za chwilę rozlecieć. Papier był tu i owdzie podziurawiony przez małe robaczki, zwierzchnia okładka urwana. Zostało z niej tylko drewno wewnątrz, pod spodem ucięty kawałek pergaminu z szeregiem liter tak czarnych, jakby je pracowita ręka mnicha wczoraj stawiała, — i szmat grubej skóry z wytłoczonym emblematem.

— Polska oprawa — rzekł antykwaryusz, biorąc książkę z rąk pana Jana.—Bardzo ciekawa, bardzo ciekawa... Czy pan uważasz, — rzekł nagle ze szczególnym uśmiechem, — co się w tym druku mieści, jaki to jest dokument? Kto ją tu przywiózł, kto czytał, ile to z niej wyszło tego, jakże się zowie?.. Potem ktoś wyciął przedmowę, a wreszcie ktoś napisał, że już... Albo ta — zawołał z nowym blaskiem w oczach — *Historia Boiemiae,* z wielkim, koślawym, czerwonym tytułem. Pisał ją biskup Dubraw z Ołomuńca. Ulegała zupełnemu paleniu na stosie. Ten egzemplarz pochodzi ze Szwecyi. Widzisz pan, przypisy szwedzkie!.. Kto też i kiedy unosił ze sobą tyle książczysko, jaka miłość kryła je pod płaszczem i niosła za morze? A to, mój panie, *Vierzig Fragen von der Seele* z 1623 roku, Jakóba

Bömego, szewca filozofa. I to było palone zażarcie.

Idąc obok swych gablot, stary księgarz wskazywał z żywością rozmaite druki, przeważnie w białych skórach. Jedne z tych opraw były gładkie i piękne, jasno żółte i lśniące, inne zczerniałe i niby rdzą pokryte zamykały się na stare, zluzowane klamerki. Wszystkie te dzieła leżały w wielkim ordynku: mniejsze formaty na górnej półce, czwórki niżej, folianty nisko.

— Oto masz pan elegancką hołotę, wydaną *Lugduni Batavorum*, — mówił księgarz, prezentując maleńkie szesnastki polskie i obce, prześlicznie drukowane w Leydzie ze sztychowymi tytułami. — Tu są nasze, *Dantisci apud Joannem Försterum cum gratia et privilegio Sacrae Regiae Majestatis Poloniae et Sueciae*, Fredro, Opaliński...

Stary zapomniał o celu przybycia Raduskiego, wpadł w ekstazę bibliograficzną i zaczął przedstawiać swój własny, jakoby nieporównany, wzór katalogowania, umieszczania sygnatur, manifestował biegłość swą w odczytywaniu znaków, symbolów, cyfr i liter na okładzinach etc. Raduski słuchał go ze spokojem, jednem uchem chwytając, a drugiem wypuszczając te wiadomości.

— Zbiór starych książek, panie dzieju, — mówił bibularz, trzęsąc rękami — to nie księgarnia, to nie skład druku, to żywy organizm, zrozumiale przemawiający. Każda z tych książek ma swoją historyę i dla człowieka, co dłużej na nią patrzy a myśli, ma dziwny urok i wzbudza szacunek. Niech no pan zważa, ile ich to tu jest roztrząsań, dociekań,

uniesień ducha, wizyi, marzeń, poetyckiego wzruszenia, napomnień, kłótni, przekleństw i błogosławieństw... A już to wszystko cmentarz. Co kogo obchodzi płomienna satyra Jordanusa Brunona *Il Candelajo*, pisana w roku pańskim 1582, która przecie była jedną ze szczap, rzuconych przeżeń na stos własny? Wszystko minęło i człowiek, stojąc wobec tego, może tylko rozmyślać sobie, niby Hamlet nad czaszką błazna: „Biedny Yoricku! Gdzież teraz twoje drwinki, twoje śpiewki, twoje koziołki, twoje wybuchy wesołości, które doprowadzały do ryku stół biesiadniczy? Ani jednego teraz, by wyśmiać twoje własne szczerzenie zębów z żuchwą do cna opadłą..." Oto, naprzykład, mam tutaj dwie ciekawe książeczki Tomasza Campanelli, którychbym za nic nie sprzedał. Jedna z nich nosi tytuł *Civitas solis*, wydano ją w Utrechcie, roku 1643. Druga, *Apologia pro Galileo*, wydana była we Frankfurcie, w roku 1622. Tę ostatnią książkę siarczysty mnich pisał między jedną torturą a drugą. A tortury były nie byle jakie, trwały po trzydzieści pięć godzin, zrządzając ciężkie uszkodzenia ciała. Arterye i żyły pękały, a krwi płynącej z ran filozofa nie można było zatamować. Okręcono go powrozami, które wpiły się aż w kości, zawieszono ze związanemi rękami nad ostrzem drewna, które wygryzło mu szesnastą część ciała i wytoczyło zeń dziesięć funtów krwi. Ta książka,—mówił antykwaryusz, trzymając w ręce *Civitas solis*,—przemawia do mnie, jak miecz złamany w boju, skrwawiony po rękojeść. Nie sprzedałbym jej za żadne pieniądze, za żadne pieniądze!

— A gdzieżeś ją pan kupił?

— Gdziem kupił? Tutaj, u żydka, który furę, słyszysz pan, furę takich książek zgarnął za trzy ruble w czasie licytacyi gratów po jakimś kanoniku, zmarłym na prowincyi... Bo i dla czego taki Campanella pisał swoją *Civitas solis?* Dla czego? — wołał stary głośno, patrząc Raduskiemu w oczy.— Jakiż waryat! Tracić na zaostrzonym drągu szesnastą część ciała i dziesięć funtów krwi dla tego... No dla czego, dla czego? Dla iksa, który miał być dopiero po nim, *czort* wie kiedy, i którego nawet on nie mógł zrozumieć dostatecznie. Mój łaskawco, bronić Galileusza, uprzeć się dla satysfakcyi myślenia według własnych upodobań, dać sobie rozpruwać żyły...

Raduski siedział na stołku przy gablocie, odkładał książkę za książką i uśmiechał się pod wąsem. Pewnej chwili wlepił oczy w starego rozmówcę i przypatrzył mu się ciekawie. Jedne z drzwiczek ostatniej szafy nie dawały się otworzyć z łatwością, i antykwaryusz poszedł szukać jakiegoś klucza. Stukając pantoflami, wszedł z pierwszej sali do drugiej z błyszczącą posadzką, która leżała o kilkanaście centymetrów wyżej, niż w głównej, i, zbliżywszy się do ściany, gdzie widać było tylko same półki z książkami, znikł wśród oprawnych tomów, jakgdyby się nagle zamienił w proch biblioteczny i schował w pierwszej lepszej szufladzie.

Raduski obejrzał się po sali. W ciszy, która nastała z chwilą wyjścia właściciela zbioru, słychać było z kąta wolne *tik-tak* ogromnego, szafkowego zegara. Dźwięk ten zabawnem uczuciem przejął

serce pana Jana. Z łatwością można było teraz pojąć, co tak niejasno, choć krzykliwie, opisywał stary antykwaryusz, owo uczucie przykre i dławiące, gdy się słyszy systematyczne i jednakie kroki niestrudzonego czasu wśród odwiecznych druków. Raduski trzymał na kolanach jakiś wielki tom in folio i przewracał kartę za kartą. Druk był polski. Oczy Raduskiego padły na jedną ze stronic i przylgnęły do niej. Antykwaryusz wrócił ze skrzyneczką, napełnioną pękami kluczów, i zajął się otwieraniem niesfornych drzwiczek. Gadał głośno, zwracał się do gościa, ale bez skutku. Po upływie blisko godziny Raduski wstał prędko i rzekł:

— Sprzeda mi pan tę książkę?

— Żywoty ojców świętego Hieronima? Phy... No, może. Choć mi żal. To dla tego chorego?

— Co pan każe sobie zapłacić?

Antykwaryusz począł przeglądać swe spisy, notować na rozmaitych karteczkach, a koniec końców mruknął, ruszając wargami, jakby coś przeżuwał:

— To tam żywoty... Pieniędzy się za to nie bierze. Czytaj pan temu choremu... Niech wam służy.

— Ja wezmę książkę tylko za pieniądze.

— Nie dam tej książki za pieniądze.

— No, to nie.

— Kładź pan tu na gablocie dziesiątkę i bierz tego Hieronima!—krzyknął stary, jakby kto z niego darł pasy.

Raduski podał mu rękę, wymienił swe nazwisko, co tamtego, zdawało się, wcale nie interesuje,

umieścił na szklanej szybie szafki dziesięć groszy i wyszedł, dźwigając księgę.

— A nie zniszcz pan druku! Zawszeć to siedmnaste stulecie... — wołał antykwaryusz. Raduski słyszał głos jego, gdy już był na ulicy. Wprost ze sklepu bibularza udał się do mieszkania Poziemskich. Gdy tam przyszedł, doktorowa zajęta była brzydką operacyą przepłukiwania choremu nosa. Ledwie to skończyła i ledwie biedak złożył swą głowinę na poduszkach, w przedpokoju dał się słyszeć brzęk dzwonka i w parę minut później wszedł Koszczycki. Twarz miał wystraszoną i oczy biegające. Ujrzawszy Raduskiego, dźwignął brwi wysoko i zachował dyplomatyczną pozę, która mogła równie dobrze zwiastować chęć uściśnienia kolegi, jak świadczyć, że go się wcale nie zna. Raduski uśmiechnął się i podał mu rękę.

— No i jakże? — szepnął przybyły, zwracając się do Pani Poziemskiej, — nie lepiej?

— Nie, nie lepiej...—odparła ruchem ust i oczu. Następnie, według swego zwyczaju, odchyliła cokolwiek w tył głowę i z pod rzęs, z ledwie widocznym uśmieszkiem przyglądała się adwokatowi. Raduski udawał, że ma oczy spuszczone, a pilnie śledził każdy ruch mecenasa, nie mogąc zrozumieć, po co on tam przyszedł.

— A może go posądzam... — rozmyślał — może to w istocie litościwy człowiek?...

Gdy upłynęło kilkanaście minut, chwycił sekret w przestrzeni, na gorącym uczynku. Koszczycki, schylony nad łóżkiem chorego, uwielbiał doktorową, która siedziała z drugiej strony posłania,

wzrokiem pełnym głębokiej, utajonej, gwałtownej namiętności. Nie pragnął on, widać, żeby afekt jego był dostrzeżony przez samą panią Martę i z oczu jego wyglądała tylko czysta, nienasycona, nienapatrzona żądza miłości. Zbadawszy to zjawisko, Raduski spuścił z oka mecenasa i zajął się doktorową. Ciekawość jego przekroczyła teraz wszelkie granice: czuł, że siła wzroku zdolnąby była wydrzeć prawdę z cieniów nocy, z dna wody, z głębi gruntu. Twarz pani Marty była zupełnie obojętna, ale czasami przesuwały się po niej zamaskowane uśmiechy, niby zimne światło, idące późną jesienią przez role smutne i pełne żałości. W chwili, kiedy, oczywiście, była pewna, że Raduski patrzy w inną stronę, pani Marta uniosła rzęs i przezroczyste, jastrzębie źrenice jej spoczęły na Koszczyckim. Wnętrzności Raduskiego zadygotały, jakby go kto skrytobójczo zgnął nożem. Doktór leżał bez życia, niby kłoda. Nawet stękanie jego ucichło. Raptem począł chrząkać, prędko zamykać i otwierać usta, — i wycedził przez zęby:

— Panie... panie... pa... Raduski, miałeś czytać, miałeś coś czytać...

— Ach, prawda, przyniosłem książkę...— rzekł Raduski i rozłożył na kolanach *Żywoty*. — Chcesz pan posłuchać żywotów świętych? — z uśmiechem zwrócił się do chorego.

— Żywotów... Wszystko mi jedno, wszystko mi jedno. Czytajże pan... Dla czegóż nie czytasz u dyabła?..

— Janek i żywoty świętych pańskich... — ci-

cho wymówił Koszczycki do pani Poziemskiej. — Świat się przewraca...

Pan Jan otworzył książkę i zaczął czytać życiorys świętego Pawła Pustelnika, spisany przez świętego Hieronima. Czytał, jak za prześladowania Waleryana Paweł, wyćwiczony w naukach greckich i egipskich, opuścił wielkie dobra, rodzinę, uciekł w pustynię syryjską i sto trzynaście lat przeżył w pieczarze; jak świętemu Antoniemu, który na innej puszczy dziewięćdziesiąt lat już był wytrwał, śnił się sen, ażeby iść do Pawła; czytał o spotkaniu świętych u wejścia do groty, o rozstaniu ich...

— Nudne to jest! — zawołał doktór, marszcząc się. — Nudne jest, nudne... Co mnie to może obchodzić?

— Niech no pan czeka! — z gniewem w głosie rzekł Raduski i począł czytać ciąg dalszy o tem, jak Antoni wrócił do klasztoru, spustoszonego przez Saracenów, i jak znowu szedł na puszczę. Wreszcie czytał taki ustęp: „A jako już dzień rozświecił się inszy, i przez trzy godziny czasu drogi zostawało, zobaczył między aniołów hufcami i między proroków i apostołów chórami śniegową Pawła białością świetnego, ku niebu postępującego. I zaraz na twarz padłszy, piasku na głowę swoją sypał, płacząc i narzekając, mówił: czemuż mię, Pawle, opuszczasz? Czemuż odchodzisz niepożegnany? Tak nierychło poznany, tak prędko odchodzisz... Powiadał potem błogosławiony Antoni, iż z taką prędkością ostatek drogi bieżał, iż jakoby ptak przeleciał. I słusznie. Bo wszedłszy do jaskinie, obaczył klęczące, z rozciągnionemi do góry rękoma ciało martwe. A tak

obwinąwszy i z jaskinie wyniosłszy ciało, pieśni także i psalmy według podania chrześcijańskiego prześpiewawszy, frasował się Antoni, że grace, któraby wykopał ziemię, nie miał. A mieszając się różną umysłu burzą i sam ze sobą uważając, mówił: jeżeli do klaszturu chcę się wrócić, trzy dni drogi jest, jeżeli tu zostanę, nic dalej nie pocznę. Niechże tedy umieram, jakom zasłużył, i przy Twoim padłszy wojenniku, Chryste, niech ducha ostatniego wyleję. To gdy sobie w głowie roił, a oto dwa lwy z głębszej pustynie zbiegłszy, z rozczochranemi na karkach grzywami przylatują, których obaczywszy, naprzód zląkł się, a znowu do Boga ducha podnosząc, jakoby ciche gołębie obaczył. A oni prosto do ciała błogosławionego starca przybiegłszy, zastanowili się, i, przychlebiając się ogonami, przy nogach jego ulegli, głosem rycząc wielkim, tak, iż rozeznał, że płakali, ile mogli. Potem niedaleko poczęli ziemię nogami drapać i, piasek naprzemiany wyrzucając, prawie na jednego człeka miejsce wykopali. I zaraz, jakoby o zapłatę za pracę mieli żądać, robiąc uszami i nachylając karku, do Antoniego poszli, ręce jego i nogi liżąc. A ów zrozumiał, że go o błogosławieństwo prosili".

Gdy Raduski czytał ostatnie wiersze, rzucił okiem na twarz chorego i wnet cisnął książkę. Poziemski o własnej sile dźwignął czaszkę, straszną, przypominającą głowę kondora, z mokremi włosami, które oblepiły ciemię, szeroko roztworzył powieki i z nieznośną badawczością patrzał na linie druku.

— Któż toto pisał? — zapytał ostrym głosem.

— Święty Hieronim.

— Hieronim?

— Tak.

— Przecie to autorytet?

Raduski uśmiechnął się mimowoli.

— Tak... autorytet... — rzekł cicho.

Chory spuścił głowę na poduszki, zamknął oczy i szeptał do siebie:

— Umarł z wyciągniętemi do góry rękami, a lwy mu grób kopały...

Mecenas bez ruchu siedział w fotelu z głową wspartą na ręce. Nie spuszczał oka z twarzy Raduskiego. Brwi jego były zsunięte i czoło tak zmarszczone, jakby w głębi swego mózgu szukał rozwiązania jakiejś sprawy niewymownie splątanej. Pani Marta przyglądała się choremu suchemi oczami, a wzrokiem tak zgasłym, że się wydawało, jakoby miała źrenice we łzach utopione. Milczenie zaległo pokój.

Nagle doktór wziął chrypieć i łkać. Łzy płynęły po jego twarzy wielkiemi kroplami, spadały na jasiek i wnet rozlewały się w duże, ciemne plamy.

— Oto, — mówił wśród szlochów i stękań, — po tylu latach dążenia do prawdy, po przebyciu morza trudu lekarskiego przyszło mi na to, że jedyną ucieczkę mojego umysłu stanowią takie brednie, takie banialuki... Oto... Trup zastygły trzymał ręce ku niebu, duszę jego aniołowie odnieśli, a lwy mu grób wykopały „przychlebiając się ogonami...“

Głęboki smutek przejął serca obecnych, ale wszyscy troje siedzieli nieruchomo, czując doskonale, że są tylko bezsilnymi widzami, którzy nic a nic w tych sprawach nie tylko zdziałać, mówić, ale nawet sądzić nie mogą...

— Co ja poczne, co ja poczne, gdzie ja się obrócę, co ja będę robił! — zakrzyknął nieszczęsny, zrywając się z łóżka i targając rękami bieliznę na sobie.

Pani Marta wolno zbliżyła się do wezgłowia, uklękła przy niem i, nagiąwszy rękoma ku poduszce głowę chorego, zaczęła mu, jak zwykle, obcierać chustką oczy i skrzywione usta.

— Po co ja, głupi, przyniosłem tę książkę i po co ja to czytałem?.. — rozważał Raduski, brnąc myślami w jakiś zaułek swej własnej duszy, skąd nie było wyjścia i napoprzek którego stała tylko czarna głębia otwartej mogiły.

VII.

Długie, cudne dni maja przechodziły dla Raduskiego tak szybko, jak godziny. Zaledwie rozświetlał się jasny, zmoczony rosą poranek, już szła noc, prawie ciągle bezsenna, i wnet ustępowała przed nowem przyjściem słońca. Nocne czuwanie, sen pełen trwogi wprawiły redaktora w stan szczególnego oszołomienia.

Widząc ogromne znużenie, pod ciężarem którego pani Marta z nóg się waliła, zaczął ją sumiennie wyręczać w doglądaniu chorego. Siedział tam prawie dzień i noc, kiedyniekiedy wymykając się dla chwili snu, obiadu i zasięgnięcia od Grzybowicza języka o stanie gazety. Już po upływie paru tygodni stał się w rodzinie doktorskiej osobą tak niezbędną, że gdyby raptem usunął się od spełnia-

nia tych własnowolnych obowiązków, stracono by tam całkowicie w warunkach tak fatalnych możność bytowania. Pani Poziemska nie opuszczała swego stanowiska u wezgłowia męża, spała przy nim, jak dawniej, na ziemi, ale nie zajmowała się już sprawami domu i wykonawczą jedynie rolę pełniła w kuracyi. Bardzo często w czynach jej, w dźwiękach głosu, w ruchach, w wyrazie twarzy, a szczególniej w tępych spojrzeniach widać było niemoc utrudzenia, wstręt i obojętność. Męstwo umysłu, wytrzymałość serca nie zmniejszyły się w niej ani o jedną kreskę, ale ręce i nogi, uszy i oczy — ustały. Częstokroć, idąc przez pokoje z filiżanką bulionu, flaszką lekarstwa, lub termometrem w ręce, zbliżała się do jakiegoś fotela lub krzesła, zamiast do męża, składała rzeczy niesione na pierwszym z brzegu stole i w postawie bylejakiej usypiała, a raczej tonęła w odrętwieniu sennem, krótkiem i jeszcze bardziej męczącem, z którego budził ją pierwszy szept lub westchnienie chorego.

Wszystkiem zajął się Raduski. Gdyby go kto wprost spytał, dla czego to wszystko robi, nie umiałby odpowiedzieć, a właściwie nie byłby w możności wyrazić słowami, co go pchało do tego rodzaju czynności. Była to przedewszystkiem z pewnością jakaś miłość. Coś strasznie, nad życie swoje w całej tej historyi kochał. Ale którą osobę, czy co? Skulone ciało, ranami wstrętnemi okryte, źrenice pani Marty w próżni zatopione, czy szczebiot Elżbietki, której do ojca nie wolno było przybliżać się i dotykać? Ta głęboka miłość smutnych salonów, osłoniętych żaluzyami, podobną

była niby do jakiejś siekiery. Obuch jej stanowiła tępa zemsta, nie wiedząca, w kogo ugodzić. Ale częściej, daleko częściej myśli snuły się długim szeregiem, jedne za drugiemi, jak ciche siostry miłosierdzia, co, ukrywszy twarze, niestrudzenie, ze świętem bohaterstwem idą w środek łoskotu wojny, aby na polu zniszczenia zbierać straszliwe jej plony. Pod wpływem tego uczucia rzucał się do walki z chorobą i starał przemóc jej siłę. Urządził dwa razy konsylium specyalistów warszawskich i wybitniejszych miejscowych lekarzy. Przepisy i najszczegółowsze, najdrobniejsze wskazania wypełniał sam i przy współudziale doktorowej, nad wszelki wyraz gorliwym. Ale była to bitwa przegrana. Każdy dzień przynosił nowy znak porażki. Wśród mozołów gorączkowego wydzierania naturze życia doktora, w półsnach, półjawach znaki te łączyły się w dziwne kombinacye, w pewne formuły. Niebezpieczeństwo i groza wywyższały te myśli, dźwigały je na górne miejsce, skąd widać się dawał szeroki obszar ludzkiego bytu. Choroba doktora i połączone z nią okoliczności były to dla Raduskiego nie tylko codzienne fakty, nie tylko zatrute owoce dzikości świata, ale nadto były to dlań jakby typy działania pewnych sił, gromadzące się ciągle w jego umyśle. W ciągu tego całego miesiąca zapamiętał szczególnie kilka wypadków, a raczej kilka chwil swej duszy.

Pierwsza zdarzyła się jednego dnia nad ranem, o samym brzasku, kiedy chory czuł się gorzej, niż zwykle. Pani Marta usnęła na swym materacu, jak głaz. Głośne chrapanie jej rozlegało się

po całym domu. Za przymkniętem oknem słychać już było wesoły szczebiot ptaków. Raduski podniósł storę i uchylił okna tyle, że mógł słyszeć, jak z łagodnym szeptem liście na drzewach cichy wiatr głaska. Chory ocknął się i leżał nie śpiąc, z zamkniętemi oczyma.

Znagła wyszeptał:

— Raduski...

Pan Jan, nie mogąc przyjść doń z tej strony, gdzie spała doktorowa, stanął w nogach i pochylił się. Chory zwrócił na niego swoje oczy i bez słowa patrzał, patrzał. Dreszcz zimny zaczął łazić po krzyżu Raduskiego i zjeżył mu włosy nad głową. Straszny wzrok schorzałego zdawał się podawać z oczu do oczu tajemnice, zachwycone u ostatniego krańca bytu przez szczelinę, na tamten świat wychodzącą.

Nareszcie te oczy uśmiechnęły się dziwnie, a wargi cicho, tak bardzo cicho, że Raduski tylko po ruchu ich był w stanie rozeznać wyrazy — szepnęły:

— Liście... szeleszczą?

— Liście...

I znowu uśmiech, uśmiech nieziemski. A później z trudem wyszeptane słowo:

— Przyjacielu...

Drugą chwilę przeżył w kilka dni później, w drukarni, kiedy wśród mnóstwa listów z kilku dni, adresowanych do redakcyi, czytał jeden, najbardziej jak tylko być może osobisty. Niepodpisany autor w wyrazach bardzo uszczypliwych i prawdziwie dowcipnych znieważał go za to, że jakoby przy

łożu konającego człowieka on, Raduski, śmie prowadzić nikczemny romans. Romans ów autor listu określał zapomocą terminów plugawych, a szczególnie jeden z tych wyrazów kilkakroć napisał. Raduski, odczytawszy kartkę, zmrużył oczy i zbladł. Wzrok jego jakgdyby przylgnął i nie mógł się oderwać od owego haniebnego słowa. Wargi mimowoli powtarzały je, rozdzielając sylabę od sylaby, a za każdą z nich dusza łykała truciznę.

Na trzecią chwilę duszy pana Jana złożyło się wiele zdarzeń, towarzyszących ceremoniom pogrzebu doktora. Zmarł w pierwszych dniach czerwca. Za trumną szedł cały Łżawiec: chrześcijanie i żydzi, bogaci i ubodzy, dorośli i dzieci. Kiedy niezmierny kondukt przy blasku mnóstwa świec wyszedł z katedry i, niby bujna fala powodzi, wlał się w ulicę, prowadzącą ku cmentarzowi, Raduski, stojąc na wzniesieniu kościelnem, zaśmiał się zcicha. Przyszły mu na myśl słowa starego antykwaryusza, cytowane z Hamleta: „Biedny Yoricku, Yoricku!...“ To stado ludzkie z pompą oddawało honory, na jakie stać je było, czemuś niewiadomemu, co przed chwilą gotowe było zaniedbać i rzeczywiście lekceważyło... Na cmentarzu Raduski umyślnie zdaleka się trzymał od trumny, grobu i pani Marty. Ta ostatnia miała opiekunów nie mało. Prowadził ją pod ramię z wielką i surową godnością najgrubszy co do objętości i najstarszy co do wieku reprezentant medycyny w Łżawcu, dr. Falanty. Z drugiej strony stał Koszczycki, dalej piękny i młody antysemita dr. Bydłower, oraz inni żonaci i bezżenni przedstawiciele fakultetów. Pani Marta rozpaczała,

jak się wydało Raduskiemu, w sposób niezupełnie szczery, efektowny i banalny. W czasie mowy kaznodziei, który rozrzewniał publiczność wielokrotnem ubieraniem w klejnoty retorycznych myśli, że oto był człowiek żywy, był doktór medycyny, był małżonek, był ojciec dzieciom (kaznodzieja stale powtarzał to „ojciec dzieciom", aczkolwiek Elżbietka była jedynem dziecięciem zmarłego), a oto teraz leży martwy trup, nic więcej, tylko pewne terytoryum robactwa,—pani Marta mdlała. Gdy wreszcie trumnę spuszczono na powrozach w głąb dołu, okropnie usiłowała rzucić się za nią, czemu adwokat Koszczycki z właściwą forsą przeszkodził. Pomysł owego rzucania się w grób wydał się Raduskiemu również kiedyindziej obmyślonym, jak to mówią, zrobionym szydełkową robotą. Dopiero gdy łopaty chłopów o kostropatych łbach i niegolonych gębach poczęły spychać na trumnę mokrą, cuchnącą glinę, twarz wdowy nagle przybrała wyraz głupi, nieefektowny, wyraz strachu i boleści. I serce Raduskiego ów łoskot o wieko przeszył uczuciem nigdy nie doświadczonem, uczuciem wielkookiego strachu, jakiemu człowiek podlega chyba tylko topiąc się w wodzie. Władze ciała i wytężone palce nie znajdują żadnego przedmiotu twardego, nie znajdują nic, prócz żywiołu, który się złapać nie dał. Wtedy także przemknął się w jego pamięci dziwny uśmiech doktora. A potem nastała obojętność.

Wróciwszy z pogrzebu, Raduski udał się do mieszkania pani Marty, ale jej tam nie znalazł. Na cały tydzień wzięła ją do siebie żona grubego lekarza. Pan Jan zajął się odświeżeniem lokalu, który

przesiąkł niejako chorobą. Kazał go wietrzyć, zmienić i zreformować. Wszystko to czynił dla sprawienia pani Marcie niespodzianki, gdyż miał zamiar sprzeciwić się temu, żeby tam dłużej mieszkała. W ciągu tych kilku dni tęsknił za nią i nie mógł sobie znaleźć miejsca. Od chwili pogrzebu widział się z nią raz tylko w parku miejskim. W krótkiej rozmowie, przy starszych wyobrazicielach familii głośnego uzdrawiacza cierpiących, zdołał zaproponować wdowie, czyby nie chciała odbyć krótkiej, jednodniowej wycieczki do miejscowości, znanej mu z lat dziecinnych. Pani Marta zgodziła się w sposób nudnie-bierny, a gdy się rozstawali, patrzała mu w oczy z uśmiechem, który w nim stworzył nowe życie.

Nazajutrz, około godziny ósmej rano, pan Jan stawił się przed chwilowem schronieniem pani Marty w wynajętym powozie, umieścił w nim wdowę, dr. Falantową i Elżbietkę, a sam wlazł na tak zwany kozioł. Gdy przejechali szosą z dziesięć wiorst drogi, Raduski kazał furmanowi zjechać na boczny trakt piaszczysty. Poczynała się tam okolica pagórkowata, zarośnięta na wielkich obszarach jałowcem. Przed oczyma jadących wznosiły się znaczne, nieco powydłużane wzgórza, obleczone w ciemne lasy, z których głębi szarzały tu i owdzie osypiska głazów. Wehikuł sunął wolno po drodze, uginając się jednostajnie. Sprychy kół zabierały na się całe warstwy piasku, który sypał się ciągle z cichym szelestem. Śliczne, wesołe słońce stało nad krajem i, ciągnąc z zarośli jałowcowych mocną woń żywicy, rozlewało ją w powietrzu. Za wyższemi krza-

kami, na sinych cieniach, przecinających koleiny drogi, stała jeszcze rosa. Gdzieniegdzie, po żółtem tle piasku, niby plamy na skórze pantery, widać było siwoszare kępy wrzosów. Srokosze zawodziły w gąszczach swe jednostajne pieśni, z lasu kiedyniekiedy dawał się słyszeć krzyk ostrożnej kraski. Wolno jadąc u podnóża, wycieczkowicze okrążyli jeden z pagórków bez wkraczania do lasu i znaleźli się w zakręcie wąwozu, który łagodnie schylał się ku jakimś wodom, błyszczącym daleko, daleko. I tam rosły jałowce na litym, do środka ziemi sięgającym piachu. Tylko w środku doliny, nad strumieniem, stały małe, karłowate olszynki długiem pasmem szarozielonem. Wyżej, po wzgórzach czerniały sosny. W tem głuchoniemem zagłębieniu było tak cicho, tak pusto, tak nieruchomo i tak jakoś poswojemu, że wszyscy prawie jednocześnie zakrzyknęli:

— Tu wysiadamy!

Elżbietka pierwsza skoczyła na ziemię i wnet poczęła chichotać, gdy buciki jej nurzały się w głębiach ciepłego piasku. Śmiech jej cudownie brzmiał między dużemi krzakami jałowca. Raduski zaprowadził ją do nadrzecznych olszynek. Gdy rozsunęli ciemnozielone liście, ujrzeli wodę. W miejscu, gdzie z cichem szemraniem, ocieniony kępami soczystej, zielonej trawy, po rumianych i siwych kamykach strumyczek się przelewał, Elżbietka stanęła, jak wryta. Oczy jej, ręce i usta pociągnęła ku sobie ta czysta, srebrna, migotliwa woda, prędko dokądś lecąca. Uwijały się tam bure ślize, trzepiąc bez przerwy ogonkami i pakując tępe łby pod płaskie ka-

mienie. Wysmukłe źdźbło tymotejki, stojące nad samym brzegiem, kiwało się za każdym powiewem wiatru, rzucając na jasną wodę cień swój maleńki, niby oko srogiego sidła do chwytania tłustych ślizów. Wszyscy maszerowali jakiś czas poza olszynami aż do samotnej brzózki, która wstąpiła białym odziemkiem swoim aż w łożysko strumienia. W cieniu, rozesłanym na trawie i piasku przez jedwabnie szeleszczące, zielone sploty jej liści, wstrzymano pochód. Nie tylko Elbietka ulegała czarowi zacisznej rzeczki. Obiedwie panie śmiały się do jej wód spojrzeniem i ustami. Raduski czuł się jak w niebie. Usiłował gościom pokazać wszystkie piękności tych swoich stron, wszystkie tajemnice miejsc, których sam tyle lat nie widział. Nie obfitowały one w efekty. Widok na daleki staw, jałowce, sosny, piasek i trawa, oto wszystko. Wskazywał tedy co mógł: trznadla, wydzwaniającego swoją gminną piosenkę, a wskazywał w taki sposób, jakby to był gatunek, gnieżdżący się jedynie w okolicy Niemrawego; prowadził do leśnej dróżki i stwierdzał fakt wielkiego znaczenia, że tamtędy można wyjść na pola niemrawskie; pokazał wielkie mrowisko, które pamiętał z lat dzieciństwa i pragnął mocą argumentacyi nadaremnie objaśnić niewysłowiony i dziwnie żałosny dla niego pewnik, że to mrowisko urosło przez ten czas o tyle a tyle...

Do rodzinnego folwarku nie dojechał umyślnie, gdyż chciał ten dzień poświęcić nie sobie, lecz chorej duszy pani Marty. Chciał ją uzdrowić balsamem, w który wierzył najbardziej, otaczał ją tem, co miał najdroższego, najbardziej ukochanego w swej

duszy: swojem powietrzem i słońcem, ziemią i wodą. Zgarniał cczyma widoki, o których śnił lat tyle, i przynosił je do stóp osieroconej z ciągłem błaganiem: nie płacz... Ale przyszła chwila, że nie mógł dać sobie rady. Pod pretekstem, że chce zostawić towarzyszkom możność swobodniejszego wypoczynku, odszedł sam na wzgórze, skąd widać było folwark niemrawski, zamieszkany przez pana Sapsię Jajko, byłego pachciarza. Usiadł tam na pniaku między sosnami. Czarny dach dworu lśnił się w słońcu, ściany jasno bielały między wysokiemi lipami. Oto stary modrzew, oto droga wjazdowa, oto młyn i wielkie olchy, zwieszone nad stawem...

Z głębokiej zadumy wyrwało go nawoływanie. Obiedwie panie szły brzegiem strumienia. Raduski dopędził je i poprowadził pewną drogą, a raczej pewnym szlakiem wśród jałowców, którędy od lat wielu nikt nie przejeżdżał. W jednym punkcie wzgórek piaszczysty zsuwał się stromo w nizinę, gdzie wody strumienia wyżłobiły rozdół dość długi i przestronny. Całe dno jego zaścielały duże trawy, dzikie maliny i dziady. Ku wschodowi ramiona pagórków rozsuwały się i płaska, równa, daleka łąka przecudnie srebrzyła się w słońcu. Z prawej strony stał nad nią gaj sosnowy. Wysmukłe pnie widać było daleko spomiędzy koron i cieniów. Tu i owdzie bieliła się w czarnozielonej głębinie jasna osika albo lśniąca brzoza. Z lewej strony po urodzajnych, okrągłych wzgórkach, zaraz od granicy łąk ciągnął się długi i szeroki łan żyta. Było jeszcze zupełnie młode, ale już lekki wiatr przeganiał na zielonej jego powierzchni fale szaropłowe.

Zdala wydawało się, że cała niwka idzie z dymem, że płynie, leci, występuje z miedz swoich, ciemnemi smugami dzielących ją od pól sąsiednich, że przelewa się w łąkę, to znowu, że nawraca i pędzi pod górę. Za żytem ciągnęły się działki owsa i role, zlekka żółtawo-zielonemi źdźbłami osłonięte.

Raduski wziął Elżbietkę *na barana*, gdyż trzeba było brzegiem łąki przedzierać się między zaroślami jeżyn, i prowadził obiedwie panie dalej. Wązka ścieżka, z wierzchu okryta błoną zeschłej gliny, a uginająca się pod nogą, szła w łąkę. Bobrek trójlistny, goryczka ze swemi szafirowemi kwiatami, żółty łomikamień, strzępiaste goździki i bladoróżowe, gorzkie centurye stały tam między buremi kiściami dojrzewającej mietlicy. Pospolity złocień patrzał swem żółtem okiem z głębi wysokich traw w samo słońce. W małych, wilgotnych kotlinkach siedziały kępami niezapominajki, na miejscach suchych rozrastała się koniczyna.

Czasami wiatr zupełnie nacichał, jakby się przed skwarem krył pod cień brzóz i sosen. Wtedy cisza pozwalała słyszeć muzykę łąki, jej pieśń własną. Dostałe źdźbła, suche torebki i strąki pełne nasion, kiście i kieliszki kwiatowe wydawały jakiś sypki, dzwoniący szelest, który wciągał słuch, umysł i całą duszę do kraju przedziwnych marzeń. Chyże wspomnienie cofało się ku dniom dzieciństwa, najwcześniejszego dzieciństwa, mijało je i szło dalej, dalej, aż do jakiegoś niewiadomego czasu, kiedy cały byt był drzemaniem, zamykanem i otwieranem przez taką, czy podobną melodyę.

Oto biały, jak lilia, puszysty obłoczek nakrył

słońce, niby dziecko małą rączką oczy matki, i krótka, jak westchnienie, lekka, mglista pomroka sunęła przez wzgórza, dolinę i zarośla. W pewnej chwili ważyła się kania, rzucając na trawy cień swój ruchomy. Elżbietka stanęła zdumiona i, wskazując wszystkim ów cień, pytała z niepokojem: kto to? co to za jedno Roje much kursowały tam i napowrót z wielkiemi nowinami, kręciły się jakieś wysoko postawione muchy ze złocistemi skrzydły, pełzały z badyla na badyl boże krówki, łaziły trawojady pająki, całe zielone i z zielonemi, złowieszczo na dół obwisłemi wąsiskami, wolno mknęły pszczoły i osy. Raz ukazał się obok Elżbietki bąk w aksamitnym kostyumie ze złotemi galonami. Z rykiem krążył to tu, to tam, jak lew straszliwy, czyhający, kogoby pożarł. Odgrażał się, trąbił, szedł udry na udry, aż raptem znikł bez śladu. Wówczas uwagę wszystkich skupił na swych lotnych skrzydłach motyl biały, jak płatek śniegu. Kiedyniekiedy przytulał piersi do badyla i wtedy leniwie poruszał skrzydłami, jakby się niemi wachlował.

Doktorowa Falantowa szła pierwsza, prowadząc Elżbietkę po miękich, suchych, na wzniesieniu rozesłanych zatokach łąki. Raduski nie odstępował pani Marty, która ciągle była małomówna, rozdrażniona i ulegająca jakimś nieustannym, przykrym wzruszeniom. Mówił, jak najęty, dowcipkował, śmiał się, a chwilami wprost paplał dla rozweselenia towarzyszki. W pewnej chwili pani Marta zwolniła kroku, a gdy tym sposobem większa przestrzeń dzieliła ją i pana Jana od Falantowej, rzekła cicho:

— Jeszcze nie podziękowałam panu...

— Co takiego! mnie? za co?

— Jakto za co? Gdyby nie pan...

— Ależ proszę pani! Tylko aby o tych rzeczach nie mówmy! Raz niech pani zapomni. Oto ma pani świat, życie, słońce i taką łąkę... Trzeba wyrzucić z pamięci...

— Nie tak to łatwo...

— No co, no co? — szepnął z czułością, której ukryć nie był w stanie.

Doktorowa miała oczy spuszczone, jak zwykle, ale policzki jej lekko się zabarwiły w tej chwili i cudowny uśmiech otoczył usta.

— Gdybym ja mogła zrobić dla pana choć dziesiątą część tego, co...

— Chce mię pani koniecznie wynagrodzić?

— Chciałabym panu wyrazić...

— Ja sam się nagrodzę za to wszystko... — rzekł szorstko, kategorycznie, prędko i nieswoim głosem.

Wzniosła na niego swe śliczne oczy, ale zanim zdołał zrozumieć ich wejrzenie, nakryła je powiekami, których ruch zdawał się mówić: tak, tak...

VIII.

Echo łżawieckie nie wywierało na czytającą publiczność w pierwszych miesiącach swego bytu bardzo wielkiego wrażenia. Prenumeratorowie przybywali kiedyniekiedy, ale zwolna. W *Gazecie łżawieckiej*, która pierwsze numery *Echa* witała z obłudną życzliwością, zjawiać się zaczęły pewne sym-

bole w kostyumach entuzyastycznych pochwał, wskazujące palcami zalety przeciwnika, o jakie *Gazeta* nie kusiła się nigdy, a wreszcie pewnego dnia usiadło w szpaltach skromne, dyskretne, iście braterskie pytanie, czyby nie było „wskazanem", ażeby pismo peryodyczne w takim Łżawcu, przeznaczone „jakby wnosić należało, dla wierzących, dla chrześcijan-katolików" trzymać w duchu bardziej religijnym?.. W numerze następnym tkwił już dokumentny artykuł o tem, co to jest moralność „prawdziwa", a co moralność „niezależna", czyli „bezwyznaniowa"... Grzybowicz, odczytując te pytania i admonicye, wciskał binokle i zacierał ręce, szykując się do siarczystej odpowiedzi. Raduski gasił jego animusz — i nie dał żadnej. Czuł on, że wojna tak czy inaczej wybuchnie, a rad był odwlec moment starcia na czas nieograniczony. Wkrótce potem właściciel drukarni, gdzie odbijano *Echo*, ni z tego, ni z owego zerwał umowę i nie chciał nadal drukować pisma, motywując ten krok dziwacznie i niezrozumiale. Na szczęście istniały w Łżawcu trzy drukarnie. Przeniesiono zaraz *Echo* do drugiej, ale z wielkiemi stratami, gdyż właściciele jej kazali sobie płacić prawie w dwójnasób. Nie było jednak rady i pan Jan przystał na słone warunki.

Przykrości, idące z tego tytułu, nagradzał wydawcy stosunek z Grzybowiczem. Ostatni był to niezrównany gazeciarz, człowiek rozkochany w bibule i farbie drukarskiej. Od chwili zagnieżdżenia się w redakcyi przekształcił się niby kameleon: ożył, nabrał w siebie i wyładowywał masę energii. Zbierał wiadomości miejskie pierwszy, spo-

sobem jemu tylko wiadomym, miał najdokładniejsze sprawozdania o wszystkiem, co się działo w mieście i poza jego rogatkami, szturmem zdobywał ogłoszenia i pakował gazetę na wszystkie strony. Raduski miał sto pociech, patrząc na jego zabiegi, walki, tryumfy i klęski. W tym czasie doznał także niemałej uciechy, otrzymawszy z prowincyi kilka listów pomyślnych. Pewien młody urzędnik akcyzy wychwalał z entuzyazmem myśli *Echa*, a sam proponował redakcyi, czyby nie umieściła jego pracy o przemytnikach, pewnego rodzaju studyum, opartego na kilkoletnich badaniach, prowadzonych w całej rozciągłości, bo przy użyciu z jednej strony broni, a z drugiej kołków, noży i pazurów. Praca ta miała mieć charakter nie tylko etnograficzny, ale także społeczny, miała ukazać całą tę warstwę ludzi w świetle wyraźnem i dokładnem, *sine ira et studio*. Drugi niemniej pomyślny list przysłał do redakcyi pewien rządca dóbr prywatnych. Pisał on, że ma gotową do druku robotę o parobkach folwarcznych, opartą na materyale zebranym w kilku wsiach okolicznych. Referat rządcy miał jakoby dać opis całkowitego żywota parobka folwarcznego i jego rodziny. A więc miał przedstawić, ile taki robotnik zarabia, ile i jak pracuje, gdzie mieszka, co je, ile pije wódki, jaki jest stan jego fizyczny, moralny i umysłowy.

Bardzo szczodrze posypały się korespondencye z rozmaitych punktów gubernii. Niektóre z nich były obszerne i doskonałe. Jedna np. zawierała obraz drobnego przemysłu w małej mieścinie Pałąki, napisana była wybornie i ze znajomością rzeczy. Raduski promieniał. Nie tylko żądał od refe-

rentów ich prac, ale obstalował nowe studya, przyrzekając drukować je w całości, lub wyciągach, pewny, że te artykuły zastąpią dla czytelników odcinek z przekładami i obrócą serce mieszkańca tamtejszej okolicy do jego braci na niskim stopniu społecznym... Pisał tedy na wszystkie strony, gdy wtem nowe zdarzenie wytrąciło mu pióro z ręki. W ostatnim tygodniu czerwca zjawił się pewnego popołudnia w drukarni dr. Falanty, wywołał Raduskiego na ulicę, ujął go pod ramię i, przysiadając kolejno na swych grubych nogach, mówił:

— Przychodzę zakomunikować panu smutną nowinę, bardzo smutną nowinę... Istotnie... Mnie samego takie rzeczy... istotnie... Byłem dziś u doktorowej...

— U doktorowej Poziemskiej?

— Zgadłeś pan, u doktorowej Poziemskiej. Żona kolegi, coś, tego... Pierwsza powinność! Wezwała mię, więc idę, bez względu na to, że płatni pacyenci... Niema o czem mówić... Pierwsza powinność i skończona rzecz! Byłem, zbadałem stan chorej...

— Chorej!

— Tak. Źle jest, proszę pana. Mówię to jako przyjacielowi zmarłego. Ona jest zakażona tą nosacizną. Jest to, zdaje się, mniej ostre, ale tosamo.

Twarz Raduskiego skurczyła się i przybrała jakiś psi wyraz. Stanął na trotuarze i żuł coś w wysuniętych wargach. Stopudowy rozsądek przywalił jego duszę. Serce w nim zamarło. Szedł obok doktora Falantego, z uwagą słuchając jego medycznych określeń. Wciąż myślał o tem, że należało się tego spodziewać, że to było do przewidzenia, że były pewne oczywiste wskazówki, aczkolwiek

najlżejsze przypuszczenie w jego imaginacyi nigdy nie postało. Gdy wraz z grubym medykiem wstępował na schody mieszkania doktorowej, uległ silnemu złudzeniu, że słyszy przez ściany głos Poziemskiego, coś jakby jęk, coś jakby śmiech szyderczy.

Pani Marta ubrana leżała na sofie w pokoju bawialnym. Miała oczy rozbiegane, wypieki na twarzy i dzikie drgania brwi, drgania, jakich Raduski nigdy nie zauważył. Skoro tylko weszli do salonu, zapłakała rozdzierającem serce, cichem, bezsilnem łkaniem. Głowa jej upadła na skórzaną poduszkę i leżała zwieszona ku ziemi, kiedyniekiedy wznosząc się i opadając, jak u starych niewiast zatopionych w modlitwie. W płaczu tym nie było skargi, rozpaczy, ani żalu, tylko jakieś bezlitosne wypominanie długich dziejów bezprawia i krzywdy. Raduski stał obok sofy i nie ruszał się z miejsca. Był pewny, że ten głos już za życia swego raz słyszał w śpiewie brudnej, cuchnącej, chudej indyanki, na pokaz obwożonej w szałasie wędrownego kuglarza, która w antraktach między jednym tańcem a drugim siadała na deskach, pod szkaradnie malowaną kulisą i, niańcząc zziębnięte, paskudne, chore, kaszlące niemowlę, śpiewała mu swą pieśń ojczystą, czy macierzyńską. Niedługo bawił u chorej. Na ulicy począł naradzać się z Falantym, co czynić, zaproponował zwołanie konsylium... Znakomitość łżawiecka przystała na to chętnie i zaraz tegoż dnia zebrało się w mieszkaniu pani Marty grono lekarzy. Radzili dosyć długo i, jak się później okazało, doszli zgodnie do pewnych wniosków. Pan Jan tę noc przepędził bezsennie, a cały następny dzień

u wdowy, służąc jej jak szarytka. Późno wieczorem, około godziny jedenastej wrócił do siebie, w ubraniu położył się na sofie i twardo zasnął. We dwie godziny później zbudził się nagle, jakby rzucony z posłania niewiadomą siłą. Noc była ciepła, księżycowa, cudowna. Przez otwarte okno płynął ze starego parku zapach narcyzów, podniecający, prawie ostry. Wszystko spało, a raczej wszystko jakgdyby utonęło w nocy i ciszy. Ani z oddali, ani zbliska nie dochodził szmer najlżejszy. W przestworze, zalanym światłem miesięcznem, stały tu i owdzie po niebie rozwiane, blade chmurki, niby skrzydła i szaty cherubinów, co, ukryci za niemi, pełnią nocną służbę przede drzwiami, niewidzialnemi dla oczu śmiertelnych. Biały blask martwymi kształtami leżał na murze ogrodowym, na potłuczonym daszku z cegły, na zielonej pleśni omszałych słupów. Jak świecący ciężar ważył się bez końca na strzępiatym liściu dzikiego wina, niby ulotny i sprężysty ognik wstępował do ciemnicy pod gęste liście przez szczeliny między igłami starego modrzewia. Tam w czarno-zielonej głębi chwiał się, posuwał, cofał, oglądał mokre trawy i kielichy skromnych kwiatów. Na dróżkach, zasypanych piaskiem, a wystawionych na zimne światło, leżały urocze cienie grubych odziemków, gałęzi, prętów i liści, jakby widma drzew ściętych.

Raduski usiadł w oknie i podparł głowę rękami. Objęły go we władanie: cisza nocna i coś stokroć lepszego, niż sen, bo spokój, spokój zupełny. Bolesne szarpanie się w sobie, współczucie, a nawet litość sunęły teraz przed nim, jakby ze-

wnętrzne obrazy, wcale jego samego nie dotykające. Była to chwila wzmocnienia ducha, chwila równowagi, zdrowia i siły. Zaskorupiałe rany zdzierał bez bólu, bez czucia i zimnym wrokiem do środka ich przenikał. Czuł, że to nie jest obca jego naturze, przemijająca reakcya, ani obłudna forma tych samych wzruszeń. Rozumiał, że wchodzi w jakiś doskonalszy zakres życia, gdzie siły jego muszą spotężnieć. Ciężył mu tylko brak ruchu, więc ubrał się, wdział letnie palto i wyszedł z domu. W pustych ulicach, gdzie rysowały się nagie granice światła białego, jak mleko, i cieniów czarnych, jak wnętrze lochu, myślał o granicy rzeczy dobrych i złych, czynił szybkie wnioski, oparte na mnóstwie zdarzeń, przygód, cierpień i radości ze swego życia, którego w owej chwili bardzo daleką przestrzeń widział jasno, niby oblaną światłem miesięcznem. Wnioski owe nie sprawiły mu żadnej przykrości, chociaż jak ręka złodziejska rozdzierały zasłonę miejsca świętego świętych, podobne były raczej do sennych, czułych marzeń. Tak rozmyślając, stanął przed domem, w którym na piętrze mieszkała doktorowa. Tylko jedno okno w sypialni było słabo zabarwione światłem, co wskazywało, że chora śpi spokojnie. Z ulic brukowanych zeszedł na chodnik wysypany żwirem, znalazł się w alei, a stamtąd ruszył w pole.

Daleki horyzont ginął we mgłach nocnych. Białe pasmo szosy, tak wyraźnie zbliska widzialne, wpełzało między mgły, jakby się wznosiło ku górze i ginęło. Pola, zasłane zbożami, lśniły się w rosach, które osrebrzało senne światło. W nizinkach,

daleko, daleko pokrzykiwały derkacze, a gdzieś, zdawało się, za borami, za lasami rechotały żaby. Raduski lazł prosto na ten głos dróżką, między której dwiema koleinami, szedł grzebień przykopy wysoki, trawą bujnie obrośnięty. Przed oczyma jego zmieniały się działki zbóż i forma roli, a wreszcie droga zginęła na miedzy, gdzie rosła sama prawie dziewanna i leżały stosy kamieni. Na jednej z takich kamionek usiadł, zwiesił głowę i utonął w zadumie. Wstał z tego miejsca, gdy się już dzień budził. Na wschodzie płonęła zorza, przenikając wskróś mgły, rozciągnięte daleko ponad łąki, pola i lasy. Idąc z powrotem, Raduski słyszał, jak we śnie, rozlegające się wśród jednego z łąkowych tumanów ostrzenie kosy, gdzieindziej, tuż prawie obok drogi, wołanie przepiórki. Był dzień zupełny, gdy wkroczył do miasta. Zaszedł do siebie, umył się, zmienił przemoczone obuwie i odrazu wyruszył do mieszkania pani Poziemskiej. Pragnąc uniknąć stuku i dzwonienia u drzwi głównych, wsunął się na wązkie podwórko, na brudne schody, zcicha przycisnął klamkę i wszedł do kuchni. Starsza służąca spała, jak zabita, głośno chrapiąc na swem wysokiem łóżku. Nie obudziła się wcale, gdy Raduski mijał szybko duszną izbę i wchodził do stancyi, gdzie Elżbietka sypiała z młodszą, niańką. Obiedwie twardo spały, aczkolwiek słońce prażyło ich głowy pierwszym, rzęsistym snopem światła. Drzwi do pokoju pani Marty, dawnej sypialni doktora, były zamknięte, więc Raduski, ująwszy ręką klamkę, długo ją zlekka naciskał, wahając się, czy nie obudzi chorej, gdy wejdzie tak wcześnie. Drzwi

z cichutkim szelestem ustąpiły i pan Jan stanął za progiem. W pierwszej chwili cofnął się instynktownym ruchem, sądząc, że przychodzi nie w porę, ale wnet skoczył w osłupieniu i ze zgiętym grzbietem schylił się, a raczej zawisł nad łóżkiem. Leżał przed nim na wznak trup wdowy. Zwłoki zawisły w pętlicy ze sznura od portyery, którego dwa końce samobójczyni przywiązała była do klamki w środku okna. Łóżko było pchnięte nogami, widać w sekundzie rzucenia się w próżnię, a stężałe ciało, kolanami zaczepione o krawędź, tkwiło prawie poziomo. Szyja była dwa razy okręcona sznurem. Ręce w agonii stargały koszulę na piersiach, a potem rozbiegły się martwe, zwisły ku ziemi i zastygły w powietrzu. Raduski nachylił twarz do strasznego oblicza, zajrzał w wywalone oczy, które, zdawało się, pękną lada chwila. Wargi jego złożyły się do dzikiego wrzasku o pomoc, ale raptem jakieś gorzkie zachłyśnięcie ścisnęło mu gardziel, jak ów zielony stryczek, na który patrzał w tej chwili. Z całej siły starał się rozumnie odpowiedzieć sobie,—co to jest,—gdy wtem poczuł w ustach smak wstrętnego kwasu, w głowie jego rozległy się jęki mnóstwa dzwonów, ujrzał okno, wyrywające się z futryny, przez sekundę widział krawędź żelaznego łóżka, wreszcie jakąś mglistą, bezbarwną ciemność... Kiedy po trwaniu, nie wiedzieć jak długiem, ten mrok rozpraszać się zaczął, Raduski ze zdumieniem zobaczył o dwa cale przed swemi wargami leżącą podwiązkę ze stalową spinką, mały skrawek papieru, a dalej chropawą warstwę pyłu i drobnych śmieci na błyszczącej, froterowanej posadzce. Leżał

bez ruchu, zwolna przypominając sobie wszystko. Gdy się nareszcie dźwignął, miał oczy zmrużone i jakieś niezwykłe wykrzywienie twarzy, co mu nadawało pozór, jakby się z sarkazmem uśmiechał. Trzymając się żelaznej sztaby łóżka i patrząc na umarłą, zaczął myśleć, myśleć, myśleć i przychodzić do władzy nad sobą. Owiał go lodowaty chłód i śmiertelne, głuche milczenie. Tak upłynęła zapewne godzina czasu. Wówczas, nie oglądając się na trupa, wyszedł wolno do sąsiedniego pokoju. Elżbietka już się przebudziła i w koszulinie siedziała na łóżku, gadając coś do trzech lalek z wydłubanemi oczami, które obok niej leżały. Ujrzawszy Raduskiego, rzekła, wytrzeszczając ze zdumieniem oczy:

— Chudy Janek! skądeś się tu wziął? Kiedyś przyszedł? Ale cicho, cicho, nie hałasuj, bo Florka śpi. Nie można jej budzić, boby nie chciała bajek opowiadać. Widzisz, jak ona śpi...

W rzeczy samej niańka chrapała donośnie. Raduski siadł na krzesełku przy łóżeczku małej i zaczął podawać jej trzewiki i sukienki.

— Ty mię będziesz ubierał, ty, chudy Janek? Czekaj, cicho! Nic nie mów Florce, błagam cię! Ona się przebudzi, a ja już...

I gorączkowo zaczęła sama naciągać pończochy. Raduski uczesał ją, służył przy myciu szyi, twarzy i uszu, a gdy już była gotowa zupełnie, obudził służące i rzekł:

— Pani umarła. Niech żadna tam nie waży się nic ruszać, dopóki nie przyjdzie policya. Ja biorę panienkę ze sobą.

— Bierzesz mię ze sobą, bierzesz mię ze sobą?—wołała Elżbietka, zaglądając mu w oczy.

— Biorę cię ze sobą... — rzekł, patrząc na nią z pod nawisłych powiek.

IX.

Zwłoki samobójczyni odprowadzono bez asystencyi duchowieństwa na miejsce niepoświęcone. Mały skrawek gruntu za murem cmentarza, obrosły dzikimi chwastami, gdzie znać było kilka bezimiennych mogił, przyjął ją w łono swoje. Sekcya pośmiertna stwierdziła dyagnozę doktora Falantego. Za trumną szła bardzo nieliczna gromadka osób. Między innemi Raduski dostrzegł zrujnowanego kupca Żołopowicza i starego antykwaryusza. Ostatni czmychał nosem i mrużył wybladłe, sowie oczy, podczas gdy cienkie wargi jego stulał uśmiech głęboko mądry. Całkowite urządzenie smutnego obrzędu było dziełem Grzybowicza, a właściwie jego żony. Sam Raduski tak bardzo upadł na duchu, że nie był w stanie zajmować się niczem. Ten prosty wypadek, jak ostra piła, przeciął jednolity łańcuch jego dawnych myśli, z trudem, w ciągu długich lat samotności, ogniwo po ogniwie, wykuty. Niby więzień, raptem wtrącony do lochu, pan Jan zgubił wyobrażenie praktycznego świata, a to, co go ze wszech stron zamknęło zimnemi ścianami, mierzył wzrokiem nienawistnym. Na domiar złego główna klęska nie przyszła sama, lecz, jak to bywa, wlokła za sobą cały orszak innych. Cztery li-

sty bezimienne czyniły Raduskiego winowajcą śmierci doktorowej, jako uwodziciela. Biedna ofiara nie miała, jakoby, innego punktu wyjścia wobec tego, że całe miasto dowiedziało się o romansie, a nędzny krzywoprzysięzca o żeniaczce ani myślał. Wolał łatwą miłostkę... Raduski nie przywiązywał do tych sygnałów moralności wielkiego znaczenia, były to jednak ziarenka maku, padające na szalę czułej wagi jedno po drugiem, jedno po drugiem. Samotność późniejsza zaogniła rany i nalała w nie żrącego kwasu rozmyślań. Serce jakby umierało i ciemności niezgłębione oślepiły wzrok duszy. To, co było świętem jej namaszczeniem, wyssał wrzód rozczarowania i szyderstwa, gorąca miłość pracy zgasła i przemieniła się na próżnowanie umyślne, wypełnione bezprzedmiotową nienawiścią. Każda nowa doba jątrzyła smutek i wytracała korzenie zasad, przyzwyczajeń, odruchów szlachetności. Nikt z otaczających nie miał już nad zgorzkniałym żadnego wpływu. Gazetę wydawał sam Grzybowicz; znalezieniem mieszkania, sprzedaniem mebli zmarłej doktorowej, zgodzeniem bony dla dozoru nad Elżbietką zajmowała się pani Grzybowiczowa. W pierwszym tygodniu Raduski rzadko kiedy rozmawiał z sierotką. Zazwyczaj przebywał sam w ostatnim pokoju nowego mieszkania, gdzie chodził z kąta w kąt. Czasami mógł czytać jedyną książkę, która znalazła się w jego ręku i którą znosił, *Instytucye kościelne* Spencera, ale pierwszy z brzegu wyraz, jakieś uboczne wspomnienie, niby ostrze noża, dotykało rany. I wnet płynęła wszystkiemi żyłami do serca zła krew melancholii, budziła w niem nie dającą

się niczem zatruć, niczem ogłuszyć, ani uśpić tęsknotę do nicości, ślepe, ciężkie, bydlęce marzenie o tem, gdzie, w jaki dół samego siebie zepchnąć. W drugim tygodniu opanowała go bezsenność. Żaden środek apteczny nie mógł ubezwładnić ani na chwilę rozwścieczonej przytomności umysłu. To, co się przedtem wydawało, jako kraniec, jako kres ostatni cierpienia, było tylko ruchomą granicą innych jego dziedzin. Niezmierzone obszary, całe państwa półzmroku otwierały się jedne za drugiemi, a każda noc prowadziła do krajów ciemniejszych. Człowiek wlókł cię temi płaszczyznami naprzód, bez końca naprzód, ciągniony przez wątłą nadzieję, przez jakieś włókno cienkie, jak nić pajęcza.

Czasami w tem pielgrzymstwie przed oczyma, zasłoniętemi mrokiem, jak ślepotą, ukazywała się wizya błędna, zwodząca, zrobiona z nicości, a jednakże tak niewątpliwa, jak osoba, którąby szła, odwracała piękną głowę, przez chwilę patrzała smutnemi źrenicami... Mara z momentu śmierci zginęła we wspomnieniu tak zupełnie, jakgdyby na podobieństwo zwłok cielesnych bryłami ziemi zasypana została. Ta błądząca była postaci uroczej, dawnej, jakby w dzieciństwie jeszcze wyśnionej. Nieraz zdawało się, że natychmiast wejdzie do pokoju, że jest w sąsiednim, że bezcielesną ręką ujmuje klamkę, że słychać atłasowy szelest jej pachnących sukien. Kiedyindziej dotykał zbolałych nerwów jej głos, czy westchnienie, mówiąc bez użycia dźwięku i sylab: musisz iść dalej, musisz iść dalej... Te szybkie zjawiska nie wypełniały dnia, ani nocy. Snuły się tylko, jak senne kształty. Przez wszyst-

kie godziny trwała napaść smutku, pożerającego duszę, ślepego i głupiego, jak wiatr, co przylata, uderza i cichnie. Owa żywiołowa siła, nie ujęta, nie wiedzieć skąd i dokąd lecąca, ciskała na barki Raduskiego niezmierne masy i bryły, pod których ciężarem serce czuło ucisk śmiertelny, jak gdyby agonię swoją...

Z mebli doktorowej Poziemskiej pani Grzybowiczowa nie sprzedała tylko fortepianu w nadziei, że z czasem Elżbietka będzie się uczyła muzyki. Był to instrument o głosie jeszcze zupełnie pięknym. Ustawiono go w największej sali mieszkania, gdzie sierota sypiała ze służącą. Zamknięty był na klucz i osłoniony pokrowcem z żaglowego płótna. Pewnego razu, po upływie blizko dwu tygodni czasu od śmierci doktorowej, gdy Elżbietka była na spacerze, a pan Jan, zamknięty w swojej izbie, siedział nad rozłożoną książką z oczyma w dalekiej przestrzeni utkwionemi, jęknęła w pustych pokojach melodya. Pani Grzybowiczowa grała jeden z najpiękniejszych nokturnów Szopena. W pierwszej chwili dźwięki te uderzyły Raduskiego i tchnęły weń prawie rozpacz. Ale stopniowo cudowna siła muzyki wlewała do spalonego serca krople wody ożywczej. Szczególnie jeden trel, powtarzający się w tłoku bujnych akordów, zmuszał do zapomnienia. Raduski przymknął oczy i słuchał. W młodości swej, gdy przechodził z klasy siódmej do ósmej, był korepetytorem słabowitego chłopca, który jechał z rodzicami na wakacye do Włoch. Wędrował z temi ludźmi z miejsca na miejsce, z miasta do miasta, z hotelu do hotelu. Rzucał tylko okiem na

ludne ulice, gmachy, monumenty, muzea, widoki, ale nie skorzystał nic prawie, nie zostało mu nawet nic w pamięci. Dopiero teraz wypłynął z nicestwa jeden krajobraz. Zdawało mu się, że stoi na brzegu jeziora, wśród szosy, prowadzącej z miasteczka Bellagio w stronę Porlezzy. Tuż u stóp jego ściele się tuman, płasko rozpostarty. Nad wodami, we mgle skrytemi, leci z przeciwnego brzegu ten nokturn cudowny. Zdaje się, że po drodze tonie w głębiach fioletowych. Oto westchnął ostatni raz, długo, boleśnie i zamilkł. Wówczas z otchłani wypłynął jakiś głos nieznany, jakby tytaniczny oskarżyciel wzywał na świadectwo wszystko stworzenie, jakby Prometeusz, rozpięty na łańcuchu gór, uderzał Jowisza płomiennem słowem, w środku którego leży krzywda połowy świata. I głos jego wzmagał się i ogromniał aż do pęknięcia płuc, aż do pęknięcia piersi, aż do pęknięcia serca. W tem zamilkł w niemocy bez wymówienia ostatniego słowa. Wtedy znowu w siwych mgłach, nad czarownemi nurtami zapłakała smutna pieśń.

Muzyka nie uzdrowiła ani o jednę kreskę chorej duszy, ale same udręczenia przelała w inną formę. Rozwinęła ich ogrom, ale pozwoliła je widzieć samowiedzy. Słuchając tych dźwięków, pan Jan mógł ujmować w pewne słowa i zdania wściekłość, narosłą w duszy, mierzyć myślami, otchłanie, dzielące jedne dzikie zjawiska od innych i cierpieć nie tak jak przedtem, lecz zapomocą klątw i protestów. Gdy pani Grzybowiczowa przestała grać, otwarł drzwi, stanął w nich i patrzał. Podniosła na niego bojaźliwe a badawcze oczy, oczy dobrego lekarza,

który raduje się na widok cięć, świadomie zadanych lancetem, i znowu grać zaczęła. Łzy rzęsiste płynęły po jej twarzy, zlatywały na ręce i one to zapewne udzielały palcom mocy wywoływania czarodziejskiej melodyi. Raduski westchnął z samej głębi piersi i krótko myślał o tem, jak szczodrze, jak nadmiernie odpłaciła mu ta kobieta za przypadkowe podanie ręki. Ukłonił się jej w milczeniu i wyszedł. Wprost z mieszkania powlókł się na cmentarz. Był tam pierwszy raz od śmierci doktorowej. Na żółtą jej mogiłę wdrapały się już chwasty o cienkich, jasnozielonych łodyżkach. Stanął przy płocie, otaczającym cmentarz samobójców i roztrząsał całe życie pani Marty. Zjadliwy uśmiech błąkał się po jego wargach, gdy mówił do jej cienia:

— Ty jesteś bez nazwy, ty jesteś wzgardzona tak samo, jak ci wszyscy twoi towarzysze. Imię twoje... Niedola. To też my nie wypiszemy na kamieniu twego prawdziwego imienia, lecz te tylko słowa Leopardi'ego: „Na wzgardę mię osądziła brutalna moc, co z cienia tajnych praw na złe człowieczeństwa rządzi...“.

Z tą myślą w głowie i z tym samym uśmiechem na ustach szedł ku miastu. W drodze układał plany, gdzie obstalować monument: czy jechać do Warszawy w tym celu, czy w Łżawcu szukać jakiegoś majstra kamieniarskiego. Błąkał się w jego pamięci obraz rzeźbiarza, liter kutych na płycie marmuru... Gdzie to jednak było, przed laty, czy niedawno?... Stanął wśród ścieżki i, rysując kijem figury na piasku, grupował wspomnienia, dążąc od jednego do drugiego, ku zamglonemu wyobrażeniu.

Wreszcie przypomniał sobie wszystko z taką dokładnością, jakby się tego dnia odbyło. Niezwłocznie prędkim krokiem ruszał na przedmieście Kamionkę. W zamyśleniu, nie wiadomo kiedy, minął miasto, boczne uliczki i znalazł się przed krzywem domostwem, gdzie w dniu przyjazdu widział starego kamieniarza. Stuk młotka rozlegał się i w owej chwili, to też Raduski wszedł do wnętrza i otwarł drzwi do izby. Chodził po niej chłopak może siedmioletni, owinięty w zniszczoną chustkę i dźwigał w niej na piersiach dwuletnie dziecko w czerwonej chłopskiej czapczynie, z twarzą umorusaną na czarno. Dziecko kwiliło z cicha, zmęczone, widać, długim krzykiem. Dziewczynka nieco mniejsza od piastuna skrobała ziemniaki i rzucała je w sagan, mrugając jak wiewiórka czerwonemi powiekami. W kącie na werku siedział starzec zupełnie łysy, którego Raduski widział przez okno. Dziad ów miał prawe oko zawiązane chustką, a do drugiego przykładał sobie płócienne szmatki umoczone w wodzie. Na jego miejscu pośrodku izby siedział przy płycie marmurowej chłopiec lat trzynastu, czy czternastu i on to wykuwał litery rysowane ołówkiem. Wejście Raduskiego spostrzegła tylko mała dziewczynka i chłopak niańczący niemowlę. Obydwoje zawiesili swe czynności i przyglądali się gościowi niedbale i w milczeniu. Dopiero po upływie chwili mały kamieniarz, tyłem do drzwi zwrócony, przypadkowo rzucił okiem na Raduskiego i, nie wypuszczając z rąk młotka ni dłutka, czekał.

— Można tu u was obstalować pomnik? — za-

pytał Raduski, zwracając się do starca, który odjął płatek od krwawego oka i ciekawie patrzał.

— A dla czegóż? Można obstalować pomnik...— rzekł dziadowina.

Malec obejrzał przychodnia od stóp do głów poważnem wejrzeniem i mruknął:

— Jakiż to pan myśli pomnik stalować?

Raduski uśmiechnął się mimowoli.

— Duży nagrobek, marmurowy.

— Płytę?

— Tak... chyba płytę...

— Jabym nawet i nie mógł inaczej, bo dużemu grobowcowi rady nie dam... — rzekł chłopiec.

Plunął w garść i zabrał się na chwilę do roboty.

— Płytę można obrobić... dla czegóż...

— To już nie wy zajmujecie się tą pracą, tylko ten jegomość?—spytał Raduski łysego starca.

— On się zajmuje, bom ja oto i ślepie wyrobił.

— Dawno? Przeciem ja was tu widział parę miesięcy temu przy robocie.

— Robiło się do dnia, do ostatniego. Teraz przyszedł koniec i hola! U *nasz* tak: robisz, robisz, aże proch ślepie wyźre. Wtedy — hola!

— To wasz wnuczek?

— Nie, nie mój. Obcy.

— A cóż uczeń, praktykant, czy co?

— Był i przy mnie, a tera sam robi.

Mały kamieniarz bił w dłutko drewnianym młotkiem, podobnym do przeciętej kuli. Oczy jego były charakterystycznie, po kamieniarsku przymru-

żone, palce lewej ręki z precyzyą a z mocą trzymały stalowe dłutko. Czasami odymał wargi i nachylał głowę ruchem kaligrafów, wyprowadzających świetne litery. Kiedyniekiedy przerywał pracę i obrzucał Raduskiego spojrzeniem zimnem a uważnem. Malowała się w niem przedwczesna rozwaga, na doświadczeniu oparta, i nieufność człowieka dojrzałego. Pan Jan przypomniał sobie tę twarz wkrótce. Był to chłopiec, którego widział w sklepiku szewca pierwszej nocy za powrotem do Łżawca. Stanął mu w pamięci dyalog podsłuchany wówczas, umowa o buty i wykład skrupułów religijnych.

— Dawno już prowadzisz interes na siebie?— zagadnął chłopczynę, siadając naprzeciw niego.

— E... na siebie! Oba z Mateuszem pchamy po maleńku. Oni już młotka nie biorą do garści, bo prawie do cna oślepli, to ja robię, a oni znowu mi pomagają czy dźwignąć płytę, czy sprowadzić kamień ze Sapów. Będzie to kto gadał ze mną?

— A te dzieci czyjeż?

— To tam... moje.

— Twoje? — zawołał Raduski ze śmiechem.

— No, moje. Dwóch bratów i siostra.

— A rodziców macie, panie majster?

— Nie. Matka dawno pomerła, a ojciec będzie jakoś na wiosnę.

— A cóż, ojciec także był kamieniarzem?

— E... gdzie, proszę łaski pana... — wmieszał się do rozmowy starzec.—Jego nieboszczyk ojciec to był prosty człowiek. Otwarcie powiedzieć: parobek. Mieszkał tu w izbie u *nasz*, jakem jeszcze sam robił. Pijak był bo był, ale dobre człeczysko. Sypiał

tu w kącie z temi dzieciskami, kiedy mu żona umarła. Chłop był nawet zdrowy i raptem go zgarnęło jakieś takie choróbsko... Kazali mu tutaj na folwarku obedrzeć kobyłę, bo to robił wszystko, co na placu, i zaraził się, czy parchami... Mówili, że to nosacizna, ale ja nie wiem, czy się taka słabość *czypi*, naprzykład, człowieka...

— Słyszałem coś o tem... — rzekł Raduski, patrząc w twarz małego kamieniarza oczyma, mgłą zasłonionemi. — To ty jesteś synem tego człowieka? Ty jesteś?... I to rodzeństwo, ta dziewczyna, chłopiec i ten mały? Ach, więc to tak jest...

— A tak. On jest synem. Jak tu mieszkali u mnie, roboty było dużo, to se ten Szymek patrzał, jak trzymać dłutko, miał do tego ciekawość. Przyjrzał się i z małości otłukał mi kamienie. Jakże podrósł, naraiłem go koledze Fijołkowskiemu ze Sapów. Ma tam duży zakład kamieniarski. Ij, nie nie to, co moje... Porządny zakład—jednem słowem! Ano wziął go. I nie na darmo. Byłeś tam chyba, Szymek, ze cztery lata?

— Cztery lata i siedm tygodni.

— No! Poduczył się. Byłby może i został czeladnikiem u tego Fijoła, ale cóż... Ten stary, niby ojciec jego, zaniemógł na dobre—cóż ja miałem robić z berbeciami? Wygnać—jużci żal... Żywiłem toto i żywiłem, ale, mówię, sam ledwie ślipiam, dniem i nocą kujący. Niechże przynajmniej ten Szymek idzie do mnie na pomocnika. Wyrznęło się list, markę my przylepili za siedm kopiejek, cisnęli my to pismo w puszkę, a no i dobrze. Ściągnął się ten chłopak. Jakże Piotr zmarł, robiliśmy obaj, aż tu

i na mnie zeszło licho. To prawe oko całkiem ciemne, a i drugie ledwo, ledwo... Tyle, że mu jeszcze wyrysuję litery co piękniejsze i niby się ta buda nazywa moja, ale co robotę, to już sam pcha...

— I dużo też zarabiacie?

— Co tu można, proszę łaski pana, we Łżawcu zbudować? — rzekł stary. — Chcesz *malmur*, to trza płytę sprowadzić ze Sapów. Mamy to czem, albo jak? To się robi chłopu, mieszczaninowi, chudziakowi belejakiemu. Krzyż z piaskowca ociesać, pomniczynę—to ta i tyle. Miałem tu dużą tablicę dla siostry kanonika z Kolein, stawiała ś na grób męża, tom nie mógł dokończyć. Teraz on toto robi, ale prędko nie nastarczy, choć ta i widział i praktykował...

— A cóż z berbeciami, jakże sobie dajesz radę? — zapytał pan Jan młodego rzeźbiarza. — Tego będziesz uczył swego fachu, czy jak?

— Kto jego wie, co z nim robić?... — rzekł Szymek, rzucając na brata prędkie spojrzenie. — To *uncwot!*... Sam nie wiem, co z takim za rada... Ani to końca miary w tym łbie, ani jakiego rozumienia. Byle się na świat wyrwał, to go już szukaj na drugiem przedmieściu!

— A siostra? Widzę, pomaga, jak może?

— No, cóż nie ma pomagać? Jużci, choć tę *warzę* do ognia przystawi.

— Dasz ją w służbę?

— A któż to weźmie, proszę pana, oberwańca tylego?

— Jabym ją wziął do służby... — rzekł Radu-

ski.—Właśnie mi trzeba takiej oto pokojówki. Mam córeczkę w tym wieku, co i ona, toby się razem... to ją będzie obsługiwała.

Mały kamieniarz wsparł wolno drżącą rękę o płytę, odgarnął z czoła włosy i mierzył wzrokiem to Raduskiego, to Mateusza, który nadstawił ucha, zdjął płatki z oczu i puścił samopas dolną wargę.

— Poradzi to tyla żaba, proszę pana, we służbie?...—rzekł cicho mały.—Ona tu chodzi patrzeć, jak co uwarzyć, do ciotki, do naszej, ale po pańsku nie upitrasi...

— To też ona gotować u mnie zrazu nie będzie. Zobaczymy. Chcesz, mała, iść ze mną?—zwrócił się do dziewczynki, skręcającej brzeg fartucha.

Zanim ośmieliła się spojrzeć na swego przyszłego chlebodawcę, już stary kamieniarz mówił tonem uniżonym:

— Wielmożny pan tu *miszka*, we Łżawcu?

— Tak, na rogu Frontowej i rynku.

— Anula, całuj pana w rękę i zbieraj się!—zawołał.—Nie masz co medytować. Rznij do ciotki, niech ci ta zwiąże w węzełek, co masz i te... Całuj pana wielmożnego w rękę!

Dziewczyna chciała spełnić rozkaz, ale ją Raduski zwrócił ku drzwiom i odesłał do ciotki. Gdy poszła, umówił się z młodym rzeźbiarzem co do wynagrodzenia. Chłopiec siedział zamyślony, a gdy dziękował Raduskiemu, oczy jego sondowały twarz tego nieznajomego przybysza. I pan Jan nie mógł się dość nasycić widokiem oblicza małego pracownika. Patrzał jak zwolna dziecięce czoło rozświetlał błysk szczególny, rozpalony, zdawało się, w głębi

jego czaszki i wychodzący nazewnątrz. Niepowstrzymane światło zatliło się we wzroku obudwu i siadło na wargach w postaci miłego uśmiechu. Raduski myślał wtedy jak pomódz temu chłopcu bez uciekania się do wstrętnej dlań jałmużny, ale w tej chwili sąd skryty, sam w sobie schowany, łączył się jak woda zaskórna kroplami, z rozmaitych stron płynącemi, w głębokie źródło wody żywota.

— Co między mną i tym chłopcem się pali — to jest promień, o którym gadał stary antykwaryusz. To jest główny lewar istotnej cywilizacyi. „Nie godzi się parać, nie godzi się parać"... Głupi Koszczycki! Jemu się zdaje, że Laskoniec psu na budę się nie zdał, że daremnie umarł...

Gdy tak rozmyślał, płonąc ową radością, którą biblia nazywała „wielką", drzwi się otwarły, stanęło w nich i trwożnie zajrzało do wnętrza chude dziewczynisko w czerwonej szmatce na głowie, w brudnej koszuli i wytłuszczonym lejbiku. Raduski rzucił na nią okiem i pomyślał:

— Patrzajcież, i to stara znajoma. Koszula się na niej od świąt zbrudziła potężnie.— To ciotka?— zapytał głośno.

— A tak, ciotka, matki siostra...—rzekł Szymek.

— Służy u pani Wątrackiej?

— A tak. Wielmożny pan zna?— spytał stary.

— Znam trochę, coś niecoś... No, Anula, tobołek gotowy?

— Gotowy... *pszè* pana... — wykrztusiła cichuteńko.

— No, to w drogę. Zostańcie z Bogiem, moi państwo, a wolnym czasem może też kto z was zaj-

dzie, żeby obaczyć, jak tam Anuli wiedzie się na służbie. O pomnik ja tu się zgłoszę... Umówię się z wami, majsterkowie, jaką to płytę, jaki napis, jaki napis...

Wyszedł stamtąd i, pogwizdując, maszerował ulicami w towarzystwie bosej i nastraszonej dziewczyniny.

X.

Od chwili przybycia Anusi do wspólnego mieszkania życie pana Jana zmieniło się cokolwiek. Melancholia stopniowo, z dnia na dzień w nim się zmniejszała wskutek mnóstwa prac umysłowych i fizycznych. Główną osią jego rozmyślań i studyów była kwestya wychowania początkowego. Czasu swej młodości zajmował się tą sprawą teoretycznie, badał ją z pilnością w szeregu innych, tak samo jak ekonomię polityczną, albo nauki przyrodnicze. Wypełniała pewne rubryki katalogu rozumowanego, więc ją oglądał dosyć prędko i w głównych rysach. Z czasem zapomniał o niej zupełnie, jakby to była luźna data z historyi Rzymian. Dopiero w epoce panowania nad sercem i mózgiem samowładnego smutku, po zjawieniu się u ogniska domowego, wskutek zbiegu wydarzeń, dwu dziewcząt jednego niemal wieku, sprawa kształcenia zaczęła go najprzód nieprzyjemnie dręczyć, zmuszać do refleksyi, a wreszcie palić i roznamiętniać. Nie było to już teoretyczne studyum, lecz jakby szereg stopni silnego wzruszenia, ujętych w pewną ścisłą formę. Do wychowania tych dwu sierotek Raduski tak się

rzucił, jak człowiek bierze się do zwalczenia choroby, o której istnieniu zawiadomił go lekarz życzliwy. Dawno powzięte wiadomości o kształceniu pierwiastkowem w Anglii, Francyi, Szwecyi, Szwajcaryi przydały mu się teraz, jak szczypta wiedzy medycznej może się przydać człowiekowi, wędrującemu przez stepy, gdzie znajduje nędzarza, okrytego ranami. Wziął się nanowo do czytania i wszedł w sam środek kwestyi. Główne współpracownictwo przypadło w udziele pani Grzybowiczowej. Ona to była właściwie wychowawczynią dziewcząt. Codziennie bodaj w mieszkaniu redakcyjnem toczyły się dyskusye, jaki system obrać i zastosować należy. Pani Grzybowiczowa była zdania, żeby unikać wszelkich systematów i wychowywać „na dobre kobiety“; mąż jej żądał tylko „ducha wolnomyślności“; Raduski usiłował wyłożyć główną myśl swoją, której ani jedno, ani drugie jasno nie oceniało. Pragnął on kształcić te dziewczęta na kobiety, zdobywające własną pracą nie tylko utrzymanie, ale i charakter. Marzył o systemie jeszcze nieznanym, któryby rozwijał swobodnego ducha, nie wykrzywiając go, nie raniąc i nie obarczając kajdanami. Wychowanice miały, według niego, rozpoczynać naukę wzorem szwajcarskim, praktykowanym w szkołach elementarnych, czyli przyjmować wiadomości bardzo wolno, bez żadnej forsy i udręczeń. Obok tego wszakże miały wzwyczajać się do ciągłej pracy, a więc: sprzątać pokoje, robić w ogródku i w kuchni razem ze służącą, chodzić z panią Grzybowiczową do sklepów i w oczach jej kupować bułki, nabiał, mięso, nosić sprawunki itd. Każda z dziew-

czynek musiała w oznaczonych godzinach wystrzygać i kleić paski pocztowe na gazetę i nosić listy do skrzynek. Służąca nie miała prawa usługiwać im w niczem. Same słały swe łóżka, czyściły obuwie i sukienki, nosiły dzbanki z wodą, zamiatały mieszkanie, schody i dziedziniec.

Nim upłynęło kilka tygodni, Grzybowicz pochłonięty przez gazetę, zaprzestał wtrącania się do ministeryum edukacyi. Raduski, wcieliwszy w życie swój wymyślony program, usunął się i przyglądał, jak pani Grzybowiczowa, zrozumiawszy intencye opiekuna, rzecz prowadziła. Elżbietka nie dała się odrazą nagiąć do surowego regulaminu. Kaprysy jej, płacz i krzyki, leniwe opuszczanie wyznaczonych robót zatruwały Raduskiemu spokój. Ale zwolna, zwolna dawne pieszczące warunki nikły w pamięci, dziecka, maleńkie radości nowego życia nabrały uroku i poczęła ciągnąć pług swego losu. Więcej zmartwień dostarczał wychowawcom charakter Anuli. Rychło spostrzeżono, że to dziecko przedmieścia umie nie tylko kłamać, ale i kraść, nie tylko doskonale oszukiwać, ale nawet udawać cnoty, jakich żądano. Zbadawszy te jej przymioty, pan Jan wziął się do dzieła, do studyów psychologii, do wertowania literatury, roztrząsającej występki dzieci. Siadywał w nocy, zagłębiając się coraz bardziej w swe umiejętności, a właściwie po swojemu walcząc z naturą, z jej złemi siłami, których stępianie, a jeśli się dało, niweczenie stanowiło rozkosz jego duszy. Ciągła obserwacya życia wychowanek, dziwne krążenie w świecie ich cnót, wad, przymiotów sprawiło, że coraz lepiej udoskonalał ów system

i że, wespół z panią Grzybowiczową, w istocie hodował dusze i ukształcał charaktery sierotek. Chciał być wszędzie i zawsze bezstronnym, nigdy pod jakimkolwiek względem nie dawać doktorównie pierwszeństwa nad córką nędzarza, ale mimowoli serce jego miłowało Elżbietkę. Gdy patrzał, jak zamiatała podwórko, albo niosła kosz z miasta, coś się w nim przewracało, jakgdyby czuł na swej twarzy wejrzenie zgasłych oczu. Wtedy tłumaczył się przed niewidzialnym cieniem, że tak trzeba, że Elżbietka musi wyrosnąć na kobietę przyszłego czasu, uzbrojoną w środki walczenia ze zbójeckiem życiem. Ale zawsze takie rozmyślanie wtrącało go do mrocznej sztolni, którą żartobliwie nazywał podziemiami swej duszy. Wówczas szedł do drukarni, stawał przy korbie i wespół z robotnikami wprawiał w ruch maszynę przez kilka godzin z rzędu.

Trud fizyczny nie odpędzał tęsknoty, nie niweczył jej całej, ale tłukł ją niby młotem długo i długo, aż się zwinęła i układła na swojem miejscu. Sprawa kształcenia dziewcząt poniewoli złączyła się z innemi, o których Raduski myślał, zakładając pismo. A więc występowały rozmaite kwestye czysto ławieckie: kwestya służących, kwestya terminatorów żydowskich, dzieci błąkających się po ulicach, starców nie mogących pracować itd. W tym samym czasie zaczęły się ukazywać w *Echu* artykuły pod ogólnym nagłówkiem „Typy". Były to barwne zestawienia żywota np. służącej w miasteczku szwajcarskiem i w Ławcu, losu terminatora szewskiego w Niemczech i na Kamionce, chłopca sklepowego na głębokim partykularzu we Francyi

i w handelku przy ulicy Wązkiej. Artykuliki wyż wzmiankowane sprawiły efekt mniej więcej taki, jak wetknięcie patyka w mrowisko. Tak zwane „panie“, t. j. matki, ciotki i stryjenki „domów“, piorunowały na wszelkich recepcyach i szydziły z „rojeń“ *Echa*, z zachcianek, ażeby Kasie i Florki jadły i spały lepiej, niż to miało miejsce w łżawieckich karalucharniach. Panowie majstrowie podrwiwali przy kufelku z nowomodnych gazeciarzy, a panowie kupcy bez ceremonii odsyłali pismo. Ale źródłem istotnego zgorszenia był fejletonik, doradzający pannom, które już grywają walce Millöckera i mazurki Godarda, tudzież oczekują na *epuzerów* z posadami w utęsknieniu ducha i ciała, a w utęsknieniu ciała sroższem niż ducha, żeby w chwilach wolnych od marzeń i walców myły podłogi i przynajmniej zlekka szorowały schody (srodze brudne w mieście Łżawcu), jak to czynią nawet bardzo zamożne i utalentowane Niemkinie, oraz Szwajcarki. Było to, rzecz prosta, bezbożne szarpanie świętej instytucyi rodziny, obyczajów i moralności. Raduski wiedział, że nie można przenosić od jednego zamachu ciężkiej kultury, że co innego miasteczko Rüti, a co innego żydowska stolica Pałąki, ale wierzył również w dobry kącik serca człowieczego. Kiedy rozprawki pisane przez Grzybowicza wśród debatów „gremium“ t. j. pana Jana i żony autora poczęły budzić dość żywe zaciekawienie w mieście i na prowincyi, kiedy ilość listów z admonicyami, protestami, zachętą, a nawet ze zwyczajnem staropolskiem „besztaniem“ zwiększała się ciągle, raptem owa druga z rzędu drukarnia zerwała kontrakt o jakąś błahostkę. Pe-

wnego dnia *Echo* nie wyszło. *Gazeta ławiecka* obwieściła *urbi et orbi* zgon tak pożytecznego czasopisma i zawinęła ten rzewny nekrolog we właściwy komentarz. Raduski rzucił się do drukarzy z propozycyami bajecznemi. Ledwo po upływie dni czterech zdołał namówić trzeciego z rzędu do zawarcia umowy. Czcionki tam były wstrętne, gazeta nie ukazywała się we właściwym terminie i ogrom trudów stanął w poprzek drogi. Mimo to wszystko sprawa szła naprzód. Począł się właśnie w odcinku druk studyum o parobkach i wywołał zainteresowanie.

Pewnego dnia stanął we drzwiach redakcyi gość niespodziewany. Był nim pan Olśniony. Miał, jak za pierwszej bytności, oczy przymknięte, na wargach uśmieszek. Zbliżył się do stołu, gdzie Elżbietka cięła opaski, złożył pocałunek na głowie tego dziecka, westchnął i usiadł. Raduski przysunął swe krzesełko i mimowoli zadał sobie pytanie, czy też lada moment nie nastąpi tak zwane starcie się przekonań. Olśniony wykwintnym ruchem ulokował na biurku swój cylinder, odpiął guziczek czarnej rękawiczki, drugi guziczek i, kiedy zaczął ściągać połyskującą skórkę z dużego palca, rzekł z uśmiechem:

— Czy też kolega domyśla się, czemu to drukarze tutejsi zrywają umowy i, jak sądzę, zrywać je będą aż...

— Domyślam się.

— Niechże kolega raczy mi wymienić tę przyczynę.

— No, pocóż te formalności? Przecie to pan...

— Tak, to ja. Widzimy tedy, że zdejmuję maskę.

— Co prawda, to ja widzę tylko, że pan zdjąłeś rękawiczkę.

— Mam nadzieję, że szanowny kolega oceni tę moją szczerość i dla niej przebaczy mi winę oddziaływania na drukarzy.

— O, z całą gotowością, ale pod jednym warunkiem. Pod warunkiem, że pan nazwie mi ową siłę, dzięki której drukarnie odrzucały pewny zarobek...

Olśniony wykonał palcami prawej ręki na dłoni lewej ruch, przypominający liczenie miedziaków. Kiwał wtedy głową z uśmiechem pobłażliwości i jakby współczucia.

— Nie śmiem, — rzekł Raduski, — jak to pan redaktor zrozumieć zechce, sięgać do dalszych przyczyn tego postępowania, gdyż prowadziłoby to nas do szkatułki z „zasadami“...

— A jednak ja po to przyszedłem tutaj... — wtrącił redaktor *Gazety*, biorąc na twarz wyraz surowości.

W istocie? — Okazuje się, że jestem dobrym spostrzegaczem, kiedy bowiem szanowny pan redaktor ukazał się we drzwiach, myślałem niezwłocznie w głębi serca: oto idzie człowiek, niosący ze sobą „przekonania“.

Olśniony schylił zlekka głowę i westchnął.

— Czyż pan sądzi, — mówił, — że tak nie jest, że ja ich nie mam? Czyż pan tak sądzi? I to na tej podstawie, że o nich dzień w dzień nie krzyczę, kwasek subtelnej ironii przenika mowę pańską. Niech pan jednakże zapyta tysiąca z górą odbior-

ców mojej gazety, czy ona służyła kiedy prywacie, czy uchybiła kiedy dobru ogólnemu? Niech pan zapyta, kogo pan sobie zechce z wrogów moich, czy Olśniony przez lat blizko trzydzieści nie był wiernym sługą swego społeczeństwa. Jeżeli pięciu ludzi znajdzie się w Łżawcu, czy gdziekolwiek w kraju, którzy orzekną: nie, w godzinę po takim wyroku zwijam pismo. Byłbym nikczemnikiem, gdybym, stojąc na miejscu redaktora...

— Tak jest,—rzekł Raduski.

— Te kilka słów stanowią pierwszy punkt interesu, którym niepokoję pana. Drugi punkt wyłożę krótko.

— Słucham.

— Ja gotów jestem natychmiast zwrócić panu siedm tysięcy rubli, któreś od chwili rozpoczęcia tej historyi z *Echem*, dodam, zbyt hojnie wyłożył.

Raduski zesmutniał, przechylił głowę na bok i, nie spuszczając oka z głowy Elżbietki, słuchał uważnie.

— Siedm tysięcy rubli jest to więcej, niż trzecia część całego kapitału po świętej pamięci stryju szanownego kolegi...—mówił siwy gazeciarz tonem, trafiającym w samo sedno myśli słuchacza.

Pan Jan zwrócił swe oczy na przyszwę buta z prawej nogi Olśnionego i wolno, ledwo dostrzegalnie potakiwał.

— Od pierwszego momentu wydawnictwa upłynęło... ileż? Sześć? Nie, siedm miesięcy. Każdy miesiąc, to tysiączek rubli. Czy pan uważa? Masz kolega przed sobą dwanaście, trzynaście miesięcy, a potem? Za cóż będziemy kształcili dwie sierotki?

Daruj mi, że tu na tej dłoni położę twe szlachetne serce. Przypatrz się: od dziś za rok będziesz bez grosza; prócz tego, idąc tą samą drogą wychowywania dwu dziewcząt, ukochasz piękne dzieło swej pedagogii. Będziesz je musiał rozciąć, urwać, zawiesić wówczas, gdy ono stanie się kwestyą twego życia, w literalnem znaczeniu kwestyą twego życia. Roztrząśnij pan to, co mówię, bo tu każde zdanie jest prawdą, waży sto funtów!

— Przecież nie będę wydawał tysiąca rubli co miesiąc, bo tylko początki zmuszały mię do takiej forsy. Prenumerata się zwiększa wolno, ale bez przerwy.

— Mówię: pismo pańskie chcę kupić za cenę wydanych pieniędzy. Obrócisz pan ten fundusik w sposób sobie tylko właściwy...

— Rumienię się, jak płoche dziewczę wobec tak szczodrych pochwał mej cnoty...

— Jeżeli zgoda między nami zawartą nie będzie, to cóż? To musi nastąpić moje ultimatum, że to pismo wychodzić przestanie.

— Dla czegóż to?

— Dla tego, że ja chwycę się środków silnych.

— Mianowicie?

— Pierwszy z brzegu: opłacam jak rok długi wszystkich trzech drukarzy. Daję każdemu z nich podwójny zarobek, jakiby mógł mieć u pana. Sądzisz, że to mię zrujnuje? Bynajmniej. To mi wyrwie z kieszeni kilka tysięcy rubli, ale w każdym razie mniej, niż pańska gazeta. A cóż pan zrobisz?

Założysz własną drukarnię? Na to trzeba... fiu-fiu... lekko licząc...

Raduski zmarszczył czoło i pobladł.

— Widzi kolega... ten argument znalazł drogę do jego przekonania!

— Znalazł... tak jest, znalazł. Ten sam argument mógłby służyć w każdym sądzie za *corpus delicti*, jak Olśniony hodował przez lat blizko trzydzieści święte przekonania, lecz to... Uważa pan, nie koniecznie ja będę kupował drukarnię, tę nową, czwartą. Może to zrobi spółka...

— *Qui vivra verra*. Co do insynuacyi na moją niekorzyść... oświadczam, że środki, jakiemi panu zagroziłem, przekonaniom uwłaczać nie będą.

— Masz pociechę!

— Ja pańskie pismo zwalczać muszę i zwalczę w interesie pryncypiów, którym służę i, sądź pan, kosztem ofiar, wyłożonych z własnej kieszeni.

— Musi to być duża kieszeń. Pan daruje, że o tem mówię, ale skoro nie tylko moja mała portmonetka tak panu jest znaną, ale i komórki mojego serca...

— Ja rzeczywiście grosza nie pożałuję. Czyż się zapieram, że gazeta daje mi dochód, że w ciągu kilkunastu lat obfitej prenumeraiy uzbierałem kapitał? Ale nie o to chodzi. Nie chodzi mi o utrzymanie dla żony i czworga dzieci, choć mi się to przecie należy, tylko, wierz pan, czy nie wierz, o zasadę. Ja tu jestem autochtonem. Ja tu jestem wyrazicielem życia, uczuć, marzeń. Ja tu znam wszystko i wszystkich, ziemię i wodę, domy i mogiły. Rozumiem tu wszystkich i mnie wszyscy. To niema

o czem mówić. Tak jest. Z czemże pan przychodzisz? Z czemś...

Raduski zaczął się śmiać głośno, a później rzekł:

— Nie wyjawię panu tego, nie wyjawię nawet, czemu tak przezornie sobie poczynam.

Brwi Olśnionego drgnęły, niby skazówki zegara, usta zacięły się na chwilę.

— Przyszedłem do pana z otwartą umową, nie sam, bo z mandatem od moich czytelników. My wszyscy nie możemy zezwolić na byt *Echa* pod pańską opieką. Czynimy tak w myśl bardzo mądrej zasady starożytnych: *pricipiis obsta!* Niechaj to będzie odpowiedzią na śmiech pański!

— A niechaj będzie.

— Masz pan tedy do wyboru: walkę z nami, albo ustępstwo.

— Mam.

— Jesteś pan jednym z najszlachetniejszych fantastów, którym się widzi...

— Czyliż, będąc autochtonem łżawieckim, można jednocześnie mieć wiadomość o tem, co się widzi fantastom?

— Za siedm tysięcy rubli zrobisz dużo dobrego na świecie, a ja musiałbym je przeznaczyć na skrytą walkę, którą z pewnością wygram. Dlatego przyszedłem. Powiedzże pan jeszcze raz, że, gdy się uniżam, gdy znoszę pański śmiech, tchnący zniewagą, gdy staję tutaj z temi pieniędzmi, zamiast je wydać pokryjomu dla nasycenia mojej ambicyi, jestem w sprzeczności z memi zasadami!

— Opuszcza pan wyraz — „świętemi".

— Umyślnie to robię. W zasadach dużo jest ziemskiego. Najcudniejszy, wonny kwiat korzeń ma w ziemi, a żywot czerpie z gnoju.

— Niestety! niestety!

— Wymówiłeś pan to słowo w takim sensie, jakgdyby tylko moje mniemania przypominały kwiaty z korzeniami głęboko tkwiącemi w ziemi, a wszakże sam tu wspomniałeś z uciechą o szerzeniu się prenumeraty *Echa*.

— Tak, wspomniałem, ale...

— *Excusez!* Gdybym chciał być równie uszczypliwym, byłbym w prawie twierdzić, że w podniosłej działalności piśmienniczej pańskiej nie małą rolę odgrywała wojna o prenumeratorów.

— Wojna? A gdzież to i kiedy wojowałem z panem?

— No tak, walki pisanej, polemicznej nie było. Jeżeli kto wszczynał ją w druku, to ja, przyznaję się.

— Chwała Bogu.

— Ale czy możesz pan utrzymywać, że ja byłem w tym wypadku gorszy od pana, że nie byłem tylko bardziej szczery? Nie stanąłeś przeciwko mnie, to prawda, ale za to samym wyborem programu, samem t. zw. poruszaniem kwestyi usiłowałeś pan wzburzyć umysły prenumeratorów i ściągnąć ich do siebie. Usiłowałeś wskazać, jakich dziedzin *Gazeta* wcale nie zna, owych „kwestyi“ żywotnych, owej ropy na ranie. Czy mówię prawdę? Ale z ręką na sercu!

— Z ręką na sercu? Dobrze, ja panu powiem. Jak nie zaczynałem wcale walki piśmienniczej ani

ustnej, tak samo z ręką na dążeniach serca mówię, że nie zacząłbym ich nigdy. Weź pan na rozum! O cóż to ja mogę polemizować z *Gazetą ławiecką?* O nic. Literalnie o nic. Gdybym chciał używać pięknych określeń dla moich i pańskich „zasad", rzekłbym, że ja jestem służącym światła, a pan klucznikiem ruder i lamusów. Cóż my mamy wspólnego? O co możemy się spierać? O nic. Możemy sobie tylko nawymyślać przy zetknięciu się wzajemnem, ale tego ja nie uczynię, choćbyś mię pan prowokował jeszcze bardziej głośno...

— Ja nie prowo...

— Zaraz, zaraz! Co do przypuszczenia, że łaknę pańskiej prenumeraty i chcę nią napchać pugilares, to, jeśli pan zważysz sprawę bez zaślepienia, łatwo spostrzeżesz istotny stan rzeczy. Nikt skrupulatniej odemnie we wszystkiem, zawsze i wszędzie, a główna w tak zwanych zasadach nie szuka interesu materyalnego. To też dla mojego rozumu jak fiksacya wygląda myśl, że ja mógłbym pana zwalczyć. *Gazeta ławiecka* jest to interes. Z interesem bronią jakiejś idei może walczyć tylko człowiek obłąkany. Ja nim nie jestem. *Gazeta ławiecka* to interes świetny, jak, naprzykład, dystrybucya w dobrym punkcie, jak karczma na rozdrożu, jak sklep, założony we właściwym czasie i miejscu. Jest to wyszynk wiadomości takich właśnie, jakich główny kontyngens czytających żąda. Czyż przedsiębiorstwo tego gatunku może nie iść? Idzie, i bramy piekielne go nie zwyciężą. Mojemu pisemku szło doprawdy o coś wręcz innego. *Echo* nie jest wcale wyszynkiem zdarzeń i popłatnego w Łźawcu „do-

bra i piękna". To też pańscy księża, pańska gruba i cienka szlachta, pańscy burżuje czytać go nie będą. To jest coś tak innego..

— Ja wiem, co to jest.

Raduski zamilkł i począć wycierać rękawem jakąś plamkę na surducie.

— Więc jakże, szanowny redaktorze? Daję odstępnego siedm tysięcy rubli... — cedził Olśniony, według swego zwyczaju nakrywając białą ręką o długich palcach brodę i dolną wargę.

Przez chwilę trwała cisza. Wreszcie Raduski podniósł zimne oczy na twarz gościa i, od niechcenia wskazując ręką Elżbietkę, rzekł:

— Na głowę tego dziecka zaręczam panu, że nie ustąpię ze Łżawca, nie przestanę wydawać pisma i robić, com umyślił. Mam jeszcze trochę pieniędzy. Gdy pan rozpoczniesz swe tam... intrygi, zawiążę spółkę. Na świecie i w Łżawcu nie sami tylko pańscy mandataryusze. Nie same tu rudery i mroki. To, co blask oświeci...

— Na głowę tego dziecka?... — mówił tymczasem redaktor *Gazety*, zwolna pochylając korpus swego ciała i uśmiechając się z okrutnem szyderstwem. — Jakiż to talizman?...

Krew zawrzała w Raduskim i płomieniem wionęła przez jego głowę. Cisnął w twarz starca ponure spojrzenie, jakby go między oczy ciął toporem, i mówił:

— Pan wiesz, dla czego to dla mnie talizman! Wszakże to pan pisałeś do mnie bezimienne listy, w których twierdziłeś, że tamta kobieta...

— Ja... bezimienne listy?—rzekł zcicha Olśniony, wstając ze swego miejsca.—Ejże!...

Głos jego zarwał się, a lewa ręka dygotała nerwowym ruchem. Raduski wlepił weń oczy i rzekł po upływie kilku minut badania:

— Aha... Przepraszam... Więc to nie pan... Aha...

— Co pan takiego mówisz... do mnie, jak śmiesz... do mnie...

Jan wydobył z szuflady kilka małych arkusików papieru i pierwszy z brzegu położył na stole. Redaktor wziął go w rękę, zbliżył do zmrużonych oczu i przeczytał wszystko, co tam było. Później złożył arkusz.

— Znasz pan może to pismo, jako wyobraziciel domów i grobów?—rzekł Raduski.

— Pisma nie znam. Ale wiem, kto jest autorem.

— Któż?

— To nie moja rzecz.

— Koszczycki, który do was przyrósł? Koszczycki, co?

— A więc moja propozycya odrzucona?

Raduski przyciągnął Elżbietkę i, jakby zamiast odpowiedzi, złożył na swem sercu jej głowę. Olśniony skłonił mu się sztywnie i, skrzypiąc zcicha butami, wyszedł. Gdy się drzwi za nim przymknęły, Raduski podniósł oczy i patrzał w tamtę stronę. Minęła jedna minuta, druga, trzecia. On tak wciąż siedział z oczyma, utkwionemi we drzwi, żując coś w ustach, jakby rozgryzał zębami słowo, czy zdanie, które chciał cisnąć za odchodzącym.

KONIEC.

SPIS RZECZY.

	Str.
Na pokładzie	5
O żołnierzu tułaczu	11
„Tabu“	97
Cienie	115
Kara	135
Legenda o „bracie leśnym“	151
Promień	165

WYCIĄG Z KATALOGU TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO W WARSZAWIE.

Abramowski E. Dusza i ciało.
Album malarstwa polskiego. 50 barwnych reprodukcji wyd. I. Lapina.
Andersen. Baśnie. Z ilustracjami E. Dulaca
Arcydzieła literatur obcych. W wyborze i układzie dla użytku szkolnego pod redakcją A. Boleskiego zeszyt I-y
Homer. Iljada—Odysseja „ „
Askenazy S. Prof. Napoleon a Polska
T. I Upadek Polski a Francja
— „ „ II Bonaparte a Legjony
— „ „ III
Barrie. Przygody Piotrusia Pana. Z ilustracjami A. Rackhama
Baudelaire Charles. Kwiaty grzechu. Przeł. Cz. Kozłowski
Baumfeld G. B. Klejnoty poezji staropolskiej
Bedier J. Dzieje Tristana i Izoldy odtworzone wedle dawnych legend i poematów. Przełożył Boy. Wyd. drugie
Berent W. Fachowiec. Powieść
Bölsche W. O pochodzeniu człowieka
Brzozowski S. Nim serce ucichło. Poezje
Brzozowski W. Dusza mówiąca. Poezje
Dante Alighieri. Vita Nuova (Nowe Życie) przełożył Artur Górski
Dąbrowska M. Dzieje naszej Ojczyzny wyd. II uzupełnione
— O Zjednoczonej Polsce. Wyd. drugie rozszerzone
— Dzieci Ojczyzny
— Uśmiech dzieciństwa
Garski St. System filozofji t. I. Zagadnienia wstępne
Grabiec J. Dzieje Polski Niepodległej
— Dzieje porozbiorowe Narodu Polskiego
— Dzieje Współczesne (1871—1918). cz. I
— „ „ „ cz. II
Holewiński J. Budownictwo wiejskie
Hryncewicz-Talko I. Prof. Człowiek na ziemiach naszych
Kaden J. Żuk. Powieść
Karpowicz St. Ideały i metoda wychowania spółczesnego
Kasprowicz J. Wybór poezji
— Księga ubogich
Korczak J. Bobo
— Jak kochać dziecko I. Dziecko w rodzinie
— „ „ „ II. Internat.—Kolonje letnie
— „ „ „ III. Dom Sierot
— Józki, Jaśki i Franki
— Król Maciuś. Pierwszy
— Moski, Joski i Srule
— Sam na sam z Bogiem. Modlitwy tych, którzy się nie modlą
Krasiński Z. Poezje wybrane, w układzie St. Wyrzykowskiego

Kwiatkowski R. Chiakunin-iszu czyli ze stu poetów po jednej pieśni
Lange A. Dywan Wschodni. Antologja poetów wschodnich
Lechoń Jan. Karmazynowy poemat
Leonardo da Vinci. Pisma wybrane. Wybór, układ, przekład i wstęp Leopolda Staffa 2 t.
Leśmian B. Łąka
— Sad rozstajny. Poezje
Limanowski B. Dzieje Litwy
— Historja demokracji polskiej w epoce porozbiorowej t. I, II.
Liryka francuska serja I i II. Przekład Br. Ostrowskiej
Lorentowicz Jan. Polska Pieśń Niepodległa. Zarys literacki
Louys Piotr. Pieśni Bilitis. Przeł. L. Staff
Markowska M. Przejdziem Wisłę przejdziem Wartę... Powieść historyczna
Michał Anioł. Pisma. Przekład L. Staffa
Mickiewicz Ad. Pan Tadeusz. (album) z ilustracjami E. M. Andriollego
Miriam. U Poetów. Przekłady
Nal i Damajanti. Baśń staroindyjska z ksiąg Mahà-Bhàraty. Z sanskrytu przełożył A. Lange
Nalepiński T. Kazia. Powieść
Nałkowska-Rygier Z. Hrabia Emil. Powieść
Nietzsche Fr. Dzieła. Przełożyli: W. Berent, K. Drzewiecki L. Staff i St. Wyrzykowski
— Tom: I Tako rzecze Zaratustra
— „ II Poza dobrem i złem
— „ III Z genealogji moralności
— „ IV Dytyramby Dyonizyjskie
— „ V Zmierzch Bożyszcz
— „ VI Wiedza radosna
— „ VII Jutrzenka
— „ VIII Antychryst
— „ IX Narodziny tragedji
— „ X Ludzkie arcyludzki
— „ XI Wędrowiec i jego cień
— „ XII Wola mocy
— „ XIII Niewczesne rozważania
— Ecce homo (Suplement)
Norwid C. Czarne i białe kwiaty. Wybór prozy w układzie R. Zrębowicza
— Krakus. Tragedja
— Pisma wybr. t. A. cz. I i II. Pisma wierszem. Dział 1
— t. C. Pisma dramatyczne
— t. E. Pisma prozą. Dział pierwszy legendy i nowele
— Wybór poezji w układzie Zenona Przesmyckiego (Miriama.)
Novalis. Pisma t. I. Henryk Offterdingen
Ostrowska Br. Chusty ofiarne. Poezje
Panteon. A. Mickiewicz. Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego

Panteon. J. Słowacki. Genezis z Ducha
— Z. Krasiński. Modlitwy
— Sofiści greccy. Wybór i przekład L. Staffa
— Epikur. Myśli
— Kwiatki św. Franciszka z Asyżu wybrane przekł. L. Staffa
— Salomon. Pieśń nad pieśniami
— Leonardo da Vinci. O malarstwie przeł. L. Staff
— Heraklit. Myśli
— Spinoza. Myśli
— Nietzsche. Żart, chytrość i zemsta
— Epiklet. Encheiridion
— Demokryt. Myśli
— Petronjusz. Uczta
— Marek Aureljusz. Myśli
— Pascal. Modlitwy i rozmyślania
— Norwid C. Milczenie
— „ Krakus. Tragedja
Papini J. Dzieje Chrystusa przełożył W. Rzymowski
— Pamiętniki Pana Boga „ „
— Tragedje powszednie „ „
Plutarch Polski. Hugo Kołłątaj przez B. Limanowskiego
— — Tadeusz Kościuszko „ „
— — Walerjan Łukasiński „ „
— — Stanisław Staszic „ „
— — Romuald Traugutt „ „
Poe Edgar Allan. Arabeski t. I i II
Poincaré H. Nauka i hypoteza
— Nauka i metoda
— Wartość nauki
Rabindranath Tagore. Owocobranie. Przeł. L. Staff
Renan E. Żywot Jezusa
Rolland R. Beethoven przeł. M. Zabojecka
— Piotr i Łucja. Idylla tragiczna przeł. M. Zabojecka i H. Bezmaski
Rzymowski W. Polskie-Arcypolskie
Schlaf J. Wiosna. Przeł. i wstęp. zaopatrzył St. Przybyszewski
Siedlecki M. Prof. Jawa. Przyroda i sztuka. Uwagi z podróży
Sieroszewski W. Beniowski. Powieść hist.
— Ocean. Powieść hist.
— Zamorski Djabeł. Powieść dla młodzieży
Słowacki J. Pisma mistyczne w wyb., ukł. i oprac. St. Wyrzykowskiego
— Utwory liryczne. Wybór i układ St. Wyrzykowskiego
Staff L. Fletnia chińska
— Oczy otchłani
— Ogród pieszczot
— Pieśń o skowronku
— Sady
— Ścieżki polne
— Wino miłości

Strug A. Chimera. Powieść
— Dzieje jednego pocisku. Powieść
Szczęsny Al. To co się stało. Poezje
Szpotański St. Adam Mickiewicz i jego epoka t. I. Racyonalizm i romantyzm
t. II. Towianizm
t. III. Działalność polityczna Mickiewicza
Anneksy
Towiański A. Pisma wybrane. 2 tomy
Trojanowski W. Malarstwo włoskie z 40 planszami
Trzebiński M. Stara Warszawa. Album
Tuwim J. Czyhanie na Boga
— Sokrates tańczący
Wasylewski St. Sztambuch. Skarbnica romantyzmu
Wierzyński K. Wiosna i wino. Poezye
Zabojecka M. Powieść o duszy polskiej
Zawistowska K. Poezje
Zieliński T. Religja starożytnej Grecji
— Irezyona. Klechdy attyckie
— Historya Kultury antycznej t. I.
Złota legenda błogosławionego Jakóba de Voragine. Przełożył i wstępem opatrzył L. Staff. Poczet pierwszy
Żeromski S. Biała rękawiczka
— Charitas. Powieść współczesna
— Dla młodzieży. Książka pierwsza
— „ „ „ druga
— Duma o hetmanie
— Dzieje Grzechu
— Echa leśne
— Inter Arma
— Mogiła
— Nawracanie Judasza
— Organizacja inteligencji zawodowej
— Początek świata pracy
— Popioły wyd. nowe 3 tomy
— Powieść o Udałym Walgierzu
— Projekt Akademii Literatury Polskiej
— Rozdziobią nas kruki, wrony...
— Sen o szpadzie i sen o chlebie
— Słowo o Bandosie
— Sułkowski. Tragedja
— Syzyfowe prace
— Turoń. Dramat w 3-ch aktach
— Uroda życia 2 tomy
— Utwory powieściowe
— Wiatr od morza
— Wierna rzeka. Klechda wyd. nowe
— Wisła
— Wszystko i nic. „Popiołów—sprawa druga“
— Zamieć
Żywot chłopa polskiego na początku 19-go stulecia. Do druku podał M. Handelsman.